

MISTRZOWIE SF

CLIFFORD D.

STIMAK



CMENTARNA
PLANETA

AMBER

CMENTARNA
PLANETA

— MISTRZOWIE SF —

Powieści Clifforda D. Simaka
w Wydawnictwie Amber

Czas jest najprostszą rzeczą

Miasto

W pułapce czasu

Cmentarna planeta

w przygotowaniu

Wielkie frontowe podwórze

CUFFORDO.

SIMAK

**WNIEMIA
CMENTARNA
PLANETA**

Przełożył
MARIUSZ KAMIŃSKI



AMBER

Tytuł oryginału
CEMETERY WORLD

Autor ilustracji
JIM BURNS

Opracowanie graficzne
IMI design studio/prepress

Redaktor
KATARZYNA CHMIELEWSKA

Redaktor techniczny
ANNA WARDZAŁA

Copyright © 1972, 1973 the Estate of Clifford D. Siniak

For the Polish edition
Copyright © 1994 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-7082-354-8

Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.
Warszawa 1994. Wydanie I
Druk: Łódzka Drukarnia Dziełowa

1.

Zapierający dech swą pięknnością Cmentarz rozciągał się w dal w świetle poranka. Rzędy lśniących monumentów stały majestatycznie w całej dolinie pokrywając wszystkie jej zbocza i wierzchołki. Szmaragdowy dywan skoszonej i przystrzyżonej z precyzją i poświęceniem trawy nie pozwalał dojrzeć gleby, w którą wpuszczała korzenie. Dostojne sosny rosnące w alejkach biegnących między rzędami grobów szumiały miękką, jękliwą melodię.

— To ujmuje — powiedział kapitan statku pogrzebowego. Uderzył się przy tym w pierś, by pokazać mi dokładnie, w jakim miejscu go ujmowało. Chyba od urodzenia był idiotą.

— Pamiętasz Matkę Ziemię — kontynuował — przez wszystkie dni, kiedy cię tu nie ma. Przez te wszystkie

lata w kosmosie i na innych planetach. Przywołujesz ją w pamięci i widzisz dokładnie taką, jaka jest. Jednak kiedy lądujesz, otwierasz włącznik i schodzisz na powierzchnię, okazuje się, że zapamiętałeś zaledwie połowę. Matka Ziemia jest zbyt duża i piękna, by zachować ją całą w pamięci.

Za nami, na lądowisku, statek pogrzebowy ciągle skwierczał od temperatury, do jakiej się nagrzał podchodząc do lądowania. Załoga nie czekała aż ostygnie. Wysoko w górze otwierały się boczne, czarne luki ładunkowe. Z brzękiem i klekotem rozwijanych łańcuchów wysuwały się towarowe dźwigi.

Z długiego, niskiego budynku, który uznałem za tymczasowy barak-garaż, wytaczały się i jechały przez płytę lądowiska pojazdy mające odebrać kasety z ładunkiem.

Kapitan nie zwracał uwagi na to, co działo się wokół. Stał wpatrując się w Cmentarz. Wydawał się zafascynowany. Wykonał ręką ruch ogarniający otaczającą przestrzeń.

— Całe mile i mile to samo — powiedział. — Nie tylko tu, w Ameryce Północnej, ale i w innych miejscach. To tylko mały narożnik.

Nie mówił mi niczego nowego. Przeczytałem o Ziemi wszystko, co było dostępne. Obejrzałem i przesłuchałem każdy kawałek taśmy dotyczący planety, jaki wpadł mi w ręce. Marzyłem o Ziemi od lat i studiowałem wszystko na jej temat. W końcu znalazłem się tutaj, a kapitan, niczym kłown, robił z tego głupie przedstawienie. Tak jakby był właścicielem wszystkiego dokoła. Może zresztą i można było zrozumieć — był przecież Karawaniarzem. Miał oczywiście rację mówiąc, że był to zaledwie mały narożnik. Pomniki, welwetowy dywan trawy i jakby maszerujące rzędy sosen ciągnęły się całymi milami. I tu,

w starożytnej Ameryce Północnej i na starych wyspach brytyjskich tak samo, jak na kontynencie Europy, w północnej Afryce czy Chinach.

— I wszędzie każda piędź ziemi — mówił dalej kapitan — jest tak samo dobrze i troskliwie utrzymana jak tu, w tym zakątku.

— A co z resztą? — zapytałem.

Kapitan odwrócił się do mnie ze złością:

— Z resztą?

— Z resztą Ziemi. Przecież nie cała jest Cmentarzem.

— Wydaje mi się — rzekł nieco ostrzej — że pytał pan już o to wcześniej. Zdaje się pan mieć na tym punkcie obsesję. Musi pan zrozumieć jedną rzecz. Cmentarz jest jedyną częścią Ziemi, która ma jakieś znaczenie.

To było to, oczywiście. W całej dotyczącej Ziemi literaturze ostatnich lat — przez ostatnie lata należy rozumieć ostatni ich tysiąc lub coś koło tego — rzadko kiedy można było znaleźć jakąkolwiek wzmiankę o reszcie Ziemi. Wyłączając kilka miejsc będących pomnikami historii i kultury, tak rozreklamowanymi przez Biuro Pielgrzymek, Ziemia była Cmentarzem. Wydawało się jednak, że nawet miejsca, do których udawały się pielgrzymki, zostały tylko odsunięte na bok i czekają na przyszłe pokolenia. Pomijając ten fakt, nigdzie nie było nawet najmniejszej wzmianki o innej Ziemi. Tak jakby cała reszta planety nie była niczym innym, jak wolnym placem czekającym na przyłączenie do Cmentarza. Tak jakby nie było tu nic więcej niż puste, wymarłe tereny, tak długo nie odwiedzane, że nawet pamięć o nich dawno wygasła.

Kapitan kontynuował nieprzyjemnym tonem:

— Rozładujemy pański fracht i zmagazynujemy w baraku, gdzie będzie dla pana łatwo dostępny. Poproszę załogę, by nie pomieszała go z kasetami.

— To miło z pańskiej strony — odparłem sucho. Byłem rozczarowany kapitanem. Miałem dość jego widoku, już po trzech dniach lotu miałem go dość. Starałem się trzymać od niego z daleka, a jest to trudne zadanie, gdy znajdujesz się na pokładzie statku pogrzebowego i w zasadzie jesteś gościem kapitana, choć za tę gościnę przyszło słono zapłacić.

— Mam nadzieję — powiedział jeszcze nieco rozdrażnionym tonem — że pański fracht nie zawiera niczego o wywrotowym przeznaczeniu.

— Nie wiedziałem, że statut Korporacji „Matka Ziemia” wymaga działalności wywrotowej — pozwoliłem sobie na lekką ironię. Pomyślałem równocześnie, że może niepotrzebnie wspomniałem o reszcie Ziemi. Oczywiście, rozmawialiśmy już o tym wcześniej i od samego początku mogłem zorientować się, że to bardzo drażliwy temat. Ze wszystkiego co czytałem, również mogłem wywnioskować, że powinienem trzymać gębę na kłódkę. Byłem jednak zbyt głęboko przekonany, iż Stara Ziemia nie mogła, nawet po dziesięciu tysiącach lat, pozostać planetą bez twarzy. Wierzyłem, że ktoś, kto poszuka, znajdzie jeszcze ślady starych blizn i triumfów, starożytnych czynów zapisanych w kurzu i kamieniu.

Kapitan odwrócił się, by odejść, ale zadałem mu jeszcze jedno pytanie:

— Ten człowiek — powiedziałem. — Zarządca. Ten, którego mam zobaczyć?

— Nazywa się — odparł sztywno — Maxwell Peter Bell. Znajdzie go pan dalej, w budynku administracyjnym. — Wskazał w kierunku lśniącej masy dużego, białego budynku w dalekim końcu lądowiska. Biegła do niego droga. Spory kawałek, ale powiedziałem sobie, że spacer na pewno sprawi mi przyjemność.

Wszystkie pojazdy, które wyjechały z garażu, ustawiły się w jednej linii, oczekując kaset ze statku.

— Ten drugi budynek — powiedział kapitan, jeszcze raz wskazując ręką kierunek — to hotel prowadzony przez Biuro Pielgrzymek. Prawdopodobnie uda się tam panu znaleźć zakwaterowanie.

Wykonawszy swój obowiązek wobec mnie, odszedł miękkiem krokiem, nie oglądając się ani razu.

Hotel, nie wyższą jak trzypiętrowa konstrukcję, zlokalizowano o wiele dalej niż budynek administracyjny. Nie licząc tych dwóch gmachów, baraków i statku stojącego na płycie lądowiska, cała okolica była pusta. Na lądowisku nie zauważyłem innych statków, a oprócz pojazdów oczekujących na ładunek, nic się nie poruszało.

Elmer będzie prawdopodobnie bardzo kręcił nosem na to, że nie wypuściłem go zaraz po wylądowaniu. Byłoby to zresztą rozsądne, bo gdybym go wypuścił, mógłby zająć się montowaniem Bronco, podczas gdy ja poszedłbym odwiedzić Bella. Mimo że niecierpliwiłem się, by wreszcie zacząć coś robić, musiałem poczekać, póki skrzynie nie zostaną rozładowane i złożone w baraku.

Idąc zastanawiałem się, dlaczego właściwie musiałem widzieć się z Maxwellem Peterem Bellem. Kapitan powiedział, że wizyta jest kurtuazyjna, ale nie trzymało się to kupy. Bardzo mało kurtuazji wiązało się z moją podróżą. Była to raczej sprawa grubej gotówki, oszczędności całego życia Elmera. Pomyślałem, że wygląda tak, jakby Cmentarz był czymś w rodzaju rządu i każdy odwiedzający miał obowiązek złożyć mu wizytę. Była to jednak nieprawda. To był business, zimny i cyniczny z natury. Od bardzo długiego czasu, odkąd studiowałem Starą Ziemię, moja opinia o Korporacji „Matka Ziemia” była bardzo, bardzo niepochebna.

2.

Maxwell Peter Bell, zarządca północnoamerykańskiego oddziału Korporacji „Matka Ziemia”, był baryłkowanym grubasem spragnionym podziwu i przyjaźni. Siedział w swoim zużyтым, masywnym, miękko obitym fotelu za ciężkim, błyszczącym biurkiem w biurze mieszczącym się na poddaszu budynku administracyjnego.

Zatarł ręce i uśmiechnął się do mnie niemal ze wzruszeniem. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby delikatny brąz jego oczu zaczął się rozmazywać i spłynął po policzkach pozostawiając czekoladowe smugi.

— Miał pan miłą podróż? — zapytał. — Kapitan Anderson dbał o pana wygodę?

Kiwnąłem głową:

— Było mi tak wygodnie, jak to tylko możliwe.

Jestem oczywiście wdzięczny. Nie miałem wystarczającej ilości pieniędzy, by wykupić bilet na przelot Statkiem Pielgrzymów.

— Nie musi pan mówić o wdzięczności — powiedział z delikatnym naciskiem. — To my powinniśmy być zadowoleni. Tylko bardzo niewielka liczba ludzi sztuki przejawia zainteresowanie naszą Matką Ziemią.

Na swój miły, gładki sposób nieco przesadził, bo w ciągu lat, bardzo wielu — jak to on ich nazwał — ludzi sztuki wykazywało zainteresowanie Ziemią. Działo się to jednak pod wypolerowanymi, matczynymi auspicjami Korporacji „Matka Ziemia”. Nawet gdyby ktoś nie wiedział o tym patronacie, mógłby podejrzewać jego istnienie. Większość ich prac wyglądała na robotę dobrze płatnej grupy dziennikarzy sfabrykowaną dla reklamowania Cmentarza.

— Przyjemnie tutaj — rzuciłem bardziej dla podtrzymania konwersacji niż z jakiegoś innego powodu.

Rozparł się w fotelu wygodnie, jak napuszona kwoka wiercąca się nad jajami.

— Słyszał pan oczywiście sosny — zaczął swą reklamową przemowę. — One śpiewają. Nawet tu w górze, gdy okno jest otwarte, słyszać ich śpiew. Po trzydziestu latach pobytu tutaj, ciągle ich słucham. Jest to pieśń wiecznego spokoju, tak całkowitego, jaki można znaleźć tylko na Ziemi. Czasami wydaje mi się, że to nie tylko pieśń sosen i wiatru, czy też brzmienie Ziemi, ale hymn rozrzuconych po wszechświecie ludzi, którzy w końcu zebrali się w domu.

— Nie słyszałem tego wszystkiego — odparłem. — Być może po czasie. Gdy posłucham dłużej. Właśnie dlatego tu jestem.

Równie dobrze mogłem nic nie mówić. Wcale mnie nie słuchał. Nie chciał słuchać. Miał swój kawałek do

powiedzenia, swoją rolę do odegrania i koncentrował się wyłącznie na tym, na niczym innym.

— Przez ponad trzydzieści lat — kontynuował — kierowałem myśli ku wielkim ideom Ostatniego Powrotu Do Domu. Moją pracą nie jest łatwo zaakceptować. Wielu było przede mną, wielu zarządców siedzących w tym fotelu, bardzo wielu. A każdy z nich był człowiekiem honorowym i wrażliwym. Moja praca to kontynuacja ich dzieła. Ale nie tylko. Muszę również podtrzymywać wielkie tradycje, które dumą rozpieęły serca przez całe lata historii Matki Ziemi.

Zagłębił się jeszcze bardziej w fotelu, a jego brązowe oczy stały się, o ile to w ogóle możliwe, łagodniejsze i lekko wilgotne.

— Czasami — powiedział — nie jest to łatwe. Tak wiele jest przeszkód, które trzeba pokonać. Są insynuacje, szeptane podłości i ukryte zarzuty, nie wypowiedziane jednak otwarcie tak, by można było z nimi walczyć. Przypuszczam, że pan o nich słyszał.

— O niektórych — potwierdziłem.

— I uwierzył pan w nie?

— W niektóre.

— Przestańmy owijać w bawełnę — powiedział nieco niezręcznie. — Wyłóżmy kawę na ławę. Powiedzmy sobie otwarcie, że Korporacja „Matka Ziemia” to instytucja pogrzebowa, a Ziemia to Cmentarz. Nie jesteśmy jednak oszustami nastawionymi na robienie pieniędzy ani szalbierzami w pobożnym celu. Korporacja nie jest także znową mającą zadanie wyciągnięcia ogromnych korzyści z bezwartościowego w sumie gruntu. Oczywiście, że działamy zgodnie z zasadami zysku. To jedyna możliwa metoda. To jedyny sposób, w jaki możemy oferować swoje usługi całej ludzkości w Galaktyce. Nasza działalność wymaga organizacji potężniejszej,

niż można to sobie wyobrazić. A ponieważ jest ona tak ogromna, muszą w niej być usterki. Nie ma czegoś takiego jak ścisła kontrola nad całością. Zawsze istnieje szansa, że my, tu w administracji, możemy być nieświadomi działań, którym moglibyśmy w przeciwnym wypadku zapobiegać. Zatrudniamy ogromną rzeszę specjalistów od stosunków międzyludzkich, by poprawić sprawność działania naszej instytucji. Oczywiście z konieczności musimy reklamować się w odległych, zamieszkałych przez człowieka obszarach. Z zadowoleniem stwierdzamy, że mamy swoich handlowych przedstawicieli na wszystkich planetach zaludnionych przez człowieka. Wszystko to jednak nie może być uważane za coś więcej jak zwykłą działalność. No i musi pan wziąć pod uwagę fakt, że reklamując się takim nakładem środków, oferujemy ludzkości ogromne korzyści przynajmniej w dwóch płaszczyznach.

— W dwóch płaszczyznach — powtórzyłem zdziwiony. Bardziej zdziwiony samym człowiekiem niż potokiem jego słów. — Myślałem o...

— Płaszczyźnie osobistej — przerwał mi. — O tym pan myślał. Oczywiście właśnie to mamy głównie na uwadze. Proszę mi wierzyć, że możliwość spoczęcia po śmierci w poświęconej glebie Matki Ziemi to ogromny komfort psychiczny. Człowiek odczuwa głęboką satysfakcję wiedząc, że kiedy nadejdzie jego czas, zostanie położony na wieczny odpoczynek między pięknymi wzgórzami planety, na której powstała ludzkość.

Poruszyłem się nerwowo w fotelu. Było mi za niego wstyd. Wprawiał mnie w zakłopotanie i czułem do jego osoby wstręt. Pomyślałem, że musi uważać mnie za zupełnego durnia jeśli myśli, iż dzięki tym kwiecistym słowom pozbędę się swoich wątpliwości co do Korporacji i stanę się zwolennikiem Cmentarza.

— Poza tym — kontynuował — jest jeszcze druga płaszczyzna, być może nawet o ważniejszym znaczeniu. My na Matce Ziemi, w co szczerze wierzę, stanowimy rodzaj spoiwa, które trzyma w całości, jakby w komplecie, pełne wyobrażenie o ciągłości rasy, o jej przeszłości. Bez Matki Ziemi człowiek stałby się bezdomnym włóczęgą. Zniknęłyby korzenie. Nie pozostałoby nic, co wiązałoby nas z tym niewielkim przecież okruchem materii wirującym wokół bardzo przeciętnej gwiazdy. Niezależnie od tego, jak cienka będzie to nić, wydaje mi się, że musi być coś, co łączy wszystkich ludzi, coś, co wszyscy będą mieli wspólnego. Cóż może być w tym przypadku lepszego od poczucia osobistego związku z planetą, która jest matką ludzkości.

Zawahał się na chwilę i siedział przyglądając mi się. Może oczekiwał jakiejś reakcji po płynnym wyjawieniu swoich wzniosłych myśli. Jeśli tak, to rozczarowałem go.

— A więc Ziemia jest wielkim galaktycznym cmentarzem — ciągnął po chwili, gdy przekonał się z całą pewnością, że nie zamierzam nic powiedzieć. — Trzeba jednak zrozumieć, że jest to coś więcej niż zwykły cmentarny grunt. Jest to również pomnik oraz pamięć i więź, która czyni ludzkość jednością niezależnie od tego, gdzie dana osoba się w tej chwili znajduje. Bez naszej pracy Ziemia dawno już zniknęłaby z pamięci ludzi. Możliwe nawet, że stałaby się w przyszłości obiektem akademickiego zainteresowania i zaciekłych sporów. Ekspedycje naukowe po omacku szukałyby choćby najbardziej mglistych dowodów, które pozwoliłyby na udowodnienie tezy o powstaniu Ludzkości w Systemie Słonecznym.

Pochylił się do przodu w swoim fotelu i oparł łokcie na biurku.

— Nudzę pana, panie Carson?

— Ależ skąd — zaprotestowałem. Było to prawdą. Nie nudził mnie. On mnie fascynował. Wydawało mi się niemożliwe, by przy zdrowych zmysłach mógł wierzyć w ten swój kwiecisty bełkot.

— Panie Carson — powtórzył. — A jak pan ma na imię? Wyleciało mi to z pamięci.

— Fletcher — odparłem.

— Ach tak, Fletcher Carson. Pan oczywiście słyszał plotki. O tym, jak zdieramy skórę z klientów, jak oszukujemy ludzi i grzebiemy ich jednych na drugich oraz jak...

— Niektóre z plotek — przyznałem — obiły mi się o uszy.

— I pomyślał pan, że to może być prawda.

— Panie Bell, nie widzę powodu...

Przerwał mi:

— Były pewne ekscesy, które przytrafiły się kilku naszym reprezentantom — rzekł. — Możliwe, że zbyt ni entuzjazm naszych maszynistów mógł spowodować ukazanie się artykułów i ogłoszeń, które były trochę nieprzemyślane i w niezbyt dobrym guście. Ale ogólnie naprawdę czyniliśmy uczciwe wysiłki, by sprostać odpowiedzialności, jaka spoczywa na naszych barkach. Każdy Pielgrzym, który odwiedził Matkę Ziemię, przysięgnie, że nie ma nic piękniejszego od pielęgowanych przez nas obszarów. Grunty są utrzymane w najlepszym stanie i pokryte wiecznie zielonymi krzewami i drzewami. Trawa przystrzyżona jest z miłosną wręcz troskliwością, a glebę mamy najwyższej jakości... Ale pan, panie Carson, już to widział.

— Tylko mały kawałek — musiałem przyznać.

— Zilustruję panu trudności, z jakimi musimy się borykać — powiedział w nagłym przypływie zaufania, tak jakbym w jakiś sposób zdradził trochę sympatii. —

Jeden z naszych handlowców w odległym sektorze Galaktyki spowodował kilka lat temu powstanie pogłoski, że na Matce Ziemi zaczyna brakować terenu i że wkrótce nie będzie tu miejsca. Dlatego dobrze by było, żeby ci, którzy chcieliby być pochowani tutaj, natychmiast rezerwowali te resztki, jakie pozostały.

— A to, oczywiście — dodałem z sarkazmem — nie może być prawdą. A może jednak tak jest, panie Bell, co?

Wiedziałem, że nie jest. Starałem się po prostu wsadzić mu szpilę. Zdawał się jednak tego nie zauważać. Westchnął:

— Jasne, że to nieprawda. Nawet osoby, które usłyszały tę pogłoskę, powinny zdawać sobie z tego sprawę. Powinny od razu zrozumieć, że to tylko wroga propaganda i przestać o tym myśleć. Wielu jednak złożyło skargi. Nastąpiło bardzo nieprzyjemne śledztwo w tej sprawie, co przysporzyło nam nie kończących się kłopotów, w tym także finansowych. Najgorsze jest to, że plotka nadal szerzy się w Galaktyce. Nawet teraz na kilku planetach szepczą sobie do ucha. Próbuje się z tym skończyć. Ilekroć dojdzie do nas taka wiadomość, staramy się walczyć. Jednak nawet nasze najbardziej oficjalne zaprzeczenia zdają się nie odnosić skutku.

— Ta plotka może nadal służyć sprzedaży działek — wytknąłem. — Gdybym był na waszym miejscu, nie starałbym się za bardzo jej zdementować.

Wydał gniewnie policzki:

— Nie rozumie pan — oburzył się. — Prawość i absolutna uczciwość zawsze były naszą dewizą. W świetle tego nie czujemy, że powinniśmy być odpowiedzialni za działalność jednego z pracowników. Nasza organizacja ze względu na ogromne odległości między planetami i trudności z komunikacją jest z konieczności dosyć luźna.

— Nasuwa się jednak pytanie — powiedziałem — co do reszty Ziemi. Tej jej części, która nie jest Cmentarzem. Jak ona wygląda? Jestem bardzo zaciekawiony...

Zamachał tłustą łapą, tak jakby odrzucał nie tylko pytanie, ale i resztę Ziemi.

— Nie ma tam nic — odparł. — To dzikie tereny. Całkowicie dzikie. Wszystko, co ma jakieś znaczenie na tej planecie, to Cmentarz. Praktycznie dla każdego człowieka Ziemia jest Cmentarzem.

— Niemniej jednak — wtrąciłem — chciałbym...

Znowu mi przerwał powracając do swojego wykładu na temat działalności Cmentarza:

— Pozostaje zawsze pytanie — mówił — o nasze stawki, co nieodmiennie związane jest z wnioskiem, że są zbyt wygórowane. Zastanówmy się jednak przez chwilę nad kosztami, jakie ponosimy. Sam koszt utrzymania organizacji takiej jak nasza przekracza wszelkie wyobrażenie. Proszę dodać do tego koszt utrzymania floty statków pogrzebowych, które nieustannie krążą pośród planet zbierając ciała niedawno zmarłych i transportując je na Ziemię. Dochodzi do tego jeszcze koszt operacji wykonywanych tu, na Matce Ziemi, i otrzyma pan taką sumę, która z pewnością usprawiedliwi nasze stawki. Musi pan zrozumieć, że bardzo niewielu ludzi ma ochotę na znoszenie niewygód związanych z towarzyszeniem swoim ukochanym zmarłym na statku pogrzebowym. Jednak nawet jeżeli tego chcą, nie możemy im zaoferować zbyt wielu miejsc. Przeżył pan sam na takim statku kilka miesięcy i wie pan, że nie jest to luksusowy rejs. Koszt wyczarterowanego statku jest zbyt wysoki dla wszystkich, oprócz bardzo bogatych. Pozostają Statki Pielgrzymów, na których podróż również nie jest tania. Statki te z reguły nie lądują tu razem ze statkami pogrzebowymi. Ponieważ członkowie rodzin

przeważnie nie są w stanie przyjechać na poświęconą ziemię, musimy sami zatroszczyć się o wszystkie tradycyjne formalności pogrzebowe. Nie do pomyślenia jest, oczywiście, by kogokolwiek pochowano w Matce Ziemi bez przyjętego przez społeczeństwo wyrażania żalu i bólu po stracie bliskiej osoby. Z tej to przyczyny musimy utrzymywać całą armię grabarzy i żałobników. Są także kwaciarze, kamieniarze, ogrodnicy, nie wspominając już o księżach. Księża to cały problem. Rozsypując się wśród gwiazd, religie dzieliły się na coraz to nowe wyznania, aż doszło do tego, że teraz są tysiące sekt i wyznań. Niezależnie od tego Matka Ziemia jest dumna, że ani jedno ciało nie zostało dotąd pochowane bez duchownego reprezentującego ten sam kościół, do jakiego należała zmarła osoba. Aby to osiągnąć, musimy utrzymywać ogromną rzeszę pastorów przeróżnej wiary i wiele jest takich przypadków, że usługi kapłana jakiejś szczególnej, mało znanej religii potrzebne są nie częściej jak dwa razy do roku. Aby jednak byli dostępni na każde żądanie, musimy płacić im pensje przez cały rok. Możemy oczywiście zmniejszyć część naszych kosztów przez wprowadzenie mechanicznych koparek do grobów. Stoimy jednak na solidnym gruncie wielowiekowych tradycji i w konsekwencji liczba naszych grabarzy przekracza dziesiątki tysięcy. Również każdy pomnik na Cmentarzu jest wykonany ręcznie ze skał Matki Ziemi. Istnieje jeszcze coś, co wszyscy pomijają nie rozumiejąc. Nadejdzie kiedyś dzień — jest on bardzo odległy, ale nadejdzie — kiedy Matka Ziemia zostanie zapełniona. Pod każdą stopą gruntu spoczywać będą ciała naszych ukochanych przodków. Wtedy skończą się nasze dochody, ale pozostanie obowiązek wiecznej troski o Matkę Ziemię. Z tego powodu musimy co roku odkładać środki na

specjalny fundusz, który zapewni trwałość pomników tutaj wybudowanych tak długo, jak długo będzie istnieć Ziemia.

— Wszystko to brzmi wspaniale — przerwałem — cieszę się, że mi pan o tym powiedział. Ale, jeśli można, czy zechce mi pan wytłumaczyć, dlaczego uraczył mnie pan tak długą przemową?

— Dlaczego? — zdumiał się moim pytaniem. — Po prostu, żeby to panu wyjaśnić. Uzmysłowić nasze zadania. Żeby pan zrozumiał problemy, z jakimi się borykamy.

— A także dlatego, żebym znał pańskie głębokie zaangażowanie i oddanie sprawie.

— Tak, to również — przytaknął zupełnie nie wytrącony z równowagi i nie zmieszany. — Chcemy pokazać panu wszystko to, co jest tu do zobaczenia. Przyjemne małe wioski, w których mieszkają nasi pracownicy, piękno naszych drewnianych kościołów i pracowicie kamieniarzy.

— Panie Bell — rzekłem z naciskiem. — Ja nie jestem tu na zorganizowanej wycieczce. Nie jestem Pielgrzymem.

— Ale oczywiście zaakceptuje pan drobną pomoc i trochę kurtuazji, której okazanie sprawi nam tylko przyjemność.

Potrząsnąłem głową mając nadzieję, że niezbyt stanowczo.

— Muszę rozejrzeć się tutaj sam. To jedyny sposób, by wszystko było w porządku. Ja, Elmer i Bronco.

— Pan, Elmer i kto?

— Bronco.

— Bronco? Nie rozumiem.

— Panie Bell, żeby zrozumieć, naprawdę zrozumieć, musiałby pan znać historię Ziemi i chociaż część jej starych legend.

— Ale Bronco?

— Bronco to stary ziemski termin, którym określano konia. Spegałnego rodzaju konia.

— A więc ten Bronco to koń?

— Nie — zaprzeczyłem.

— Panie Carson, nie jestem całkowicie pewien, czy wiem, kim pan naprawdę jest i co pan zamierza.

— Jestem kompozytorem, panie Bell. Zamierzam stworzyć kompozycję o planecie Ziemia.

Kiwnął mądrze głową, tak jakby pozbył się wszelkich wątpliwości:

— Och tak, kompozytor. Powinienem być od razu się zorientować. Wygląda pan na wrażliwego człowieka. Nie mógłby pan wybrać lepszego tematu ani lepszego miejsca. Jest na tej planecie coś ulotnego, coś, czego nikomu do tej pory nie udało się opisać. Muzyka jest tu wszędzie, w każdej fali, za każdym zakrętem...

— Nie muzyka — przerwałem mu — nie tylko muzyka.

— Ma pan na myśli, że kompozycja to nie muzyka?

— Nie w takim sensie. Kompozycja to o wiele więcej niż muzyka. Jest to totalna forma sztuki. Oczywiście zawiera muzykę, ale ma w sobie również pisane i mówione słowo, rzeźby, malarstwo i pieśni.

— I pan to wszystko tworzy?

Potrząsnąłem głową.

— W zasadzie ja robię tu niewiele. Bronco jest tym, który robi najwięcej.

Splótł dłonie.

— Obawiam się, że jestem nieco zdezorientowany.

— Bronco jest kompozytorem — wyjaśniłem. — Absorbuję nastrój, widoki, ukryte niuanse, dźwięki, kształty i formy. Wchłania w siebie wszystko i przetwarza na produkt. Nie całkowicie gotowy produkt, nad tym

pracuję dopiero ja. Pracujemy razem. Myślę, że można stwierdzić, iż na jakiś czas staję się jego częścią. On zbiera podstawowe dane, a ja zaopatruję je w interpretację, chociaż nie w pełni, gdyż to także dzielimy między siebie. Obawiam się, że sprawa jest trochę zbyt trudna do wyjaśnienia.

Wyglądał na trochę oszołomionego moim opowiadaniem:

— Nigdy o czymś takim nie słyszałem. To dla mnie całkowita nowość.

— Bo to jest całkiem nowy concept — odparłem. — Został on opracowany na planecie Alden zaledwie dwieście lat temu i od tej pory był stale udoskonalany. Żadne dwa instrumenty nigdy nie są takie same. Zawsze jest coś, co można zrobić, by przyszłe brzmienie było pełniejsze. Jest to ciągle otwarty projekt, to kreowanie kompozytora. Sama nazwa nie jest zbyt odpowiednia, ale jak dotąd nikt nie wymyślił lepszej.

— Pan jednak nazywa go Bronco. Musi być coś w tym imieniu...

— Rzecz ma się tak. Kompozytor jest raczej duży i ciężki. To bardzo skomplikowany mechanizm i jest w nim wiele delikatnych elementów, nie można go ciągnąć za sobą, musi mieć własny napęd. A więc gdy się do tego zabieraliśmy, wbudowaliśmy mu również siodło tak, by mógł na nim jeździć człowiek.

— Przypuszczam, że przez „my” rozumie pan siebie i Elmera. Jak to się stało, że Elmer nie jest teraz razem z panem?

— Elmer to robot i nie jest jeszcze rozpakowany. Podróżował jako ładunek.

Bell poruszył się niespokojnie, protestując:

— Ależ, panie Carson, musiał pan przecież wiedzieć. Z pewnością musiał pan wiedzieć. Roboty nie są do-

zwolone na Matce Ziemi. Obawiam się, że będziemy musieli...

— W tym wypadku nie ma pan wyboru — rzuciłem ostro. — Nie może pan odmówić mu prawa pobytu na Ziemi. Jest on jej prawowitym mieszkańcem i tego ani pan, ani ja nie możemy zanegować.

— Obywatel Ziemi?! To niemożliwe. Musi pan żartować, panie Carson.

— Nic a nic. Był wyprodukowany tutaj. W dniach Ostatniej Wojny. Pomagał w budowie ostatnich wielkich maszyn bojowych. Potem stał się wolnym robotem, a według kodeksu galaktycznego posiada teraz takie same prawa, jak człowiek. Z nielicznymi tylko wyjątkami.

Bell potrząsnął głową.

— Nie jestem pewien. Wcale nie jestem pewien, czy...

— Nie musi pan być pewien. Wystarczy, że ja jestem. Sprawdziłem to w przepisach bardzo dokładnie. Elmer jest nie tylko obywatelem Ziemi, ale według prawa jest tu urodzony. Nie wyprodukowany, ale urodzony. Na planecie Alden znajduje się potwierdzający to legalny dokument, którego kopię mam ze sobą.

Nie prosił, bym pokazał mu tę kopię.

— Według prawa — ciągnąłem — Elmer jest człowiekiem.

— Ale kapitan z pewnością zakwestionowałby...

— Kapitan nie troszczył się o to już w chwilę potem, gdy przyjął oferowaną mu przeze mnie łapówkę. W wypadku gdyby prawo panu nie wystarczało, muszę powiedzieć, że Elmer ma osiem stóp wzrostu i jest bardzo, ale to bardzo silny. Poza tym jest wrażliwy. Nie pozwolił mi, abym go wyłączył, gdy zamykałem go w skrzyni. Nie chciałem być w skórze tego, kto otworzyłby ją zamiast mnie.

Bell przyglądał mi się prawie sennie, ale pod pozorem senności krył się niepokój.

— Dlaczego, panie Carson, tak źle pan o nas pomyślał? Każda pomoc, jaką Matka Ziemia będzie w stanie oferować, zostanie panu udzielona, gdy tylko pan o tym wspomni. Gdyby miał pan kłopoty finansowe...

— Oczywiście, że mamy kłopoty finansowe. Nie szukamy jednak pomocy.

Nalegał:

— Bywały okazje, kiedy przeznaczaliśmy pewne fundusze pieniężne na rzecz artystów. Dla pisarzy, malarzy...

— Starłem się, jak mogłem najwyraźniej — przerwałem mu — wyjaśnić, że nie chcę żadnych związków z Matką Ziemią ani Cmentarzem. Pan jednak nadal upiera się, że nie zrozumiał. Mam to wyłożyć bardziej jasno?

— Nie — odparł. — Myślę, że nie ma potrzeby. Działa pan pod wpływem romantycznego, ale błędnego mniemania, że Ziemia to coś więcej niż Cmentarz, ale mówię panu, że nie ma tu nic innego. Ziemia jest bez wartości. Została zniszczona i opuszczona dziesięć tysięcy lat temu. Zapomniano by o niej już dawno, gdyby nie my. Nie spróbuje się pan zastanowić jeszcze raz? Byłoby to na pewno z obopólną korzyścią. Jestem zaintrygowany tą nową formą sztuki, którą pan opisał.

— Niech pan posłucha — wycodziłem wściekły na jego upór. — Nie przyjechałem tutaj, by reklamować Cmentarz. Nie jestem do wynajęcia jako agent prasowy dla Matki Ziemi. Poza tym nie zawdzięczam wam nic. Zapłaciłem waszemu wspaniałemu kapitanowi pięć tysięcy kredytów, by tu przybyć i...

— Co jest o wiele niższą sumą — przerwał mi ze złością — od tej, jaką zapłaciłby pan na Statku Pielgrzymów. Ponadto Statek Pielgrzymów nie zabrałby całego pana bagażu.

— Pozostaję przekonany, że była to odpowiednia zaplata.

Przy pożegnaniu nie powiedziałem do widzenia. Odwróciłem się na pięcie i wyszedłem. Schodząc po stopniach budynku administracyjnego, zobaczyłem zaparkowany w dole pojazd. Jedyne samochód, jaki mogłem dostrzec. Kobieta, która w nim siedziała, patrzyła prosto na mnie, jakby wiedziała, że wyjdę z budynku i na mnie czekała.

Samochód był krzykliwie różowego koloru, a to skierowało moje myśli z powrotem ku Alden, to znaczy tam, gdzie się wszystko zaczęło.

3.

Był wczesny wieczór, a ja znajdowałem się w ogrodzie obserwując purpurową chmurę wiszącą nad różowym horyzontem (Alden był różowym światem) i wsłuchując się w trele ptaków, które obsiadły gałęzie kilku drzew. Przysłuchiwałem się im z przyjemnością, gdy wzbijając tumany różowego kurzu, poprzez piaszczystą równinę nadeszło to wielkie, ośmiostopowe monstrum, zataczając się niczym jakiś pijany potwór. Obserwując go miałem nadzieję, że przejdzie bokiem i zostawi mnie sam na sam z wieczorem i ptakami. Nie byłem w nastroju do spotykania się z obcymi. Przeżywałem lekką depresję i niczego nie pragnąłem bardziej jak tego, by zostawiono mnie w spokoju, tak by moje rany się zablizniły. Był to bowiem ten właśnie dzień, w którym ostatecznie ze-

tknąłem się z twardą rzeczywistością i stwierdziłem, że moje marzenie o Ziemi na nic się nie zda, jeżeli nie zdobędę więcej pieniędzy. Wiedziałem, jak małą szansę miałem na zdobycie gotówki. Wyskrobałem wszystko, co mogłem, pożyczyłem również tyle, ile mogłem. Ukradłbym, jeżeli byłaby możliwość kradzieży. Byłem realistą i wiedziałem, że nie będę w stanie zbudować takiego rodzaju kompozytora, jaki chciałem, i że im szybciej z tym skończę, tym lepiej.

Siedziałem w ogrodzie i przyglądając się temu wielkiemu monstrum sunącemu w dół ścieżki usiłowałem sobie wmówić, że kieruje się gdzie indziej i że się tu nie zatrzyma. Było to jednak tylko moje pragnienie, bo ogród mój mógł być jedynym miejscem, do którego się kierował.

Wyglądał jak robot budowlany, może od ciężkich konstrukcji, chociaż nie mogłem sobie wyobrazić, co taki robot mógłby robić na planecie Alden. Podszedł chwiejnym krokiem i zatrzymał się przy bramie.

— Za pana pozwoleniem, sir — poprosił o pozwolenie wejścia.

— Witam w moim domu — odparłem przez zaciśnięte zęby.

Otworzył bramę i przeszedł upewniając się, że zamknął ją za sobą. Podszedł do mnie, skłonił się na tyle, na ile potrafił i zasyczał coś uprzejmie. Słyszeliście kiedyś syczenie trzytonowego robota? Zapewniam was, że to niezwykle przeżycie.

— Ptaki śpiewają całkiem ładnie — stwierdził sadowiac się obok mnie.

— Bardzo ładnie — przytaknąłem.

— Niech mi pan pozwoli się przedstawić.

— Jeśli jesteś tak uprzejmy.

— Nazywam się Elmer. Jestem wolną maszyną. Pa-

piery legalizujące moją niezależność otrzymałem wiele wieków temu. Od tego czasu żyłem zawsze na własny rachunek.

— No — odrzekłem — gratulacje. Jak ci się wiedzie?

— Bardzo dobrze. Po prostu podróżuję sobie to tu, to tam.

Kiwnąłem głową wierząc mu. Można było czasami je spotkać, te wyzwolone, wałęsające się roboty, które po wielu latach służby otrzymały status człowieka.

— Słyszałem — ciągnął Elmer — że zamierza pan wrócić na Ziemię.

Nie „pojechać na Ziemię”, ale „wrócić tam”. Tak to sformułował. Minęło ponad dziesięć tysięcy lat, a nadal na Ziemię się wracało. Tak jakbyśmy opuścili ją zaledwie wczoraj.

— Zostałeś błędnie poinformowany — burknąłem.

— Ale ma pan kompozytora i...

— Potrzeba jeszcze — przerwałem mu — miliona części, by mógł wykonywać pracę, którą powinien. Żałosnym byłoby pojechać na Ziemię z taką kupą złomu, jaką jest teraz.

— To źle — stwierdził Elmer. — Na Ziemi czeka go wspaniała kompozycja. Jest tylko jeden szkopuł, sir... — Urwał zaambarasowany z jakiejś niewiadomej dla mnie przyczyny. Czekałem nic nie mówiąc, by nie zmieszać go jeszcze bardziej.

— Być może, nie mam prawa panu tego mówić, ale chciałem pana ostrzec, sir, żeby nie dał się pan złapać w sidła Cmentarza. Cmentarz nie jest częścią Ziemi. Został on jej nieuczciwie narzucony. Narzucony, jeśli mogę tak powiedzieć, z kolosalnym cynizmem.

Nastawiłem uszu. Oto, powiedziałem sobie bardziej zdumiony, niż chciałbym przyznać, jest ktoś, kto zgadza się ze mną. Przyjrzałem mu się uważniej w zapadającym

już mroku. Nie był niczym godnym większej uwagi. Korpus miał staromodny, przynajmniej według aldańskich standardów, i niezgrabny. Z całej budowy bila siła, a rysom twarzy nikt nie starał się nadać pozorów sympatyczności. Mimo chropowatego i potężnego ciała, sposób jego wymowy nie był taki, jakiego można się spodziewać po niezdatnym i ciężkim, starej daty robocie skonstruowanym do prac fizycznych.

— Jestem nieco zdumiony — powiedziałem mu — a jednocześnie wdzięczny losowi, że spotkałem robota zainteresowanego sztuką, szczególnie sztuką tak skomplikowaną.

— Próbowałem — odparł — utożsamiać się całkowicie z człowiekiem. Myślę, że samo to, iż nim nie jestem, wyjaśnia, dlaczego tak usilnie się starałem. Gdy tylko otrzymałem papiery nadające mi upragniony status, uznałem, że moim obowiązkiem jest próba stania się prawdziwym człowiekiem. Nie jest to oczywiście możliwe. Nadal pozostało we mnie bardzo wiele z maszyny.

— W jaki sposób dowiedziałeś się, że pracuję nad takim instrumentem?

— Jestem urodzonym mechanikiem, rozumie pan. Całe swoje życie byłem mechanikiem. Wystarczy mi spojrzeć na maszynę i instynktownie wiem, na jakiej zasadzie pracuje lub co w niej szwankuje. Dość, by pan powiedział, jakiego rodzaju maszynę chce zbudować, a istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że potrafię ją zrobić. Kompozytor jest to również mechanizm, tyle że bardziej skomplikowany, a z tego co zrozumiałem, daleko mu jeszcze do formy ostatecznej. Znajduje się ciągle w procesie rozbudowy i istnieje nieskończona ilość możliwości uzyskania jego ostatecznej postaci. Widzę, że przygląda się pan moim ręką i zastanawia się, w jaki sposób mógłbym wykonywać pracę, której

wymaga kompozytor. Odpowiedzią jest to, że mam inne ręce, bardzo specjalny rodzaj rąk. Odkręcam i przykręcam swoje zwykłe, codzienne ręce, a w ich miejsce zakładam takie, jakie są mi w danym momencie potrzebne. Słyszał pan o tym, oczywiście?

Kiwnąłem głową.

— Tak. Również o wyspecjalizowanych rodzajach oczu. Przypuszczam, że masz je również.

— Oczywiście, że tak — zgodził się.

— Kompozytor wydaje ci się wyzwaniem dla twoich zdolności?

— Nie wyzwaniem. To nieodpowiednie słowo. Znajduję satysfakcję w pracy nad skomplikowanymi mechanizmami. Wydaje mi się, że pełniej żyję. Czuję się wtedy doceniany. Zapytał mnie pan, skąd o panu wiem. Po prostu usłyszałem gdzieś o tym jakąś wzmiankę. O tym, że ktoś buduje kompozytora i chce wrócić na Ziemię. Zacząłem się rozpytywać wokół. Dowiedziałem się, że studiował pan na uniwersytecie, więc poszedłem tam i porozmawiałem z ludźmi. Był tam jeden profesor, który pokładał w panu wielkie nadzieje. Powiedział, że ma pan duszę wielkiego człowieka i ogromne wyczucie. Wydaje mi się, że nazywał się Adams.

— Doktor Adams jest teraz starym człowiekiem i wiele zapomniał. Zawsze jednak był bardzo miły. — Zachichotałem wyobrażając sobie tę scenę: wielkiego, chwiejącego się, ale pełnego zapału Elmera trującego wypielegnowane grunty uniwersyteckiego miasteczka; Elmera potykającego się, ale uparcie brnącego wzdłuż głuchych, prawie świątobliwych korytarzy, polującego na profesorów, by zadawać im natarczywe i niezbyt mądre pytania na temat dawnego studenta, którego prawdopodobnie mało który z nich pamiętał.

— Był jeszcze jeden profesor — dodał Elmer — który

wywarł na mnie bardzo duże wrażenie i długo z nim rozmawiałem. Nie zajmował się sztuką, ale archeologią. Powiedział, że znał pana dobrze.

— To mógł być tylko Thorndyke. Mój stary, zaufany przyjaciel.

— Tak właśnie się nazywał — potwierdził Elmer.

Czułem się mile połączony, ale jednocześnie odczuwałem lekką niechęć. Jaki interes mógł mieć ten niezręczny robot w wypytywaniu o moją przeszłość?

— A więc jesteś teraz przekonany, że potrafisz zbudować kompozytora? — zapytałem.

— Och, zupełnie przekonany.

— Jeśli przyszedłeś w nadziei, że cię wynajmę, to tracisz tylko czas — powiedziałem. — Nie dlatego, żebym nie potrzebował pomocy. Również nie dlatego, że nie chciałbym mieć ciebie do pomocy. Po prostu wypłukałem się z pieniędzy.

— To niezupełnie tak, sir. Byłbym oczywiście zachwycony, mogąc pracować z panem. Prawdziwym jednak powodem jest to, że ja chcę wrócić na Ziemię. Urodziłem się tam, rozumie pan, tam mnie skonstruowano.

— Coś ty powiedział?! — wykrzyknąłem.

— Że zostałem sfabrykowany na Ziemi. Jestem jej mieszkańcem. Chciałbym zobaczyć tę planetę jeszcze raz. Myślałem więc, że jeśli pan się tam wybiera...

— Powtórz — przerwałem mu — i to powoli. Chcesz mi naprawdę powiedzieć, że zbudowano cię na Ziemi? W starych wiekach?

— Widziałem, jaki był koniec Ziemi. Pracowałem nad ostatnią machiną wojenną. Zarządzałem całym programem.

— Ale przecież dawno już byłbyś się zużył. Oczywiście, że roboty mogą być długowieczne, ale aż...

— Byłem bardzo cenny — wyjaśnił. — Zarezer-

wowano dla mnie nawet kabinę, gdy ludzie zaczęli wędrowkę do gwiazd. Byłem nie tylko robotem. Byłem mechanikiem, inżynierem. Potrzebowali takich robotów jak ja przy zakładaniu swoich nowych siedzib daleko w kosmosie. Bardzo się o mnie troszczyli. Ciągłe wymieniano mi zużyte części i poddawano stałym przeglądom technicznym. Odkąd przyznano mi papiery nadające wolność, sam zacząłem dbać o siebie. Nigdy nie troszczyłem się o swoją zewnętrzną powłokę i nigdy jej nie zmieniłem. Starałem się tylko, by nie zardzewiała i łątałem dziury, to wszystko. Ciało się nie liczy, ważne są tylko wewnętrzne, pracujące elementy, teraz jednak niemożliwe jest otrzymanie odpowiednich części zamiennych. Od dawna nie ma ich na składzie. Mogą być jedynie wyprodukowane na specjalne zamówienie.

To, co powiedział, brzmiało prawdziwie. W tym dawno minionym dniu, tysiąc albo i więcej lat temu, kiedy ludzie opuszczali zrujnowaną planetę — wrak Ziemi, bo nie zostało tam nic, co mogłoby ich utrzymać przy życiu — na pewno potrzebowali robotów takich jak Elmer. Nie było to pełne wyjaśnienie, nie miałem jednak zamiaru wypytywać go dalej. Elmer nie starał się wcale wyrzucić wrażenia na słuchacza, pomimo to jego opowieść przepełniała jakąś wewnętrzną prawdą. Zresztą powodowała mną zwykła ciekawość, mógłby mi opowiedzieć o Ziemi. Dlatego, że pamięć o niej pozostanie w nim na zawsze, wszystko, o czym wiedział — bo roboty nie zapominają niczego. Pamięć o starożytnej Ziemi będzie czekała w jego dyskach pamięciowych na odtworzenie tak świeża, jakby zaprogramowano ją zaledwie wczoraj.

Poczułem, że się trzęsę — nie zewnętrznie, fizycznie, ale w środku. Tak wiele już lat usilnie starałem się zdobyć jakieś wiadomości o Ziemi, ale nagrania i doku-

menty były zagubione i rozrzucone, a nawet gdy do nich docierałem, znajdowałem tylko niezbyt ze sobą powiązane fragmenty. W tym odległym dniu, w którym ludzkość opuściła Ziemię odlatując do gwiazd, było zbyt mało czasu, by myśleć o zachowaniu dorobku kulturalnego planety. Na tysiącach różnych światów znajdowały się teraz być może takie świadectwa tego dorobku, zachowane tylko dlatego, że o nich zapomniano. Ukryte w starych składach, skrzyniach i graciarniach. Odszukanie wszystkich trwałoby przez wiele pokoleń, a większość znalezisk okazałaby się prawdopodobnie rozczarowaniem — banalne rzeczy, które nie dają odpowiedzi na dręczące kogoś pytania.

Koło mnie jednak siedział robot, który znał Ziemię i mógł o niej opowiadać. Może nie o wszystkim, o czym chciałbym wiedzieć — mieszkańcy Ziemi musieli być bardzo zdesperowani, większość planety już nie istniała, a dla niego musiały to być pełne pracy dni — ale na pewno wiele.

Usiłowałem sformułować jakieś pytanie i nie przychodziło mi do głowy żadne, na które, jak sądziłem, mógłby znać odpowiedź. Jedno po drugim pytania przesuwały mi się w myślach, ale każde odrzucałem jako nie pasujące do pamięci robota zaprojektowanego do budowy maszyn bojowych. Gdy tak usilnie zastanawiałem się nad właściwym pytaniem, powiedział coś, co całkowicie wybiło mi z głowy wszelkie pytania.

— Od lat — rzekł — wędrowałem przerzucając się z jednej pracy do drugiej, a wynagrodzenie zawsze miałem dobre. Rozumie pan, że biorąc wszystko pod uwagę, nie ma zbyt wielu rzeczy, których robot naprawdę potrzebuje. Tym samym nie odczuwa potrzeby wydawania pieniędzy. Po prostu je gromadziłem. A teraz

w końcu mam coś, na co chciałbym je wydać. Jeśli się pan na mnie nie obrazi...

— Obrazi? Za co? — zapytałem, nie pojmując toku jego myśli.

— Jak to? — odrzekł. — Chciałbym zainwestować swoje pieniądze w pańskiego kompozytora. Myślę, że mam wystarczającą kwotę, byśmy mogli go dokończyć.

Powinienem chyba być uszczęśliwiony, powinienem skoczyć na równe nogi i krzyknąć z radości. Zamiast tego siedziałem nieruchomo. Bałem się poruszyć. Bałem się, że jeżeli choćby drgnę, iluzja zniknie.

Tkwiąc w bezruchu, stwierdziłem chłodno:

— To niezbyt dobra inwestycja, nie polecałbym jej. Zaczął mnie prawie prosić:

— Niech pan posłucha. Oferuję panu nie tylko pieniądze. Mogę dać o wiele więcej. Jestem dobrym mechanikiem. We dwóch moglibyśmy zbudować instrument, który byłby najlepszym, jaki kiedykolwiek skonstruowano.

Kiedy zszedłem po schodach, kobieta siedząca za kierownicą różowego pojazdu zwróciła się do mnie:

— Pan Fletcher Carson, czy tak?

— Tak — odparłem zupełnie zaskoczony. — Skąd pani wiedziała, że mnie tu znajdzie? Nie było możliwości, by ktoś się o tym dowiedział.

— Czekałam na pana — rzekła. — Uprzedzono mnie, że będzie pan na statku pogrzebowym, ale dużo czasu zajęło mi dostanie się tutaj. Jestem Cynthia Lansing i muszę z panem porozmawiać.

— Nie mam zbyt wiele czasu — potrzebowałem go na ochłonięcie z zaskoczenia. — Może trochę później.

Nie była piękna w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale **było** w niej coś zajmującego, coś dającego się lubić już

na pierwszy rzut oka. Twarz jej przypominała nieco kształt serca, oczy miała ciche i spokojne, a ciemne włosy opadały jej na ramiona. Nie uśmiechała się, ale wydawała się gotowa do rozjaśnienia się uśmiechem w każdej chwili.

— Wybiera się pan do baraku, by rozpakować Elmera i Bronco. Mogę pana tam zawieść.

— Czy jest coś — zapytałem — czego pani o mnie nie wie?

Wtedy się uśmiechnęła.

— Wiedziałam, że gdy tylko się pan tu zjawi, będzie pan musiał złożyć kurtuazyjną wizytę Maxwellowi Peterowi Bellowi. Jak panu poszło?

— Maxwell Peter musiał mnie sobie zanotować jako kogoś, kto nadepnął mu na odcisk.

— A więc nie przekonał pana do swoich racji?

Potrząsnąłem głową. Nie za bardzo sobie ufałem, by o tym mówić. Jak, do diabła, zastanawiałem się, mogła wiedzieć o mnie tyle, ile zdawała się wiedzieć? Uzyskać informacje mogła tylko w jednym miejscu, a był to uniwersytet na Aldenie. Moi starzy przyjaciele mieli serca ze złota, mówiłem sobie, lubili jednak plotkować.

— No więc, proszę wsiadać — zaproponowała. — Możemy porozmawiać w drodze do baraku. Poza tym pragnę zobaczyć tego zadziwiającego robota, Elmera.

Wsiadłem do samochodu. Na jej kolanach leżała koperta, którą mi wręczyła.

— Dla pana — oświadczyła.

Na kopercie nagryzmołone było moje nazwisko i nie mogłem nie rozpoznać tych niewydarzonych bazgrołów. Thorney, powiedziałem sobie. Co, do diabła, mógł mieć Thorney wspólnego z Cynthią Lansing, która przygotowała na mnie zasadzkę, gdy tylko pojawiłem się na Ziemi?

Zapуściła silnik i ruszyła, podczas gdy ja rozrywałem kopertę. W środku znajdował się oficjalny, firmowy druk Uniwersytetu na Aldenie, a w jego górnym lewym rogu starannie wykaligrafowano: „William J. Thorndyke, Katedra Archeologii”. Sam list pisany był tymi samymi kulfonami, jakie znajdowały się na kopercie.

Drogi Fletch!

Doręczyteliem tego listu będzie pani Cynthia Lansing i chciałbym, abyś uwierzył, że to, co Ci powie, jest prawdą. Przeanalizowałem ewidencję i mógłbym postawić swą reputację, że jest autentyczna. Będzie chciała towarzyszyć Ci w Twojej wędrówce i zrobiłbyś mi ogromną przyjemność, gdybyś zechciał na to przystać oraz pomagał jej i współpracował na ile to tylko możliwe. Poleci Statkiem Pielgrzymów na Ziemię i będzie tam na Ciebie oczekiwać. Przekazałem do jej dyspozycji nieco funduszy naszej Katedry. Możesz z nich również korzystać, jeśli uznasz to za potrzebne. Pragnę Ci tylko jeszcze powiedzieć, że jej obecność na Ziemi ma coś wspólnego z tym, o czym rozmawialiśmy ostatnim razem, gdy przyszedłeś zobaczyć się ze mną przed odlotem.

T.

Lektura tego listu przypomniała mi nasze ostatnie spotkanie w pokoju, który nazywał swoim studiem. Ogień kominka oświetlał niewielkie wnętrze wypełnione po sufit półkami z tysiącami książek, psa zwiniętego na kawałku derki i kota siedzącego na oparciu fotela. Thorney siedział na pufie obracając w dłoni szklaneczkę brandy i mówił:

— Fletch, jestem pewien, że mam rację, że moja teoria jest prawdziwa. Anachroniści nie byli galaktycz-

nymi kupcami, jak sądzi wielu moich kolegów. Oni byli obserwatorami, szpiegami kultury. Kiedy się temu przyjrzesz, zobaczysz, że to ma sens. Powiedzmy, że wielka cywilizacja miała możliwość badania Galaktyki. Powiedzmy, że w jakiś sposób potrafili stwierdzić, czy na danej planecie istnieje lub powstaje cywilizacja. Zostawiają obserwatora, który czujnie śledzi wszystkie odkrycia, mogące mieć jakieś znaczenie. Jak wiemy, kultury różnią się bardzo między sobą. Można to zauważyć nawet na przykładzie kolonii zakładanych przez Ziemiaków. Wystarczyło kilka stuleci, by je zróżnicować. Różnice te będą oczywiście jeszcze większe na planetach posiadających, obecnie lub w przeszłości, obce albo wrogie cywilizacji ludzkiej istoty. Nie ma dwóch grup inteligentnych istot, których rozwój szedłby w tym samym kierunku. Mogą wprawdzie dojść do takich samych wyników, ale dochodzą do nich różnymi sposobami, a w takim procesie wykształcają u siebie zachowania i tworzą koncepcje, jakich nie mają inni. Nawet wielka galaktyczna kultura rozwijałaby się w ten sposób i właśnie dlatego pozostałoby wiele punktów widzenia, wiele koncepcji i możliwości, które ta cywilizacja ominęłaby na drodze swojego rozwoju. Jeżeli to prawda, to wydaje mi się, że taka kultura uznałaby za celowe poświęcenie czasu na studiowanie możliwości, które przeoczyła, albo nawet o nich nie pomyślała. Prawdopodobnie nie więcej niż jedna na dziesięć z takich możliwości miałaby wartość dla ich rozwoju, ale nawet ta jedna mogłaby okazać się tą najważniejszą. Mogłaby im dać nową perspektywę, uczynić ich cywilizację bardziej zwartą, bardziej spójną. Gdyby na przykład, co nie jest oczywiście prawdą, Ziemia była jedyną planetą, na której wymyślono koło, to zakładając, że wielka

galaktyczna cywilizacja doszła do swojej potęgi dzięki jakiemuś innemu wynalazkowi, który pozwalał obywateli się bez koła, należałoby się zastanowić, czy wiadomość o kole, nawet w późnym etapie rozwoju cywilizacyjnego, nie mogłaby mieć dużej wartości? Przecież koło to taka poręczna rzecz.

Powróciłem myślami do terażniejszości. Ciągłe ścisłałem list w dłoniach. Zbliżaliśmy się do baraku. Statek pogrzebowy stał jeszcze na lądowisku, ale nie było już widać ani śladu pojazdów rozładowujących ładunek. Praca widocznie została zakończona.

— Thorney mówi, że masz zamiar wyruszyć z nami — zwróciłem się do swojej towarzyszki. — Nie wiem, czy to możliwe. Nasza podróż będzie uciążliwa. Kempingi przy podłej pogodzie, sama wiesz.

— Wytrzymam to. Potrafię zakładać obozowiska.

Potrząsnąłem z niedowierzaniem głową.

— Niech pan posłucha — zaprotestowała. — Postawiłam wszystko na jedną kartę. Na to, żeby być tutaj, kiedy pan wylądjuje. Wydałam ostatni zaoszczędzony kredyt na opłacenie koszarnej stawki przejazdu na Statku Pielgrzymów...

— Thorney pisze coś o jakichś funduszach. O dotacji.

— Nie miałam wystarczającej ilości pieniędzy na powrotny bilet. Część więc wydałam. Poza tym czekałam na pański przylot na statku, co również nie jest tanie. Pozostało bardzo niewiele. W zasadzie nic nie zostało...

— To bardzo źle — rzekłem. — Zdawałaś jednak chyba sobie sprawę z ryzyka. Nie miałaś powodów, by wierzyć...

— Ależ miałam. Jest pan tak samo zrujnowany jak ja.

— Co przez to rozumiesz?

— To, że nie będzie pan miał dość pieniędzy, by powrócić na Alden, nawet gdy ukończy pan swą kompozycję.

— Wiem o tym — odparłem — ale jeśli będę miał tę kompozycję...

— Ale nie pieniądze — przerwała mi. — A Matka Ziemia nie będzie zbyt chętna, by panu pomóc.

— Zgadzam się. Nie rozumiem jednak, w jaki sposób zabranie ciebie miałyby...

— To właśnie usiłowałam cały czas panu powiedzieć. Może zabrzmie to głupio...

Jej słowa płynęły, a ona siedziała wpatrując się we mnie uważnie. Nie wyglądała już tak, jakby miała ochotę się uśmiechać.

— Do diabła — zdenerwowała się. — Dlaczego nic nie mówisz? Czemu nie pomożesz mi choć trochę? Dlaczego nie zapytasz o moje argumenty?

— W porządku. Jakie są twoje argumenty?

— Wiem, gdzie jest skarb.

— Na miłość boską, jaki skarb?

— Skarb Anachronistów.

— Thorney jest przekonany — zacząłem — że Anachroniści byli na Ziemi. Chciał, żebym wypatrywał wszelkich możliwych śladów ich pobytu. Oczywiście jest to prawie na pewno strata czasu, mówił. Archeolodzy nie są nawet pewni, czy taka rasa istniała. Nigdy nie znaleziono ich ojczystej planety. Wszystko, co mamy do tej pory, to fragmenty szczątkowych inskrypcji na sześciu planetach, znalezionych pośród ruin kultur tych planet. Choć wydaje mi się on nader wątpliwy, jest to jakiś dowód na to, że członkowie tej zagadkowej rasy kiedyś tam żyli. Może byli handlowcami, jak uważa większość archeologów, może obserwatorami, w co wierzy Thorney, a może podróżowali z planety na planetę z jakiejś

innej, nieznaney nam przyczyny. Opowiedział mi o tym, ale nigdy nie wspomniał o skarbie.

— Ale przecież był skarb. Został przywieziony ze starożytnej Grecji do starożytnej Ameryki podczas Ostatecznej Wojny. Znalazłam na to dowód i profesor Thorndyke...

— Zaczynj mówić z sensem — przerwałem jej. — Jeśli Thorney ma rację, to oni nie byli tu dla skarbu. Przybyli, by zbierać informacje, obserwować.

— Oczywiście, że informacje. Ale co z samym obserwatorem? Musiał być profesjonalistą, czyż nie? Historykiem, a może czymś więcej niż historykiem. Rozpoznałby kulturalną wartość pewnych przedmiotów, na przykład rytualnej siekiery prehistorycznego szczepu, greckiej urny, egipskiej biżuterii...

Wcisnąłem list do kieszeni i wyskoczyłem z pojazdu.

— Możemy porozmawiać o tym później — oświadczyłem. — Teraz muszę uwolnić Elmera, byśmy mogli poskładać razem Bronco.

— Pojadę z panem?

— Zobaczymy.

Jak, do diabła, zastanawiałem się, mógłbym ją powstrzymać? Miała błogosławieństwo Thorneya, może i wiedziała coś o Anachronistach, a nawet o skarbie. No i nie mogłem jej przecież tutaj zostawić, całkowicie spłukanej. Jeśli jeszcze nie całkiem, to gdy zamieszka w hotelu, niewiele jej do tego będzie brakowało, a nie miała możliwości zamieszkania gdzie indziej. Bóg mi świadkiem, że jej nie chciałem. Nie przyjechałem tu poszukiwać skarbów. Przybyłem na Ziemię, by stworzyć kompozycję. Miałem nadzieję uchwycić trochę atmosfery Ziemi, Ziemi bez Cmentarza. Nie mogłem uganiać się za skarbem Anachronistów. Obiecałem Thorneyowi tylko to, że będę miał oczy otwarte.

Nie znaczyło to jednak, że mam dla niego prowadzić poszukiwania.

Ruszyłem w kierunku otwartych drzwi baraku, z Cynthią wlokącą się za moimi plecami. Wewnątrz panował mrok i zatrzymałem się na chwilę, by przyzwyczaić oczy do ciemności. Coś się poruszyło i zobaczyłem trzech ludzi — wyglądali na robotników.

— Mam kilka paczek — zwróciłem się do nich. Leżało tu sporo pakunków wyładowanych ze statku pogrzebowego.

— Są tam, panie Carson — odrzekł jeden z nich i wskazał ręką w bok. Wtedy je zobaczyłem: dużą skrzynię zawierającą Elmera i cztery mniejsze, w które spakowaliśmy Bronco.

— Dziękuję. Szczególnie za to, że trzymaliście je z dala od innych bagaży. Prosiłem o to kapitana, ale...

— Jeszcze tylko jeden drobiazg — przerwał mi. — Koszta manipulacji i składowania.

— Nie rozumiem? Koszta?

— Oczywiście. Moi ludzie nie pracują za darmo.

— Pan jest tu szefem?

— Tak. Nazywam się Reilly.

Reilly sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął jakiś papier. Przyjrzał mu się uważnie, tak jakby upewniał się, czy wszystko w porządku.

— A więc — zaczął — koszta wynoszą czterysta dwadzieścia siedem kredytów, ale niech będzie, powiedzmy, czterysta.

— Musi się pan mylić — powiedziałem usiłując utrzymać nerwy na wodzy. — Cała wasza praca polegała na wyładowaniu skrzyń ze statku i dostarczeniu ich tutaj. A jeśli chodzi o składowanie, to nie leżały tu dłużej jak godzinę.

Reilly potrząsnął ze smutkiem głową.

— Nic na to nie poradzę, takie są stawki. Albo pan zapłaci, albo zatrzymamy ładunek, takie są przepisy.

Pozostali dwaj ludzie podeszli cicho i stanęli po obu jego stronach.

— To przecież śmieszne — zaprotestowałem. — To musi być jakiś żart.

— Żaden żart, panie Carson.

Nie miałem czterystu kredytów, a nawet gdybym miał, nie zapłaciłbym ich. Nie zamierzałem jednak wdawać się w bójkę z Reillym ani z jego potężnie zbudowanymi pomocnikami.

— Chciałbym to zobaczyć — powiedziałem, żeby zachować twarz. Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym zrobić. Byłem w potrzasku. Wiedziałem, czyja to robota, nie ich, ale Maxwella Petera Bella.

— Niech pan to zrobi — rzekł Reilly — po prostu podejdzie i spojrzę.

Mogłem wybiec z baraku prosto do Bella, czego rzecz jasna życzył sobie ten drań. Oczekiwał, że tak zrobię i że oczywiście wszystko odbędzie się po jego myśli, to znaczy zapomni o wszystkim, jeśli zaakceptuję dotację korporacji i wykonam taką robotę, jakiej sobie życzą. Nie leżało to jednak w moich zamiarach.

Cynthia krzyknęła nerwowo do mnie:

— Fletcher, oni nas otaczają!

Odwrociłem głowę — przez drzwi wchodziło jeszcze kilku mężczyzn.

— Nie otaczamy — z sarkazmem zaprotestował Reilly. — Po prostu upewniamy się, że pan zrozumie. Żaden obcy nie będzie tu przychodził i mówił nam, co mamy robić.

Nagle spoza Reillego dobiegł cienki, skrzypiący dźwięk i już w tym momencie gdy go usłyszałem, domyśliłem

się, co to jest. Odgłos, jaki wydaje wyciągany z drewna trzpień.

Reilly i jego pomagierzy odwrócili się, a ja wrzasnąłem:

— W porządku, Elmer! Wychodź i bierz się za nich!

Po moim okrzyku skrzynia wydawała się eksplodować, deski połamały się i zostały odrzucone na bok, a ze środka wyłonił się Elmer w całej okazałości swoich ośmiu stóp. Spojrzał na szczątki z grymasem.

— Co jest, Fletch?

— Tylko nie za ostro, Elmer — zaznaczyłem. — Nie zabijaj ich. Po prostu trochę poturbuj.

Robot dał krok w stronę Reilly'ego, a jego dwóch ludzi natychmiast wycofało się za jego plecy.

— Nie będę robił im krzywdy — stwierdził Elmer. — Odsunę ich tylko na bok, jeśli staną nam na drodze. Kogo tutaj masz ze sobą, Fletch?

— To Cynthia — odparłem. — Wyruszy z nami.

— Naprawdę? — widziałem, że jej radość jest rzeczywiście ogromna.

— Uważaj, Carson! — ryknął w odpowiedzi Reilly. — Nie próbuj tutaj żadnej przemocy.

— Wynocha! — rzucił krótko Elmer. Przesunął się w kierunku robotników i machnął ręką. Wystraszyli się i uciekli przepychając się w drzwiach.

— Nie róbcie tego! — wrzasnął Elmer i runął za nimi. Nie stracili jednak całkiem orientacji, bo kilku z nich zaczęło zamykać ciężkie drzwi baraku. Na ułamek sekundy zanim zetknęły się z framugą, Elmer złapał je, otworzył siłą, a następnie uderzył barkiem. Wygięły się w zawiasach.

— To ich zatrzyma — stwierdził. — Zamierzali nas zamknąć, wyobrażasz sobie? No, a teraz mógłbyś mi powiedzieć, Fletch, co tu się dzieje.

— Maxwell Peter Bell — odparłem — nie lubi nas. Zabierzmy się za Bronco. Im szybciej stąd wyjdziemy...

— Muszę dostać się do samochodu — przerwała mi Cynthia. — Mam tam wszystkie swoje zapasy i ubrania.

— Zapasy?

— Oczywiście. Żywność i inne rzeczy, których będziemy potrzebować. Nie przypuszczam, żebyś ty wziął coś ze sobą. To jedna z przyczyn, dlaczego jestem taka spłukana. Ostatnie pieniądze wydałam...

— Idź do samochodu — rzekł Elmer. — Ja patrzę. Nikt nawet cię nie dotknie.

— Widzę, że pomyślałaś o wszystkim. Byłaś całkiem pewna, że...

Nie słuchała mnie jednak, wybiegła już na zewnątrz. Nigdzie nie widziałem śladu Reilly'ego, ani jego ludzi. Wsiadła do samochodu i podjechała do drzwi baraku.

Elmer podszedł do pozostałych skrzynek i zapukał w mniejszą z nich:

— To ty, Bronco? Jesteś w środku?

— Tak — usłyszałem stłumiony głos. — To ty, Elmer? Dotarliśmy na Ziemię?

— Nie wiedziałam — zdziwiła się Cynthia — że Bronco to osoba i że umie mówić. Profesor Thorndyke nie powiedział mi o tym.

— Ma trochę inteligencji — odparł Elmer — ale niewiele. Nie jest geniuszem. — Upewnił się: — U ciebie wszystko w porządku?

— Dziękuję, tak — dotarła do nas cicha odpowiedź.

— Musimy znaleźć jakiś łom, żeby otworzyć te skrzynie — zaproponowałem.

— To niekonieczne — odrzekł Elmer. Zwinął dłoń w pięść i rąbnął w róg skrzyni. Drewno pękło i utworzyło szczelinę, w którą wsadził palce i rozerwał skrzynię.

— To łatwe — sapnął. — Nie byłem pewien, czy potrafię wydostać się z mojego opakowania. Miałem

mało miejsca i słabe oparcie. Jednak kiedy usłyszałem, co się dzieje...

— Czy Fletch jest tutaj? — zapytał Bronco.

— Fletch troszczy się o siebie całkiem dobrze — roześmiał się Elmer. — Zdążył już sobie nawet przygadać dziewczynę.

Kontynuował odrywanie desek od skrzynek.

— Bierzmy się do roboty — dokończył.

Wzięliśmy się więc do pracy. We dwóch.

Bronco był dość skomplikowany i niełatwy do zmontowania. Miał wiele części i wszystkie musiały zostać złożone z dużą dokładnością. Pracowaliśmy jednak nad Bronco prawie przez dwa lata i znaleźmy go na wylot.

Z początku posługiwaliśmy się modelem podręcznikowym, ale teraz nie było już takiej potrzeby. Odrzuciliśmy podręcznik, gdy był już taki zniszczony; że nie nadawał się do użytku, a samemu Bronco dodaliśmy nieco elementów to tu, to tam. Przerobiliśmy go nieco i udoskonaliliśmy, tak że wcale nie przypominał pierwotnego modelu. Znaleźmy każdy jego detal na pamięć. Moglibyśmy rozebrać go w szczerym polu na części pierwsze i złożyć z powrotem z zamkniętymi oczami. Nie wykonywaliśmy żadnych niepotrzebnych ruchów i nie musieliśmy udzielać sobie nawzajem żadnych porad i wskazówek. Pracowaliśmy razem z Elmerem niczym dwa automaty. W ciągu dwóch godzin złożyliśmy Bronco do kupy.

Złożony wyglądał jak dzieło jakiegoś zwariowanego konstruktora. Miał osiem przegubowych nóg, mających w sobie coś z owada. Każda z nich mogła się wyginać w dowolnym kierunku. Mógł poruszać się wszędzie, na każdym gruncie. Potrafił pokonywać prawie pionowe ściany. Miał także szpony, które wysuwał, by móc się lepiej przytrzymać skały. Jego baryłkowaty korpus

zaopatrzone w siodło dawał doskonałą ochronę delikatnym instrumentom zawartym we wnętrzu. Posiadał całą serię uchwytów, które pozwalały na umocowanie mu na grzbiecie ładunku. Miał też chowany ogon zawierający około stu różnych czujników. Jego głowa również ukoronowana była całym zestawem sensorów.

— Czuję się dobrze — zameldował. — Czy wyruszamy zaraz?

Cynthia wyładowała zapasy z samochodu.

— Sprzęt kempingowy — określiła krótko ładunek. — Koncentraty, konserwy, śpiwory. Nic specjalnego. Nie miałam na to pieniędzy.

Elmer zaczął zakładać i zamocowywać na grzbiecie Bronco pudełka i skrzynki.

— Jak myślisz, potrafisz na nim jeździć? — zapytał Cynthię.

— Oczywiście, że tak. A co z tobą?

— Będzie jechał na mnie — oświadczył Elmer. — Może będziemy musieli stąd uciekać. Może przygotowują na nas zasadzkę.

Cynthia podeszła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz.

— Nikogo nie widać — oznajmiła.

— Jak się stąd wydostać? — zapytał Elmer. — Jaka jest najszybsza trasa poza Cmentarz?

— Trzeba ruszyć na zachód — odparła. — Koło budynku administracyjnego. Cmentarz kończy się jakieś dwadzieścia pięć mil dalej.

Elmer zakończył pakowanie i rozejrzał się wokół.

— Myślę, że to wszystko — stwierdził. — A teraz, panienko, włącz na Bronco.

Pomógł jej i ostrzegł:

— Trzymaj się mocno. Bronco nie porusza się zbyt gładko i płynnie.

— Dam sobie radę — odpowiedziała, ale wyglądała na wystraszoną.

— A teraz ty — skierował się do mnie. Zacząłem ponownie protestować, ale zrezygnowałem wiedząc, że nic to nie da. Poza tym Elmer rozumował logicznie. Gdybyśmy musieli uciekać, potrafił biec dziesięć razy szybciej niż ja. Te jego metalowe nogi dosłownie pożerały przestrzeń.

Podniósł mnie i posadził sobie na karku.

— Chwyć mnie za głowę, by utrzymać równowagę — rzekł. — Ja będę obejmował twoje nogi. Moja w tym rzecz, abys nie spadł.

Zgodziłem się, niezbyt zadowolony. Moja pozycja nie należała do najgodniejszych.

Nie musieliśmy uciekać. Nie widzieliśmy nikogo, nie licząc jednej odległej postaci maszerującej na północ aleją między kamieniami nagrobkowymi. Musieli być jednak jacyś ludzie, którzy nas obserwowali. Prawie odczuwałem ich wzrok na plecach.

Zapewne przedstawialiśmy dziwny widok — Cynthia jadąca na obładowanym różnymi belami i skrzynkami Bronco, a ja na ośmiostopowym Elmerze.

Nie biegliśmy ani też nie śpieszyliśmy się, a mimo to posuwaliśmy się dość szybko. Bronco i Elmer byli dobrymi piechurami. Nawet gdyby szli normalnym, spacerowym krokiem, człowiek musiałby biec, by dotrzymać im tempa.

Przeszliśmy robiąc nieco hałasu obok budynku administracyjnego i wyszliśmy na główną aleję Cmentarza. Droga przed nami była pusta, a okolica wydawała się spokojna. Od czasu do czasu daleko na horyzoncie udawało mi się dostrzec małą osadę, to znaczy wieżę ratusza czy kościoła wskazującą niebo lub migotanie kolorów, które okazywały się dachami domów. Przypu-

szczałem, że te osady były miejscami pobytu pracowników zatrudnionych przez Korporację „Matka Ziemia”.

W miarę jak tak jechałem, kołysząc się i kiwając na grzbiecie Elmera, uświadomiłem sobie, że mimo całego swego majestatycznego piękna Cmentarz jest w rzeczywistości posępny i ponury. Niezmiennosc krajobrazu była monotonna, a nad całym miejscem wyczuwało się śmierć.

Nie miałem wcześniej na to czasu, ale teraz zacząłem się niepokoić. Co najdziwniejsze, najbardziej niepokoiło mnie to, że Cmentarz już po jednej, słabej zresztą próbie nie uczynił nic więcej, żeby nas zatrzymać. Mimo to, powiedziałem sobie, gdyby Elmerowi nie udało się wydostać ze skrzyni, Reilly i jego ludzie zatrzymaliby nas na pewno. Teraz jednak wydawało się, że Bell doszedł do wniosku, iż może nam pozwolić na posuwanie się naprzód. Wiedział, że kiedy tylko zechce, może nas osiągnąć. Nie usiłowałem oszukiwać samego siebie co do osoby Maxwella Petera Bella.

Zastanawiałem się również, czy będą próbowali wobec nas jeszcze jakichś sztuczek. Może zresztą nie musieli, Bell i Cmentarz mogli nie być już nami zainteresowani. Pozwolą nam chodzić wszędzie, gdzie chcemy, bo wiedzą, że bez pomocy Cmentarza nie mamy szansy na opuszczenie Ziemi.

Spartoliłem sprawę, pomyślałem. Postawiłem się na dętemu Bellowi i tym samym zaprzepaściłem jedyną szansę na nawiązanie przyzwoitych stosunków zarówno z nim, jak i z całą korporacją. Pociuszająca była jednak świadomość, że być może, nie miało to większego znaczenia. Powinienem od razu zrozumieć, że na Ziemi grało się razem z Cmentarzem albo nie grało się w ogóle. Cała ta przeklęta wyprawa była skazana na niepowodzenie od samego początku.

Nie wydawało mi się, aby upłynęło zbyt wiele czasu, chociaż mogło być i tak — przez swoje rozmyślenia zupełnie straciłem kontakt z rzeczywistością — kiedy droga wspięła się na wzgórze i tu się urwała. Cmentarz kończył się również.

Spojrzałem na rozpościerającą się przed nami dolinę i na otaczające ją wzgórza wstrzymując oddech ze zdumienia na ten widok. Był to dziwacznie zalesiony obszar ubrany w płonące kolory, które jarzyły się niczym ogniska w południowym słońcu.

— Jesień — powiedział Elmer. — Zapomniałem, że na Ziemi jest jesień. Na Cmentarzu nie można było tego stwierdzić. Wszystkie drzewa były zielone.

— Jesień? — zdziwiłem się.

— Pora roku — odparł. — Sezon, w którym wszystkie drzewa mają kolorowe liście. Zapomniałem o tym. — Odwrócił głowę tak, by móc na mnie spojrzeć. Gdyby umiał, pewnie by zapłakał.

— Tak wiele się zapomina — dodał.

5.

Był to świat piękna, ale piękna drapieżnego, pełnego pożądania, zupełnie odmiennego od delikatnego piękna mojej ojczystej planety Alden. Świat poważny i wywierający niezapomniane wrażenie, z pewnym odcieniem niepokoju i strachu w jego strukturze i kolorach.

Siedziałem na porośłym mchem gładzie nad rwącym ciemnobrazowym strumieniem, którym niczym miniaturowe bajkowe łódeczki płynęły czerwone, złote i żółte liście.

Koncentrując się, mogłem ponad gardłowym bulgotaniem ciemnej wody dosłyszeć szelest innych spadających na ziemię liści. Mimo wszystkich tych kolorów i piękna, panował tu jakiś odwieczny smutek. Siedząc tak i wsłuchując się w szum wody i szelest liści przy-

glądałem się drzewom. Były masywne i wiało od nich starością. Dawały poczucie bezpieczeństwa i uspokojenie, co przywodziło na myśl dom.

Tutejsze kolory, nastrój, dźwięki, w ogóle całą przestrzeń odczuwało się prawie namacalnie. Słońce zachodziło, powodując zapadanie przypominającego mgłę mroku pomiędzy drzewami i nad strumieniem. W powietrzu czuć było chłód. Wiedziałem, że już czas, bym wracał do obozowiska. Nie chciało mi się jednak ruszać. Miałem uczucie, że znajduję się w miejscu, którego nie można zobaczyć takim samym dwa razy. Że jeżeli odejdę i wrócę, nie będzie jak teraz. Choćbym nie wiem ile razy wracał dokładnie w to samo miejsce, nie będę czuł tego, co czuję w tej chwili. Czegoś będzie brakować albo coś zostanie dodane, ale już nigdy w ciągu całej wieczności elementy otoczenia nie wytworzą obecnego, pełnego czaru nastroju.

Za moimi plecami zagrzechotał kamień. Obejrzałem się, by ujrzeć sunącego w półmroku Elmera. Nie odzwałem się, a on również milcząc przykucnął obok mnie. Nie było nic do powiedzenia, nic, co należałoby omówić. Siedziałem tak przypominając sobie inne, podobne do tej chwile, w których między mną a Elmerem istniało porozumienie bez słów. Siedzieliśmy, aż mrok zgęstniał, a z daleka zaczął nas dolatywać słaby odgłos ujadania jakiegoś zwierzęcia. Woda kontynuowała swą rozmowę — szept w pogłębiających się ciemnościach.

— Rozpaliłem ogień — powiedział w końcu Elmer. — Będziemy go potrzebowali, by coś ugotować. Gdyby jednak nie było takiej potrzeby, i tak bym go rozpalił. Ziemia woła o ogień. Dzięki niemu człowiek wyrósł z epoki barbarzyństwa. W całej historii ludzkości nigdy nie pozwolono wygasnąć ogniowi.

— Czy tak to pamiętasz? — zapytałem.

— Nie — potrzęsnała głową. — Ale w jakiś sposób wiem, że tak być powinno. Nie było wtedy drzew takich jak te ani podobnych strumieni. Ale rozumiesz chyba, że jeżeli zobaczysz jedno drzewo płonące kolorami w blasku jesiennego słońca, to potrafisz wyobrazić sobie, jak będzie wyglądał cały las takich drzew. Jeśli zobaczysz strumień o wodzie czerwonej barwy pokrytej brudem, wiesz, jak mógłby wyglądać, gdyby nie było zanieczyszczeń.

Ujądanie dobiegło nas znowu i po kręgosłupie przeszedł mi zimny dreszcz.

— Psy — oznajmił Elmer. — Polują na coś. Może psy, a może wilki.

— Byłeś tu w czasie Ostatecznej Wojny — zagadnąłem. — Wtedy wszystko wyglądało inaczej, prawda?

— Inaczej — zgodził się. — Prawie wszystko już umarło albo umierało. Były jednak jeszcze miejsca, w których istniał dawny krajobraz. Małe enklawy, gdzie nie dotarły trucizny i promieniowanie, miejsca, które tylko lekko ucierpiały. Wystarczyło je zobaczyć, by zdać sobie sprawę z dawnego wyglądu planety. Ludzie żyli później już głównie pod ziemią. Ja pracowałem na powierzchni nad jedną z maszyn bojowych, może nad ostatnią, jaką wybudowano. Jeżeli nie brać pod uwagę jej przeznaczenia, był to wspaniały mechanizm. Zresztą nie tylko mechanizm, bo mózg też miała inny. Hybryda maszyny i człowieka, mechaniczny mózg połączony z umysłami ludzi. Nie wiem, kim oni byli. Ktoś musiał wiedzieć, ale ja nigdy do tego nie doszedłem. Często się jednak nad tym zastanawiałem. Widzisz, jedynie użycie robotów pozwalało na dalsze kontynuowanie wojny. Żaden człowiek nie wytrzymałby warunków walki. Tak więc to mechaniczni słudzy i towarzysze człowieka prowadzili zmagania. Nie wiem, dlaczego tak postępo-

wali. Często sam siebie o to pytam. Zniszczono przecież wszystko, co można zniszczyć, nie było więc o co walczyć. A jednak wojna trwała.

Zamilkł i wstał.

— Wracajmy — powiedział. — Musisz być głodny. Ta młoda pani również. Fletch, obawiam się, że nie bardzo rozumiem, dlaczego ona idzie z nami.

— To ma związek ze skarbem.

— Jakim skarbem?

— Tak naprawdę to sam nie wiem. Nie było czasu, by mi dokładnie wyjaśniła.

Z miejsca, w którym staliśmy, widać było blask ognia. Ruszyliśmy w jego kierunku.

Cynthia klęczała obok kupy węglików, które odsunęła na bok, i trzymała nad nimi garnek mieszając w nim łyżką.

— Mam nadzieję, że to zjadliwe — powiedziała. — Rodzaj zupy.

— Nie było potrzeby, abyś to robiła — zauważył trochę zirytowany Elmer. — Jeśli trzeba, jestem całkiem dobrym kucharzem.

— Tak samo i ja — odparła Cynthia.

— Jutro — kontynuował Elmer — zdobędę dla was trochę mięsa. Widziałem kilka wiewiórek i jednego czy dwa króliki.

— Nie mamy myśliwskiego wyposażenia — wtrąciłem. — Nie wzięliśmy ze sobą broni.

— Możemy zrobić łuk — zaproponowała Cynthia.

— Nie trzeba nam strzelby ani łuku — stwierdził Elmer. — Wystarczą kamienie. Pozbieram zaraz nieco kamyków...

— Nikt nie potrafi polować kamieniami — zaprotestowała Cynthia. — Niemożliwy jest wystarczająco precyzyjny rzut.

— Ja potrafię. Jestem maszyną. Nie polegam na mięśniach ani na ludzkim oku, choćby było nie wiem jak precyzyjne.

— Gdzie Bronco? — zapytałem naraz zdziwiony jego nieobecnością.

Elmer wskazał kierunek kciukiem.

•— Jest w transie.

Obszedłem dookoła ognisko, by się dokładnie przyjrzeć geniuszowi. Elmer miał rację. Bronco stał nieruchomo i wysunawszy wszystkie sensory, wchłaniał w siebie otoczenie.

— Najlepszy kompozytor, jaki kiedykolwiek istniał — oznajmił z dumą Elmer. — Zapalił się do swojego zadania. Jest bardzo czuły.

Cynthia wzięła dwie miski i wlała do nich zupę. Wręczyła mi jedną mówiąc:

— Uważaj, jest gorąca.

Usiadłem koło niej i ostrożnie zacząłem jeść. Nie było zbyt dobre, ale przynajmniej gorące. Musiałem dmuchać na każdą łyżkę zupy, by ją ostudzić przed włożeniem do ust.

Znowu doleciało nas ujadanie. Słyszeć było je lepiej, zwierzę musiało być blisko, o jedno albo dwa wzgórza dalej.

— To psy — powiedział Elmer. — Ściągają coś. Może są tam też ludzie.

— A może to zdziczała wataha.

Cynthia potrząsnęła głową.

— Nie. Rozpytywałam trochę, mieszkając w gospodarstwie. W dziczy, a raczej w tym, co Cmentarz nazywa dziczą, mieszkają ludzie. Wydaje mi się, że nikt o nich zbyt wiele nie wie, a może po prostu nie chcą mówić. Starają się ich nie zauważać. Normalna reakcja Pielgrzymy Cmentarza, nie uważacie? Zasmakowałeś już

tęgo, Fletcher, gdy poszedłeś odwiedzić Maxwella Petera Bella. Nie opowiedziałeś mi zresztą, co się wtedy między wami wydarzyło i jaki był wynik tej rozmowy.

— Usiłowałem przeciągnąć mnie na swoją stronę. Odrzuciłem jego propozycję może niezbyt dyplomatycznie. Powinienem być być bardziej uprzejmy, ale zdenerwowałem mnie.

— Nie miałyby to znaczenia — skomentowała. — Cmentarz nie jest przyzwyczajony do odmowy. Nawet do uprzejmej odmowy.

— A po co w ogóle zwracałeś sobie nim głowę? — zapytał Elmer.

— Oczekiwano tego — odparłem. — Kapitan mnie o tym poinformował. Nazywają to wizytą kurtuazyjną. Tak jakby był jakimś królem, premierem, potentatem lub kimś w tym rodzaju. Nie mogłem go zupełnie pominąć.

— Jednego nie rozumiem. — Elmer zwrócił się do Cynthii. — Jaka jest tutaj twoja rola? Nie myśl, że jestem przeciwko tobie, ale chciałbym to wiedzieć.

Cynthia spojrzała na mnie:

— Fletcher ci nie powiedział?

— Bąknął coś o jakimś skarbie.

— Przypuszczam — rzekła — że lepiej będzie, jak wszystko opowiem. Macie prawo wiedzieć. Poza tym nie chciałabym, żebyście myśleli o mnie jak o zwykłej poszukiwaczce przygód. Chcecie posłuchać?

— Możemy — zgodził się łaskawie Elmer.

Przez chwilę milczała. Wyczuwaliśmy, jak zbiera się w sobie i bierze w garść, tak jakby miała przed sobą bardzo trudne zadanie i postanowiła wykonać je dobrze.

— Urodziłam się na Aldenie — zaczęła. — Moi przodkowie byli jednymi z pierwszych osadników na tej planecie. Historia rodziny, a może lepiej legenda, bo nie

jest udokumentowana, mówi o ich pierwszym przylocie. Nie znajdziecie jednak nazwiska Lansing na liście Pierwszych Rodzin, rodzin z dużej litery. Pierwsze Rodziny to te, które dobrze prosperowały. Mojej nie wiodło się. Nie wiem dlaczego, może złe zarządzanie, zwykłe lenistwo czy brak ambicji albo po prostu brak szczęścia. W każdym razie pozostawaliśmy biedni jak myszy kościelne. Jest taki mały zakątek w głębi kontynentu nazywany Wzgórzami Lansinga, ale to wszystko, jedyny znak, jaki pozostawiła moja rodzina na Aldenie czy w historii Aldenu. Byli farmerami, drobnymi kupcami albo robotnikami, nie mieli politycznych ambicji i nie narodził się wśród nich żaden geniusz. Byli zadowoleni, jeżeli wykonali swoją codzienną pracę i mogli usiąść w progu drzwi gawędząc z sąsiadami i popijając piwo, czy też podziwiając wspaniałe zachody słońca na Aldenie. Pozostali prostymi ludźmi. Niektórzy z nich, przypuszczam, że nawet wielu, opuścili z biegiem lat planetę w poszukiwaniu fortun, których, jak sądzę, nie znaleźli. Gdyby tak było, Lansingowie z Aldenu dowiedzieliby się o tym, a rodzinna legenda nie wspomina o żadnym takim zdarzeniu. Myślę, że pozostali dlatego, że nie chcieli odlatywać. Nie mieli wprawdzie dużych perspektyw, ale Alden to jednak piękna planeta.

— To prawda — wtrąciłem. — Przyleciałem na Alden, by studiować na uniwersytecie, a dopiero teraz zdecydowałem się opuścić tę planetę.

— Skąd pochodzisz, Fletcher?

— Z Rattlesnake — odparłem. — Słyszałaś tę nazwę? Potrząsnęła głową.

— To masz szczęście. Nie pytaj i opowiadaj dalej.

— Teraz trochę o sobie. Postanowiłam czegoś dokonać. Myślę, że na przestrzeni lat wielu Lansingów chciało tego samego, ale nic z tego nie wyszło. Mnie również

może się nie udać. Trochę już za późno, by rozstawić rodzinę. Ojciec umarł, kiedy byłam mała. Był właścicielem dość dobrze prosperującej farmy, nie wybijającej się, ale zarabiającej na życie i dającej nawet nieco więcej. Po jego śmierci prowadziła ją matka i udało się jej zaoszczędzić dość pieniędzy, by posłać mnie na uniwersytet.

Interesowałam się głównie historią. Marzyłam o tym, że kiedyś będę przewodniczyć Katedrze Historii, prowadzić badania naukowe i pisać rewelacyjne prace. Studia poszły mi dobrze. Musiały, bo poświęcałam im cały mój czas. Straciłam na tym wiele, bo życie studenckie jest bardzo ciekawe. Teraz to rozumiem, ale wtedy nie zwracałam uwagi na nic innego, tylko na naukę. Pławiłam się w historii, nie było na świecie nic, co interesowałoby mnie bardziej: odległe miejsca, odlegli ludzie i odległe czasy. Nocami, kiedy leżałam po ciemku w łóżku, wyobrażałam sobie, że posiadam maszynę czasu i podróżuję poprzez całe epoki do tych dawnych czasów, i obserwuję życie ówczesnych ludzi. Leżąc marzyłam, iż siedzę w takiej maszynie, a za jej oknem przesuwa się ściana czarnego czasu. Obserwowałam w myślach wszystkie wielkie wydarzenia, które nadawały bieg historii.

Zamilkła, wracając myślą do tamtych chwil.

— Kiedy nadszedł czas specjalizacji, czułam nieodparty pociąg, by studiować historię starożytnej Ziemi. Dziekan odradzał. Mówił, że to bardzo wąska dziedzina i materiał naukowy na ten temat jest bardzo ograniczony. Wiedziałam, że ma rację i próbowałam sama sobie przemówić do rozumu, ale mi się nie udało. Miałam obsesję na punkcie Ziemi. Jestem całkowicie pewna, że ta obsesja była częściowo wynikiem moich powiązań z przeszłością, zainteresowania prapoczątkiem dziejów mojej rodziny. Farma mojego ojca leżała zaled-

wie kilka mil od miejsca, gdzie pierwsi Lansingowie osiedlili się na Aldenie, przynajmniej tak mówi legenda. Umiejscowiona w małym skalistym kanionie, w punkcie, w którym otwierał się on na dolinę będącą na pewno w przeszłości bogatą i nadającą się do uprawy ziemią, stała kamienna chata. Spore jej fragmenty zapadły się i wykruszyły pod wpływem działania atmosfery i niewielkich przesunięć gruntu, które mogą być zauważalne dopiero po całych stuleciach. Nie znalazłam żadnych opowieści o tym domu. Nie mówiono, że był nawiedzony. Zbyt stary, by w nim straszyc. Po prostu stał w tym miejscu. Bieg czasu uczynił z niego element krajobrazu, prawie niezauważalny. Wiekowy i za bardzo zwyczajny, by zwracać ludzką uwagę. Odkryłam to, gdy przychodziłam go zwiedzać. Ziemia, na której stał, oraz okolice miały głębę tak wyjąłową i bezwartościową, że nikomu nie przeszkadzał swoim istnieniem. Dzięki temu uniknął wyburzenia i wprasowania w ziemię, co tak często staje się udziałem starych domów. Ziemia faktycznie jest tam tak wyeksploatowana przez stulecia zapomnianych upraw, że prawie nikt jej nie odwiedza. Legenda mówi, że dom ten był rezydencją pierwszego Lansinga na Aldenie. Zwiedziłam go oczywiście ze względu na jego wiekowość. Nie dlatego, że mógł należeć do Lansingów, ale że był taki stary, starszy niż sięga ludzka pamięć — budowla z najodleglejszej przeszłości. Nie oczekiwałam niczego po tej wizycie, była po prostu wycieczką, wypełnieniem pustego dnia. Wiedziłam oczywiście o jego istnieniu od wielu lat, ale tak samo jak inni ignorowałam to. Wielu ludzi wiedziało o nim i akceptowało jego obecność tak samo, jak akceptuje się rosnące drzewo czy leżący kamień. Nie było w tym domu nic, czym można by się pochwalić, zupełnie nic. Być może, nigdy nie pomyślałabym o zwiedzeniu go,

gdyby nie zwiększające się we mnie coraz bardziej zainteresowanie starociami. Czy rozumiecie, co mówię?

— Myślę — odparłem — że rozumiem cię o wiele lepiej, niż przypuszczasz. Rozpoznaję objawy. Sam na coś takiego zachorowałem.

— Poszłam tam — kontynuowała — i dotykałam rękami starych, topornie obrobionych kamieni, myśląc o tym, że kiedyś ludzkie ręce, zapomniane już w mroku dziejów, nadawały im kształt i układały jeden na drugim, by wybudować schronienie przed nocą i burzami — dom na nowo odkrytej planecie. Patrzyłam na niego oczami starożytnych budowniczych i rozumiałam, że miejsce, które wybrali pod budowę, było z ich punktu widzenia wyjątkowo atrakcyjne.

Ściany kanionu osłaniały go od wiatrów, a spod skały na wzgórzu wypływał istniejący jeszcze strumień. Okolice była piękna i cicha, a szeroka i żyzna wówczas dolina rozciągała się tuż za progiem. Stałam w progu i czułam to, co czuli niegdyś moi przodkowie. Utożsamiałam się z nimi. W zasadzie nie było ważne, czy byli to Lansingowie, czy ktoś inny, byli po prostu ludźmi, ludzką rasą.

Mogłam wtedy odejść. Samo przybycie tam było dla mnie dużym przeżyciem. Dotknięcie kamienia, świadka przeszłości całkiem by mi wystarczyło, a jednak weszłam do środka...

Urwała i odczekała chwilę, jak gdyby nabierała tchu na dokończenie opowieści.

— Weszłam do środka — powtórzyła. — Była to z mojej strony głupota, przecież w każdej chwili mógł mnie zgnieść kawał odrywającego się stropu. Niektóre z kamieni trzymały się kupy tylko dzięki jakiemuś zadziwiającemu przypadkowi, a cała budowla była wyjątkowo niestabilna. Nie przypominam sobie jednak, żebym wtedy o tym myślała. Poruszałam się ostrożnie,

nie ze względu na niebezpieczeństwo, ale z powodu świętego dostojenstwa czasu, który wypełniał przestrzeń wokół mnie. Dziwne było uczucie, jakie mną owładnęło, a raczej sprzeczne uczucia. Kiedy weszłam tam pierwszy raz, czułam się jak intruz, ktoś obcy nie mający prawa przebywania w tym miejscu. Burzyłam spokój dawnych wspomnień i emocji, które powinny być pozostawione sobie samym. Istniały w atmosferze tego domu tak długo, że sobie na spokój zasłużyły. Weszłam do raczej dużego pomieszczenia, które można by, jak sędzę, nazwać bawialnią. Podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu z zaznaczonymi w nim śladami małych, dzikich zwierząt, a w powietrzu unosił się zapach tych stworzeń, żyjących tu przez tysiąclecia. W rogach wisały jedwabiste pajęczyny; niektóre z nich, te starsze, pokrywała taka sama warstwa kurzu jak podłogę. Kiedy tak stałam tuż za progiem, zdarzyła się dziwna rzecz — nagle poczułam, że mam prawo tu być, że przynależę do tego miejsca, tak jakbym wracała po bardzo długiej nieobecności i była mile widzianym gościem. Moja krew i kości powstały przecież z krwi i kości tych, którzy tu kiedyś mieszkali, a taki związek nie może być wymazany przez czas.

Spojrzała, szukając w moich oczach potwierdzenia, i ciągnęła dalej.

— W kąciaku stał kominek. Komin dawno już się zawalił, ale kominek pozostał. Podeszłam do niego i uklęknłam dotykając paleniska palcami poprzez warstwę kurzu. Widziałam palenisko kominka okopcone dawnym domowym ogniem, sadza ciągle tam była, a mnie się wydawało, że dostrzegam ustawione w stos płonące szczapy. Wtedy powiedziałam, nie wiem czy na głos, czy tylko w myślach, że wszystko jest w porządku, że wróciłam, by wam powiedzieć, iż Lansingowie ciągle istnieją. Nawet przez chwilę nie zastanawiałam się, do

kogo to mówię. Nie czekałam na odpowiedź, nie oczekiwałam jej, bo nie było tam nikogo, kto mógłby odpowiedzieć. Wystarczyło, że musiałam to powiedzieć, to im się należało — spojrzała na mnie wystraszonymi oczami. — Nie wiem, dlaczego mówię to wszystko — stwierdziła niepewnie. — Nie zamierzałam tego robić. Nie ma żadnego powodu, dla którego miałabym ci to mówić, żadnego powodu, abyś o tym usłyszał. Fakty mogłabym zawrzeć w kilku zdaniach, ale wydaje się, że musi być do nich jakiś kontekst.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej ramienia.

— Są pewne rzeczy, których nie można opowiedzieć po prostu. Robisz to bardzo dobrze.

— Jesteś pewien, że was nie nudzę?

— Ani trochę — odpowiedział za mnie Elmer. — Jestem zafascynowany.

— Nie pozostało mi już wiele do powiedzenia — kontynuowała. — W ścianie tkwiły całe jeszcze drzwi prowadzące w głąb domu, a kiedy przez nie przeszłam, zobaczyłam pomieszczenie, które kiedyś musiało być kuchnią, choć teraz pozostała tylko jego część. Istniało tam jeszcze drugie piętro, którego fragmenty stały nienaruszone, choć dach zapadł się dawno temu, zasypując resztę budynku. Jednak nad kuchnią nie było piętra. Widocznie rozciągał się ponad nią okap domu. Leżał tu zmurszały gruz będący pewnie pozostałością zewnętrznych ścian kuchni i zapadniętego okapu. Nie wiem, w jaki sposób udało mi się to dostrzec, rzecz była prawie nie do zauważenia, a jednak wśród sterty gruzu dojrzałam foremny, kwadratowy kształt. Nie pasował tam, nie wyglądał na gruz. Pokryty był kurzem, tak jak wszystko inne w tym domu. Nie miał połysku; myślę, że zwróciłam na to uwagę ze względu na jego foremność. Podeszłam więc i wyciągnęłam to ze szczątków. Było to

pudełko, zardzewiałe, ale jeszcze całe — metal w żadnym miejscu nie był pęknięty ani przetarty na wylot. Kucnęłam na podłodze i usiłowałam zrekonstruować sobie bieg wypadków. Wydawało mi się, że kiedyś pudełko musiało stać pod okapem na strychu, a potem w jakiś sposób zostało zapomniane i spadło, kiedy zawalił się dach. Może przeleciało przez sufit kuchni, a może już wtedy kuchnia nie miała sufitu.

— A więc to tak — powiedziałem. — Pudełko z kluczem do skarbu.

— Tak przypuszczam — odparła. — Ale niezupełnie tak, jak myślisz. Nie mogłam otworzyć pudełka, więc zabrałam je do swojego mieszkania, postarałam się o narzędzia i rozprułam je. Nie było w nim wiele: stare prawo własności do niewielkiego kawałka ziemi, weksel oznaczony jako spłacony, kilka starych kopert bez listów, jakieś skasowane czeki i pokwitowanie potwierdzające wypożyczenie starych rodzinnych dokumentów działowi manuskryptów uniwersytetu. Następnego dnia udałam się tam, by zbadać sprawę. Wiesz, jak łatwo dogadać się z tymi od manuskryptów?

— Wiem — potwierdziłem.

— Zabrało mi to trochę czasu, ale fakt, że byłam studentką historii Ziemi oraz to, że mimo wszystko papiery należały do mojej rodziny, w końcu zrobiły swoje. Myśleli, że chciałam je po prostu przestudiować, ale czas, po jakim mi je dostarczono — sędzę, że leżały zapomniane w jakimś nieodpowiednim miejscu — spowodował, iż tak się zdenerwowałam, że skasowałam umowę wypożyczenia i zabrałam je ze sobą. Nie było to zachowanie godne zagorzałego studenta historii, ale wtedy właśnie tak postąpiłam. Wydział manuskryptów straszyl mnie sądem i myślę, że gdyby do tego doszło, prawnicy mieliby ładny orzech do zgryzienia. Skończyło

się na straszaniu. Może uznali dokumenty za bezwartościowe, nie wiem jednak, na jakiej podstawie. Nie zauważyłam, by ktokolwiek je kiedyś przeglądał. Umieszczono je w pojedynczej, zalakowanej kopercie, w przypadkowej kolejności, zupełnie pomieszane. Gdyby je ktoś badał, na pewno zostałyby posegregowane i oznaczone, widać jednak było, że nie złamano na kopercie nawet oryginalnej pieczęci. Ten plik papierów został po prostu włożony między akta i zapomniany.

Urwała i spojrzała na mnie przenikliwie. Nic nie powiedziałem. W swoim czasie na pewno do tego przywyknie. Może miała powód, by opowiadać to w taki sposób. Może chciała przeżyć to wszystko jeszcze raz i dokładnie sobie przypomnieć, by być pewną, że nie pomyliła się w swojej ocenie i to, co zrobiła, było słuszne. Nie zamierzałem jej popędzać, choć Bóg mi świadkiem, że byłem trochę zniecierpliwiony.

— Nie było tam wiele — zaczęła po chwili. — Kilka listów rzucających nieco światła na pierwsze dni kolonizacji Aldenu, nic rewelacyjnego, nic nowego, choć dawało to posmak dawnych czasów. Kilka stron amatorskich wierszy napisanych przez jakąś nastolatkę, kopie rachunków jakiejś małej firmy, które może zainteresowałyby historyka ekonomii, oraz memorandum napisane w dość patetycznym stylu przez starego człowieka, opowieść, jaką przekazał mu jeszcze jego pradziadek będący jednym z pierwszych osadników na Aldenie.

— Co było w tym memorandum?

— Opowiadało dziwną historię. Zaniósłam to do profesora Thorndyke'a, opowiedziałam mu to, co teraz wam, i dałam mu do przeczytania te papiery. Gdy skończył czytać, siedział przez dłuższy czas z utkwionym

gdzieś w dal wzrokiem, aż w końcu wymówił jedno słowo, którego nigdy przedtem nie słyszałam: — Anachron.

— Co to jest Anachron? — zapytał Elmer.

— Mityczna planeta — odparłem. — Coś, co mogło nigdy nie istnieć, co wymyślili archeolodzy. Jak głosi teoria...

— Dziwne słowo — przerwała mi Cynthia. — Nie pytałam doktora Thorndyke'a, ale przypuszczam, że pochodzi od wyrazu „anachronizm” oznaczającego coś sprzecznego z umiejscowieniem w czasie, przeżytek. Widzisz, przez całe lata archeolodzy znajdowali ślady istnienia nieznanej rasy, która pozostawiła swoje inskrypcje na wielu planetach, może na wielu więcej niż wiemy. Te inskrypcje odkryto razem z dziełami sztuki oryginalnych kultur danych planet...

— Tak jakby byli tylko przybyszami — dodałem — którzy pozostawili za sobą jedną czy dwie błyskotki. Mogli odwiedzić wiele planet, a ich ślady mogliśmy odnaleźć tylko na kilku z nich i to przez czysty przypadek.

— Mówiłaś, że w pakiecie znalazłaś jakieś memorandum — przypomniał Elmer.

— Mam je ze sobą — odparła Cynthia. Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnęła długą kopertę. Z niej wyjęła złożoną kartkę papieru.

— To nie oryginał — rzekła. — Kopia. Oryginał był za stary i zbyt kruchy. Nie wytrzymałby kilkakrotnego przeglądania.

Podawała papier Elmerowi, który go rozwinął, rzucił szybko okiem i przekazał mi.

— Podsyć ogień — oświadczył. — Będzie dawał więcej światła. Przeczytasz to głośno, tak abyśmy wszyscy słyszeli.

Karta zapisana była słabym, drżącym pismem, prawdopodobnie ręką starego człowieka. Miejscami pismo było lekko zamazane, ale dawało się odczytać. Na samej górze widniała cyfra 2305. Cynthia przyglądała mi się, czekając na moją reakcję.

— To data — powiedziała — rok, w którym go napisano. Przynajmniej ja tak myślę. Profesor Thorndyke sądził tak samo. To by się mniej więcej zgadzało, jeżeli człowiek, który to pisał, był tym, o kim myślę.

Elmer podsycił ognisko dokładając drzewa i węgla. Światło było całkiem przyzwoite. Zapytał:

— W porządku, Fletch, dlaczego nie zaczynasz?
A więc zacząłem.

„2305

Do mojego wnuka, Howarda Lansinga:

Kiedy byłem małym chłopcem, mój pradziadek opowiedział mi o zdarzeniu, które przeżył, gdy był mniej więcej równy mi wiekiem, a teraz, kiedy jestem tak stary jak on, a może i jeszcze starszy, przekazuję to Tobie. Ponieważ jesteś jeszcze za młody, spisuję wszystko, tak że kiedy podrośniesz, będziesz mógł to przeczytać i lepiej zrozumieć wagę tego zdarzenia. Pradziadek, kiedy mi to opowiedział, był zdrow na umyśle, nie miał żadnych odchyłeń oprócz wad fizycznych, które ujawniają się w człowieku z biegiem lat. Cała ta historia, choć może wydawać się dziwaczna, ma w sobie coś; przynajmniej mi się tak wydaje —

jest logiczną, rzetelną relacją, co przemawia za jej prawdziwością.

Musisz sobie uświadomić, że mój pradziadek urodził się na Ziemi i przybył na Alden będąc człowiekiem w średnim wieku. Przyszedł na świat we wczesnych dniach Ostatecznej Wojny, kiedy to dwa wielkie bloki państw pogrążyły Ziemię w chaosie i zniszczeniu, jakie trudno sobie wyobrazić. Za swoich młodych lat brał udział w tej wojnie na tyle, na ile w ogóle człowiek mógł brać w niej udział, bo tak naprawdę nie była to wojna, w której człowiek walczył przeciwko człowiekowi, ale wojna maszyn i instrumentów zwalczających się z bezmyślną furją, będącą odzwierciedleniem szaleństwa ich twórców i konstruktorów. W końcu, kiedy cała jego rodzina oraz większość przyjaciół zginęła albo zaginęła, znalazł się w niewielkiej garstce tych, którzy wyruszyli w ogromnych statkach kosmicznych zaludniać inne planety. Mówię: w garstce, bo w porównaniu z hordami zamieszkującymi kiedyś Ziemię była to naprawdę mała garstka.

Historia, którą mi opowiedział, nie miała jednak nic wspólnego ani z wojną, ani z wyprawą w kosmos. Dotyczyła zdarzenia nie określonego nawet w przybliżeniu w czasie, a tylko w przybliżeniu w przestrzeni. Odniosłem wrażenie, że przytrafiło mu się to, kiedy był jeszcze stosunkowo młodym człowiekiem, choć nie mogę sobie teraz przypomnieć, czy sam mi o tym powiedział, czy wywnioskowałem to z jakichś zapomnianych już przeze mnie szczegółów samej opowieści. Przyznaję szczerze, że sporo z tego zapomniałem z biegiem lat, zasadnicze jednak fakty stoją mi wyraźnie w pamięci.

Przypadkiem, czy też z jakiegoś powodu, którego sobie nie przypominam (jeśli w ogóle mi powiedział), pradziadek mój znalazł się w bezpiecznej strefie, na kawałku

ziemi, który dzięki swej lokalizacji topograficznej i meteorologicznej był mniej skażony, a może nie skażony wcale przez wojnę, gdzie człowiek mógł żyć stosunkowo bezpiecznie bez środków ochronnych wymaganych w innych, mniej szczęśliwych okolicach. Jak już wspomniałem, nie określił położenia tego miejsca, ale powiedział mi, że był to punkt, w którym mała rzeczka płynąca z północy uchodziła do dużej rzeki Ohio. Odniosłem wrażenie, że pradziadek nie wykonywał wtedy żadnej misji ani zadania specjalnego, ale po prostu przez zupełny zbieg okoliczności odkrył to miejsce i pozostał tam korzystając ze względnego bezpieczeństwa, jakie oferowało. Było to, rozpatrując ówczesną sytuację, przejawem niezbyt powszechnego, logicznego postępowania.

Nie mam jednak pojęcia, jak długo tam pozostał, tak samo jak nie wiem, ile czasu już przebywał w tym miejscu, gdy nastąpiło wydarzenie, o którym opowiedział. Nie wiem również, kiedy stamtąd się wyniósł. Wszystko to jest oczywiście mało istotne w porównaniu z tym, co się naprawdę wydarzyło.

Pewnego dnia, opowiadał, zobaczył nadlatujący statek. W owym czasie istniało bardzo mało maszyn latających, gdyż większość uległa zniszczeniu. Te, które pozostały, były skrupulatnie liczone, bowiem planowano ich użycie jako broni w ważących się losach wojny. Poza tym był to statek, jakiego nigdy przedtem nie widział. Pamiętam, że opowiadał mi, czym różnił się od znanych statków, ale szczegóły poplątały mi się już w głowie i część zapomniałem, więc mówiąc o nich nie odzwierciedliłbym prawdy.

Będąc ostrożnym człowiekiem, a musiał nim być ze względu na czasy, w jakich żył, pradziadek mój ukrył się, jak tylko zdołał najlepiej i starał się jak najdokładniej obserwować wszystko, co działo się przed jego oczami.

Statek wylądował na jednym ze wzgórz nad rzeką i gdy tylko osiadł na ziemi, wytoczyło się z niego pięć robotów oraz osoba, która nie była maszyną. W rzeczywistości wydawała się człowiekiem, ale mój pradziadek w swoim ukryciu odniósł wrażenie, że nie jest to przedstawiciel ludzkiego gatunku, tylko ktoś, kto nas jedynie przypomina swoją zewnętrzną powłoką. Kiedy zapytałem go, dlaczego tak pomyślał, trudno mu było to określić. Nie był to ani jego chód, ani postawa, a później również nie sposób, w jaki mówił. Była w nim jednak jakaś obcość, może jakaś psychiczna emanacja podświadomie działająca na umysł, która mówiła dziadkowi, że to stworzenie nie jest robotem, ale także nie jest człowiekiem.

Dwa roboty odeszły na pewien dystans od statku i chyba stanęły na straży, bo ani przez chwilę nie patrzyły w tym samym kierunku. Cały czas rozglądały się, jakby studiowały czy też analizowały okolicę pod każdym kątem. Reszta zaczęła wypakowywać stertę pudeł, które wydawały się jakiegoś rodzaju wyposażeniem.

Pradziadek mój myślał, że jest dobrze ukryty. Schował się w gęstych zaroślach koło strumienia i jego sylwetka nie mogła być widoczna poprzez gałęzie i liście, których było wiele, zważywszy na letnią porę roku.

Jednak po bardzo krótkim czasie, jeszcze zanim statek został całkowicie rozładowany, jeden z pracujących przy wypakowywaniu robotów opuścił wzgórze i ruszył w dół, prosto w kierunku kryjówki mojego dziadka. Ten pomyślał, że kierunek posuwania się robota jest przypadkowy, i zupełnie znieruchomiał starając się nawet głębiej nie oddychać.

Nie był to jednak zbieg okoliczności. Robot musiał dokładnie wiedzieć o jego obecności. Mój pradziadek myślał, że to jeden ze strażników zauważył go w jakiś

sposób, może dzięki promieniowaniu cieplnemu, i przekazał innym wiadomość, że są obserwowani.

Robot podszedł do krzaków, chwycił pradziadka za ramię i siłą zaciągnął na wzgórze.

Mój pradziadek przyznał, że od tego momentu nie pamięta wszystkiego w ścisłej kolejności. W jego pamięci pojawiły się luki, których nie potrafił wyjaśnić. Był przekonany, że zanim go wypuszczono, czy też udało mu się uciec (są to tylko przypuszczenia, bo nie mógł sobie przypomnieć nic poza niejasnym uczuciem, że był więźniem) usiłowano mu wymazać z pamięci to, czego był świadkiem. Uważał, że wymazanie pamięci na pewien czas poskutkowało, ponieważ dopiero po przybyciu na Alden zaczął sobie przypominać fragmenty tego, co się wydarzyło. Tak jakby te wypadki zostały wepchnięte głęboko w podświadomość i zaczęły wypływać dopiero po latach.

Pamiętał, że rozmawiał z istotą, która wydawała mu się nie całkowicie człowiekiem. Miała miękki i całkiem sympatyczny głos, choć w ogóle nie mógł sobie przypomnieć, o czym rozmawiali, z jednym tylko wyjątkiem. Człowiek ten (o ile oczywiście był człowiekiem) powiedział mu, że pochodzi z Grecji. Było kiedyś na Ziemi miejsce, które się tak nazywało, ale dawno przed czasami mojego pradziadka. Mieszkał tam bardzo długo — pradziadek wyraźnie pamiętał zwrot „bardzo długo” i myślał, że to raczej dziwny sposób wyrażania się. Osobnik ten powiedział również, że poszukiwał miejsca, gdzie życie nie byłoby tak zagrożone i na podstawie pewnych pomiarów i faktów, których pradziadek nie rozumiał, stwierdził, iż znajdowało się ono właśnie w tym punkcie, gdzie wylądował.

Pradziadek przypomniał sobie również, że urządzenia, które wyniesiono ze statku, zostały użyte do wywiercenia

głębokiego szybu w litej skale poniżej wzgórza, a następnie obszernych podziemnych sal. Potem wybudowano z pni drzew małe zachęcający na pierwszy rzut oka barak, który wyglądał tak, jakby lada chwila miał się zawalić. Wnętrze było jednak przytulne i wygodne. Barak ustawiono dokładnie nad wejściem do tunelu, w którym wykuto stopnie prowadzące do podziemnych komnat. Wejście do szybu zamaskowano sprytnie wykonanym włazem-zapadnią, który po zamknięciu nawet najdrobniejszym szczegółem nie zdradzał, że coś się pod nim znajduje. Pudła, które wylądowano ze statku, zaniesiono do podziemnych sal z wyjątkiem kilku, które zawierały meble i wyposażenie baraku. Jedno pudło w czasie przenosin wysliznęło się z rąk robota, a mój pradziadek, który z jakiejś przyczyny (nie mógł sobie jednak przypomnieć dlaczego) znajdował się wtedy w jednej z podziemnych sal, musiał szybko usunąć się z drogi, gdy toczyło się w dół. Było bardzo solidne, a mimo to zaczęło się rozpadać tocząc się po kamiennych stopniach. Zanim dotarło do dna tunelu, rozleciało się zupełnie, a zawartość rozsypała się po schodach i kamiennej podłodze sali.

Pradziadek mówił, że w pudle tym był ogromny skarb: inkrustowane drogimi kamieniami wisiory, bransolety, pierścienie świecące różnokolorowym światłem, małe złote krążki z dziwnymi napisami (pradziadek uparcie twierdził, że było to złoto, ale zupełnie nie rozumiem, w jaki sposób mógł je rozpoznać tylko na nie patrząc), figurki zwierząt i ptaków z drogocennych metali wysadzanych szlachetnymi kamieniami, sześć koron, takich jakie noszą królowie czy królowe, torby, które pękały rozsypując ogromne ilości monet i wiele innych rzeczy, jak na przykład piękne wazy, które uległy zniszczeniu.

Roboty rzuciły się, by pozbierać rozsypane skarby, a za nimi szedł ich właściciel, który nie zwracając zupełnie uwagi na leżące wokół kosztowności podniósł kilka odłamków rozbitej wazy i próbował je połączyć. Nie udało mu się, waza rozleciała się na zbyt wiele części. Jednak z tych kilku kawałków, które połączył, pradziadek zorientował się, że waza miała na sobie malowidła zalane glazurą — obrazy przedstawiające dziwnych ludzi polujących na jeszcze dziwniejsze stwory. Może jednak tylko wydawały się dziwne, ponieważ narysowano je bardzo kiepsko, nie uwzględniając żadnej perspektywy ani wiedzy anatomicznej, które są podstawą wykształcenia każdego artysty.

Człowiek (jeśli był człowiekiem) stał z kawałkiem wazy w rękach, z pochyloną głową i smutną twarzą, a po policzku stoczyła mu się łza. Mój pradziadek uznał za bardzo dziwny fakt, że dorosły człowiek łka na widok pogruchotanej wazy.

Przez cały ten czas roboty zbierały rozsypaną zawartość pudła gromadząc ją w spory stos. W końcu jedna z maszyn przyniosła ze sobą kosz i wsypaną kosztowności do środka, odstawiła go do jednej z komnat, gdzie zmagazynowano już wiele pudeł.

Nie zebrali jednak wszystkiego, bo mój pradziadek, gdy nikt nie patrzył, podniósł jedną z monet i ukrył w kieszeni.

Ja teraz owijam tę monetę w szmatkę i wkładam do koperty, by ci ją przekazać tak samo, jak on dał ją mnie..."

7.

Przerwałem czytanie i spojrzałem poprzez ogień na Cynthię Lansing.

— Monetę? — zapytałem.

Kiwnęła głową.

— Była w kopercie zawinięta w kawałek folii, jakiej nie używa się od stuleci. Dałam ją profesorowi Thorn-dyke'owi i poprosiłam aby ją przechował.

— Wiedział, co to była za moneta?

— Nie był pewien. Pokazał ją jakiemuś innemu człowiekowi. Ekspertowi od starych ziemskich monet. Była to nie wypuszczona w obieg ateńska sowa, wybita prawdopodobnie kilka lat po bitwie, którą stoczono w miejscu nazywanym Maratonem.

— Nie puszczone w obieg? — zapytał Elmer.

— Nie używana. Nie było na niej żadnych śladów. Kiedy moneta znajduje się w obiegu, staje się bardziej wygładzona i mniej wyraźna od wielokrotnego przekazywania z ręki do ręki. Jednak ta była zupełnie nowa, nie licząc oczywiście śladów, jakie pozostawił na niej upływający czas.

— Nie ma wątpliwości co do jej autentyczności?

— Profesor stwierdził, że to na pewno nie falsyfikat.

Ujadanie psów słychać było zza wzgórza, które wznosiło się za naszym kempingiem. Był to ponury i dziki dźwięk. Gdy się w niego wsłuchiwałem, przeszedł mi po plecach dreszcz i przysunąłem się bliżej ogniska.

— Polują na coś — powiedział Elmer. — Może na szopa, może na oposa. Myśliwi są gdzieś z tyłu słuchając szczekania psów.

— Ale po co polują? Mam na myśli tych, którzy wysłali psy — zapytała Cynthia.

— Dla sportu i mięsa — odparł.

Zauważyłem, jak drgnęła.

— To nie Alden, panienko — poinformował ją Elmer. — To nie jest milutka planeta pełna różowych kolorów. Ludzie, którzy żyją tutaj w lesie, są pewnie na wpół dzikusami.

Siedzieliśmy wsłuchując się w ujadanie psów, które zdawało się oddalać.

— A wracając do skarbu, spróbujmy podsumować, co o nim wiemy. Gdzieś na zachód od miejsca, w którym się znajdujemy, wylądował kiedyś ktoś z Grecji i ukrył stertę pudeł. Prawdopodobnie przynajmniej ich część zawierała skarb. Na pewno wiemy tylko o jednym, ale możliwe, że zawartość innych była taka sama. Jednak znaleźć to miejsce będzie chyba dość trudno. Rzeka wpadająca od północy do starej Ohio. Od północy może płynąć wiele strumieni...

— Był tam barak — przerwała mu Cynthia.

— Dziesięć tysięcy lat temu — obruszył się Elmer. — Nie zostało pewnie po nim ani śladu. Spróbujemy szukać dziury w ziemi, tunelu, a ten może być zamknięty.

— Chciałbym wiedzieć — wtrąciłem — dlaczego Thorney myślał, że ten dziwny osobnik z Grecji był Anachronem?

— Zapytałam go o to. Odpowiedział, że Grecja, albo jej okolice, byłaby idealnym punktem obserwacyjnym dla obcej rasy. Pierwsze osady ludzkie odkryto na obszarze znanym kiedyś jako Turcja. Obserwator nie mógł wybudować swojej bazy zbyt blisko tego, co chciał studiować. Chciał mieć możliwość odejścia stamtąd w każdej chwili. Na Grecję wskazywałaby logika, mówił profesor Thorndyke. Taki obserwator na pewno miał jakiś środek szybkiego transportu i pokonanie odległości między prasiedzibami rasy ludzkiej a Grecją nie było problemem.

— Dla mnie wcale nie brzmi to logicznie — powiedział Elmer otwarcie. — Dlaczego nie Synaj albo Kaukaz, albo dziesiątki innych miejsc?

— Thorney kieruje się przeczuciami tak samo jak ewidencją i logiką — poinformowałem ich. — Ma dobrego nosa. Przeważnie okazuje się, że ma rację. Jeśli mówi, że to była Grecja, skłonny jestem się z nim zgodzić. Wydaje mi się też, że ten nasz hipotetyczny obserwator mógł zmieniać położenie swojej bazy wielokrotnie.

— Nie, jeżeli przez cały czas gromadził bogactwa — oświadczył Elmer. — Musiało to sporo ważyć i przeniesienie całego łupu byłoby poważną pracą. Kiedy przyleciał do Ohio, miał tego ze sobą prawdopodobnie kilka ton.

— Ale to nie był łup! — wykrzyknęła Cynthia. — Musicie to zrozumieć. Nie można tych rzeczy określać

wartościowo, ani w ziemskich jednostkach pieniężnych, ani w takich, jakie mogli mieć Anachroniści. To, co zbierał, było dziełami sztuki, dobrami kultury.

— Dobra kultury, ale składające się głównie ze złota i szlachetnych kamieni — skomentował Elmer.

— Bądźmy uczciwi — powiedziałem. — Mogło się przecież tak zdarzyć, że tylko w tym pudle, które się rozpadło, były tego rodzaju przedmioty. Inne mogły zawierać groty strzał i włóczni, tkaniny czy moździerz i pociski moździerzy.

— Doktor Thorndyke uważał — dodała Cynthia — że to, co widział mój przodek, mogło być tylko drobną częścią wszystkich przedmiotów zbieranych przez obserwatora. Prawdopodobnie były to tylko ważniejsze eksponaty. Natomiast gdzieś w Grecji, może również w jaskiniach wykutych w skale, może znajdować się ich sto razy więcej.

— Jakkolwiek by to nazwać, jest to skarb — podsumował naszą dyskusję Elmer. — Każdemu przedmiotowi można przypisać jakąś cenę, a będzie to na pewno duża kwota ze względu na to, że rzeczy te pochodzą z Ziemi. Zresztą z Ziemi czy nie, mają na pewno ogromną wartość handlową. Wielu bogatych ludzi, a muszą być bogaci, żeby móc zapłacić żadaną cenę, posiada kolekcje takich rzeczy. Poza tym posiadanie takiego wyrobu jest uważane za szczyt elegancji.

Skinąłem głową przypominając sobie Thorneya, jak przemierzał pokój dużymi krokami uderzając zaciśniętą pięścią w otwartą dłoń i wykrzykiwał ze złością: „Dochodzi do tego, że uczciwy archeolog nie ma żadnych szans! Czy zdajesz sobie sprawę z tego, ile obrabowanych wykopalisk odkryliśmy w ciągu ostatnich stu lat? Ile grobowców ogołocono, zanim zdążyli dotrzeć tam archeolodzy? Wiele towarzystw archeologicznych wspólnie

z rządami różnych planet przeprowadzało śledztwo w takich wypadkach, ale nigdy nie dowiedziano się, kto to robi ani gdzie są wywożone i ukrywane skradzione skarby kultury. Wszelki ślad po nich zaginał. Są kradzione i gdzieś chowane, by później trafić do rąk prywatnych kolekcjonerów. To intratny interes i musi być dobrze zorganizowany. Próbowaliśmy przeforsować ustawę zabraniającą prywatnej własności dzieł sztuki starożytnej, ale do niczego nie doszliśmy. Zbyt wielu jest ludzi w rządach, którzy mają w tym swój własny interes, którzy sami są kolekcjonerami. I bez wątplenia mają oni wystarczającą ilość pieniędzy, by zwalczyć taką ustawę. Po prostu nic nie udaje nam się zdziałać. I właśnie przez ten wandalizm tracimy jedyną szansę na poznanie i zrozumienie rozwoju galaktycznych struktur”.

Ujądanie psów zamieniło się w pełen podniecenia skowyt.

— Widzą ofiarę — powiedział Elmer. — To, co ścigały psy, musiało schronić się na drzewo.

Sięgnąłem do małego stosu drewna, które nazbierał Elmer, dołożyłem kilka szczap do ognia i patykiem podgarnąłem rozsypujące się węgliki. Małe, niebieskawo zakończony języczki ognia wystrzeliły w górę liżąc nowo dołożone drewno. Suche szczapy zajęły się strzelając snopem iskier. Ognisko błysnęło nowym życiem.

— Ogień to miła rzecz — skonstatowała Cynthia.

— Czy to możliwe — zapytał Elmer — żeby nawet maszyna, taka jak ja, mogła zostać rozgrzana takim słabym płomieniem? Przysiągłbym, że czuję się cieplej siedząc bliżej ogniska.

— Możliwe — odparłem. — Miałeś dużo czasu, by się ucłowieczyć.

— Jestem człowiekiem. To znaczy formalnie. A jeżeli formalnie, to dlaczego by i nie w inny sposób?

— Co się dzieje z Bronco? — zapytałem. — Powinien siedzieć tu z nami.

— Sterczy tam i wchłania w siebie otoczenie — odparł Elmer. — Komponuje leśną fantazję z ciemnych kształtów drzew, dźwięków nocnego wiatru poruszającego liśćmi, bulgotania wody, świecących gwiazd i trzech skulonych przy ognisku postaci. Namiot kempingowy, nokturn, wiersz, a może delikatny kawałek rzeźby, składa to wszystko w całość.

— Biedak pracuje przez cały czas — zatroszczyła się Cynthia.

— Dla niego to nie praca. To jego życie — wyjaśnił Elmer. — Bronco jest artystą.

Gdzieś w ciemnościach coś sucho trzasnęło, a po chwili dobiegł nas jeszcze jeden taki dźwięk. Psy, które przez moment były cicho, na nowo zaczęły zajadle szczekać.

— Myśliwy wystrzelił do stworzenia, które psy zapędziły na drzewo — oświadczył pewnym głosem Elmer.

Po jego słowach nikt nic więcej nie powiedział. Siedzieliśmy tam wyobrażając sobie, a przynajmniej ja sobie wyobrażałem mroczny las i psy podekscytowane polowaniem i obskakujące drzewo, uniesioną strzelbę, błysk wystrzału i ciemny kształt spadający poprzez gałęzie ku ziemi. Gdy tak siedziałem, dosłyszałem jeszcze jeden słaby i odległy dźwięk. Odgłos szurania i skrzypienia. Nadleciał podmuch wiatru zabierając ze sobą ten dźwięk, ale gdy przestało wiać, usłyszeliśmy go znowu; był głośniejszy i bardziej natarczywy.

Elmer zerwał się na nogi. Buzujący płomień pokrywał jego ciało upiornymi, metalicznymi błyskami.

— Co się dzieje? — zapytała Cynthia, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Dźwięk rozlegał się coraz bliżej. Cokolwiek to było,

zmierzało w naszym kierunku i to zmierzało dość prędko.

— Bronco! — zawołał Elmer. — Chodź tu szybko! Do nas, do ogniska.

Bronco podpełznął bliżej nas niczym pajak.

— Pani Cynthio, proszę wsiadać — rozkazał Elmer.

— Wsiadać?

— Wsiadać na Bronco i mocno się trzymać. Jeśli będzie musiał biec, pochyl się nisko, żeby nie straciła cię jakaś gałąź.

— Co się stało? — zapytał Bronco. — Po co to całe zamieszanie?

— Nie wiem — odparł Elmer.

— Niech cię diabli, Elmer, nie wierzę ci — zaproponowałem, ale nie usłyszał mnie. A jeśli usłyszał, to nie odpowiedział.

Hałas wyraźnie się zbliżał. Nigdy przedtem czegoś takiego nie słyszałem. Brzmiało to tak, jakby ktoś rozrywał na strzępy całe drzewa. Słysząc było trzeszczenie i krzyk torturowanego lasu. Ziemia pod naszymi stopami wibrowała, jakby ktoś zadawał jej powtarzające się ciosy gigantycznym młotem.

Rozejrzałem się wokół. Cynthia siedziała już na Bronco, a ten drobiąc odsunął się od ogniska w ciemność. Nie uciekał jeszcze, ale w każdej chwili był gotów puścić się biegiem.

Hałas był już prawie przy nas, ogłuszał swoim hukiem, a ziemia nadał dygotała. Odskokczyłem na bok, pochyliłem się do biegu i pewnie bym ruszył, gdybym tylko znał kierunek. W tym właśnie momencie zobaczyłem ogromną bryłę czegoś, co wtoczyło się na wzgórze za nami; ciemną masę, która przysłoniła gwiazdy.

Drzewa trzęsły się dziko i waliły na ziemię miazdzone przez tę masę, która zjechała ze wzgórza, minęła nas

O włos i zniknęła w ciemnościach. Hałas oddalał się szybko. Zniszczone na wzgórzu drzewa jęczały cicho i powoli uspokajały się.

Stałem i wsłuchiwałem się w cichnący dźwięk, który po chwili umilkł zupełnie. Byłem na wpół zahipnotyzowany tym, co się wydarzyło. Nie wiedziałem, co to było i zastanawiałem się, jak to wytłumaczyć. Widziałem, że Elmer stoi tak samo wytrącony z równowagi jak ja.

Usiadłem na ziemi czując słabość w nogach, a Elmer podsycił ognisko. Cynthia zsunęła się z Bronco.

— Elmer — rzekłem oczekując wyjaśnień.

Potrząsnął swoją wielką głową.

— To niemożliwe — wymamrotał raczej do siebie niż do mnie. — To nie ma racji bytu. Nie mogło przetrwać...

— Machina wojenna? — zapytałem.

Podniósł głowę i spojrzał mi w oczy nad ogniskiem.

— To szaleństwo, Fletch — powiedział.

Uniosłem polano i wsadziłem w ogień. Zacząłem dokładać więcej drewna. Czułem pragnienie większego ognia. Płomienie wspięły się po drzewie obejmując je szybko.

Cynthia podeszła do ogniska i usiadła koło mnie.

— Machiny wojenne — rzekł Elmer, ciągle mówiąc do samego siebie — były wybudowane, by walczyć. Walczyłyby do końca, dopóki zostałyby w nich choć jedna mała odrobina energii. Nie miały na celu przetrwania. Nie były do tego przystosowane. Wiedziały o tym i my też wiedzieliśmy. My, którzy je wybudowaliśmy. Jedyнным ich zadaniem było niszczenie. Skonstruowaliśmy je tak, by niosły śmierć i wysyłały je na śmierć...

Głos, którym przemawiał, był głosem odległej o dziesięć tysięcy lat przeszłości. Mówił o pradawnej etyce i ambicjach, o starej żądzy krwi, o wrodzonej nienawiści.

— Ci, którzy nimi kierowali, nie pragnęli żyć. Właściwie byli już martwi. Mieli prawo do śmierci i tylko trochę ją odroczyli.

— Elmer, proszę — powiedziała Cynthia. — Ci, którzy nimi kierowali? Kim oni byli? Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś znajdował się w ich wnętrzu. Te maszyny nie miały załóg. Były...

— Panienko — przerwał jej Elmer. — To nie były maszyny w ścisłym tego słowa znaczeniu. A przynajmniej te, które my budowaliśmy. Oczywiście centralną część stanowił inteligentny komputer, ale wspomagały go ludzkie mózgi. W tej, którą ja skonstruowałem, na pewno był więcej niż jeden ludzki umysł. Nigdy nie dowiedziałem się, kim byli dawcy. Ważne było to, że mózgi należały do kompetentnych osób, może najbardziej doświadczonych wojskowych, którzy chcieli przedłużyć sobie trochę życie, by zadać w tej wojnie ostateczny cios. Mózg robota i człowieka tworzyły wspólną całość...

— Ależ to potworne.

Elmer posłał jej szybkie spojrzenie i ponownie zapatrzył się w ogień.

— Przypuszczam, że można tak powiedzieć, panienko. Nie rozumiesz jednak, co dzieje się z ludźmi w czasie wojny. Pojawia się jakieś wysublimowane szaleństwo, jakaś wściekła nienawiść, którą nazywa się słuszną sprawą...

— Skończmy z tym — przerwałem. — To wcale nie musiała być maszyna wojenna. Mogło to być coś zupełnie innego.

— Co innego? — zapytała Cynthia z przekąsem.

— Minęło dziesięć tysięcy lat — odparowałem.

— Tak — rzekła Cynthia — mam nadzieję, że to było coś innego.

Elmer nie uczestniczył w wymianie zdań. Trwał w bezruchu.

Gdzieś na wzgórzu, ponad nami, ktoś wydał okrzyk, który poderwał nas na równe nogi. Migotało tam jakieś światełko i słychać było, jak jakaś grupa przedziera się przez plataninę zwalonych drzew.

— To latarnie — stwierdził Elmer. — Prawdopodobnie niosą je ludzie, którzy polowali z psami.

Obserwowaliśmy dalej ruch latarni. Nikt więcej nie krzyczał w naszym kierunku. W końcu światełko przestało się kołysać i ruszyło w dół z boczna bezpośrednio ku nam.

Było ich trzech. Wysocy, wyglądający jak maskary mężczyźni szczerzyli w uśmiechu połyskujące w świetle płomieni zęby. Przez ramiona przewieszzone mieli strzelby, a jeden dźwigał coś jeszcze na grzbiecie. Wokół całej grupy podskakiwały psy.

Zatrzymali się na skraju naszego biwaku stojąc przez chwilę w milczeniu, przyglądając się nam i osuwając z naszą obecnością.

— Kim jesteście? — zapytał jeden w końcu.

— Gośćmi — odparł Elmer. — Podróżnikami, obcymi.

— A ty coś za jeden? Nie jesteś człowiekiem — ostatnie słowo zabrzmiało jak „człkiem”.

— Jestem robotem. Obywatelem tej planety. Zostałem skonstruowany na Ziemi.

— To cuda — skomentował inny. — Noc cudów.

— Wiecie, co to było? — zapytał Elmer.

— Łupieżca — odpowiedział ten, który się pierwszy do nas odezwał. — Opowiadają o nim stare listy.

— Jeśli was minął, nie macie się czego obawiać. Jeszcze nikt nie widział go dwa razy w życiu — dodał trzeci z mężczyzn. — Wróci dopiero po wielu latach.

— I nie wiecie, co to było?

— Łupieżca — powtórzył, jakby to wyjaśniało wszystko i nie należało pytać o więcej.

— Zobaczyliśmy wasze ognisko — stwierdził pierwszy — i wpadliśmy, by się przywitać.

— Chodźcie bliżej — zaprosił Elmer.

Podeszli i przykucnęli przy ognisku opierając strzelby o ziemię kolbami, a lufami na ramionach. Ten, który coś niósł, zrzucił ciężar z pleców pod nogi.

— Szop — rozpoznał zdobycz Elmer. — Mielicie udane polowanie.

Psy zbliżyły się i dysząc pokładły wokół ogniska. Ich ogony od czasu do czasu wystukiwały uprzejmy rytm.

Cała trójka siedziała w rzędzie uśmiechając się do nas szeroko. Jeden z nich rozpoczął prezentację:

— Jestem Luther, tego nazywają Zeke, a ten na końcu to Tom.

— Miło was poznać — odparł Elmer najuprzejmiej, jak potrafił. — Ja nazywam się Elmer, a ta młoda dama Cynthia. Ten dżentelmen ma na imię Fletcher.

Kiwnęli jak na komendę głowami.

— A co to za dziwne zwierzę macie za sobą?

— Nazywa się Bronco. To instrument.

— Miło mi was widzieć — pozdrowił ich Bronco.

Przypatrywali mu się uważnie. Elmer wyjaśnił:

— Nie musicie zwracać na nas uwagi. Wszyscy jesteśmy spoza tej planety.

— Dobra — rzekł Zeke. — Nie ma to dla nas znaczenia. Po prostu zobaczyliśmy ogień i zdecydowaliśmy się zajrzeć.

Luther sięgnął do kieszeni i wydobył butelkę. Zakołysał nią zachęcająco.

Elmer potrząsnął głową.

— Nie mogę pić — usprawiedliwił się.

Dałem krok do przodu i sięgnąłem po butelkę. Przyszła moja kolej na działanie. Do tej pory odzywał się tylko Elmer.

— To dobry trunek — zachęcił Zeke. — Starzec Timothy go wyprodukował. Posiada przepisową moc.

Wyjąłem korek i przytknąłem butelkę do ust. Ten łyk prawie mnie udusił. Z trudem powstrzymałem się od kaszlu. Poczułem, jak płyn przelewa mi się w żołądku. Nogi zrobiły mi się miękkie.

Przyglądali mi się uważnie, starając się zachować powagę.

— To męski trunek — powiedziałem. Pociągnąłem drugi raz i oddałem butelkę.

— A pani? — zapytał Zeke.

— To nie dla niej — zaprotestowałem. Usiadłem i obserwowałem, jak flaszka krąży z rąk do rąk. W końcu wróciła do mnie i pociągnąłem jeszcze jeden łyk. W głowie zaczynało mi lekko szumieć od trzech szybkich drinków, ale powiedziałem sobie, że zrobiłem to dla dobra nas wszystkich. Musiał być wśród nas ktoś, kto mówił ich językiem.

— Jeszcze jeden? — zapytał Tom.

Potrząsałem głową.

— Nie teraz. Może trochę później. Nie chciałbym wypić wam całego zapasu.

— Mam drugą flaszkę w rezerwie — odparł Luther klepiąc się po kieszeni. Zeke wyjął zza pasa nóż i przyciągnął do siebie szopa.

— Luther — zagadnął — zorganizuj jakiś rozen. Mamy świeże mięso, trochę paliwa i miłe ciepłe ognisko. Zróbmy sobie ucztę.

Spojrzałem prze ramię na Cynthię. Twarz miała bladą i zapadniętą. Z przerażeniem obserwowała nóż, który gładko wszedł w brzuch rozciągniętego na ziemi szopa.

— Spokojnie — powiedziałem.

Uśmiechnęła się do mnie uśmiechem chorego człowieka.

— Gdy nadejdzie świt — rzekł Tom — pójdziemy do domu. Przy świetle dnia łatwiej będzie przedostać się przez te zwalone drzewa. Jutrzejszej nocy mamy duże święto. Fajnie, że z nami jesteście. Mam nadzieję, że wpadniecie?

— Oczywiście, że tak — odpowiedziała Cynthia.

Rzuciłem spojrzenie w kierunku Bronco. Stał wyprostowany z wysuniętymi wszystkimi czujnikami.

8.

Pokazał mi pola ze zbożem ustawionym w kopy i mieniące się złotem w słońcu dynie. Obejrzałem ogród z niewidoma już rosnącymi warzywami, dobrze wypasione świnie przeznaczone do zarżnięcia oraz bydło i owce pasące się na łące w głębokiej po kolana trawie. Zwiedziłem wędzarnię przygotowaną na przyjęcie szynek, kuźnię ze zgromadzonymi tu zapasami różnych metali, kurnik, narzędziownię i stodołę, a teraz siedzieliśmy we dwóch na górnej belce mocno już zniszczonego ogrodzenia. Zapytałem:

— Jak długo tu mieszkacie? Nie chodzi mi konkretnie o was, ale w ogóle o ludzi. Od jak dawna tu żyją?

Zwrócił w moim kierunku swą pomarszczoną twarz starego patriarchy o łagodnych niebieskich oczach

i brodzie podobnej do białego jedwabiu koszuli, jaką nosił.

— To niemądre pytanie — odparł. — Zawsze tutaj byliśmy. Mniejsze lub większe skupiska ludzi od niepamiętnych czasów zamieszkują tę dolinę. Kilku mieszka samotnie, ale niewielu. Lubimy być razem. Niektóre rodziny żyją w przyjaźni od niepamiętnych czasów. Oczywiście zdarzają się tacy, którzy odchodzą, żeby znaleźć lepsze miejsce do osiedlenia się, a przynajmniej myślą, że będzie to lepsze miejsce. Nie jest nas zbyt wielu, nigdy nie było. Część kobiet jest bezpłodna, wiele dzieci umiera. Mówi się, że prześladuje nas jakaś starożytna choroba. Nie wiem, czy to prawda, tak wiele jest nie sprawdzonych starych opowieści.

Oparł mocniej stopy o niższą belkę i położył ręce na kolanach. Dłonie miał już powykrzywiane ze starości. Palce powykręcane i sztywne, a stawy przypominały wystające grudy. Żyły na grzbiecie rąk były niebieskie i mocno zaznaczały się pod skórą.

— Życie w zgodzie z ludźmi z Cmentarza? — zapytałem.

Zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział. Myślę, że był już takim typem człowieka, który zawsze zastanawiał się przed wypowiedzeniem czegokolwiek.

— Przeważnie tak — rzekł w końcu. — Z biegiem lat przypełzli bliżej nas zabierając ziemię, która za moich chłopięcych lat była jeszcze dzika. Kilka razy poszedłem porozmawiać z tym, jak mu tam... — szukał nazwiska, które wyleciało mu z pamięci.

— Bell — odpowiedziałem. — Maxwell Peter Bell.

— O właśnie, ten. Chodzę tam i rozmawiam z nim, ale nie wiem, czy to coś daje. Jest gładki jak olej. Uśmiecha się, ale za tym uśmiechem nie ma nic. Jest pewny siebie. Reprezentuje siłę i potęgę, a my jesteśmy

mali i słabi. Mówię mu, że zabierają nam ziemię, że jest nam coraz ciasniej, że nie musi tego robić, bo wiele jest bezpańskiej ziemi, pustej i nie używanej przez nikogo. Nie musi rozbudowywać Cmentarza w naszym kierunku. On twierdzi, że tej ziemi my również nie używamy, a ja, że jednak jej potrzebujemy, nawet jeśli nie orzemy jej i nie uprawiamy. Trzeba nam trochę wolnej przestrzeni, miejsca gdzie możemy się obrócić. Bez tego czujemy się stłoczeni i stłamszeni. On na to, że nie mamy do tej ziemi żadnych praw. Pytam się go, co to jest prawo do ziemi, a on usiłuje mi wytłumaczyć. Uważam to jednak za bzdurę. Pytam się go, czy on ma takie prawo. Nigdy mi jednak nie odpowiedział. Może pan potrafi mi na to odpowiedzieć, pochodzi pan przecież stamtąd, skąd i on.

— Wątpię — odparłem.

— Mimo to żyjemy z nimi raczej w zgodzie — kontynuował. — Niektórzy nawet wynajmują się u nich od czasu do czasu do pracy przy kopaniu grobów, stryżeniu trawy, przycinaniu gałęzi drzew i krzaków oraz porządkowaniu terenu między pomnikami. Utrzymanie Cmentarza, tak by wyglądał czysto i schludnie, wymaga wiele wysiłku. Chcą jednak naszej pomocy tylko wtedy, gdy sami już nie dają rady. Moglibyśmy, jak sądzę, więcej pracować, gdybyśmy chcieli, ale po co? Mamy wszystko, czego chcemy, a oni niewiele mogą nam oferować za to, co robimy. Czasami jakieś cudaczne ubrania, ale mamy potrzebną nam odzież z owczej skóry, ciepłą i zakrywającą nagość. Proponują nam trunki o różnych smakach, ale uważam, że nasza księżycówka wcale nie jest gorsza i wystarcza nam do naszych potrzeb. Księżycówka, jeśli umie się ją robić, ma duże uznanie oraz charakterystyczny posmak, do którego człowiek się przyzwyczaja. No i oczywiście dzbanki i naczynia, ale jak wiele dzbanków i naczyń potrzebuje kobieta? Żyjemy

tak nie dlatego, żebyśmy byli leniwi i nie chciało się nam pracować, ale ponieważ i tak jesteśmy ciągle zajęci. Uprawiamy ziemię, łowimy ryby, polujemy, wydobywamy stare metale. Wie pan, jest wiele takich miejsc, spory kawał drogi stąd, z kopcami zawierającymi metale. Używamy ich do wyrobu naszych narzędzi i broni. Z południa i z zachodu przyjeżdżają do nas od czasu do czasu kupcy oferując proch i ołów za nasze zboże, wełnę i księżycówkę. Inne rzeczy także, ale głównie proch i ołów.

Urwał i siedzieliśmy tak na najwyższej poprzeczce ogrodzenia w łagodnym słonecznym świetle. Drzewa przypominały zamarte w bezruchu kolorowe ognie, pola były skoszone i upstrzone snopkami. Na zboczu wzgórza, w kuźni, ktoś walił młotem, a z kominia unosił się snop dymu. Dym uchodził również z kominów najbliższych domów. Trzasnęły drzwi i przed domem pojawiła się Cynthia z dzbanem w ręce. Ubrana w fartuch weszła na podwórze i wylała zawartość dzbana do stojącej tam beczki. Pomachałem do niej, a ona odpowiedziała mi takim samym gestem i wróciła do domu zatrząskując za sobą drzwi.

Stary człowiek zobaczył, że przyglądam się beczce.

— Pomyje dla świń — powiedział. — Wrzucamy tam obierki od ziemniaków, kwaśne mleko, liście kapusty, wszystkie kuchenne odpady, których nie potrzebujemy. Karmimy tym wieprze. Nie mów, że nigdy nie widziałeś beczki na pomyje.

— Do tej pory nie wiedziałem, że coś takiego istnieje.

— Coś mi się wydaje, że niezbyt dobrze zrozumiałem, skąd pochodzisz i co tam robisz.

Opowiedziałem mu o Aldenie i usiłowałem wyjaśnić cel naszego przybycia tutaj. Nie jestem pewien, czy pojął wszystko.

Machnął w kierunku miejsca, gdzie stacjonował przez większość dnia Bronco, i zapytał:

— A więc twierdzisz, że on pracuje dla ciebie?

— Bardzo ciężko — odparłem. — I inteligentnie. Jest bardzo czuły. Wchłania w siebie pojęcia takie jak stodoła, kopiec siana, gołębie na dachu, krowy w oborze, konie na pastwisku. Da nam później to, czego potrzebujemy do skomponowania muzyki i...

— Muzyki? — przerwał mi. — Takiej jak na przykład gra na fujarce?

— Tak — powiedziałem. — Może być gra na fujarce.

Potrząsnął głową trochę ze zdumieniem, trochę z niedowierzaniem.

— Jest jedna rzecz, o którą chciałem cię zapytać — zagadnąłem. — A mianowicie o to, co myśliwi nazywają Łupieżcą.

— Sam dobrze nie wiem, czy mogę ci wiele pomóc. Nazywają go Łupieżcą i zawsze zastanawiałem się dlaczego. Nie słyszałem, żeby kiedykolwiek coś złupił. Jedyne niebezpieczeństwo, jakie stwarza, to że można znaleźć się bezpośrednio na jego trasie. Nie pokazuje się często i przeważnie jest tak daleko, że dopiero gdy zniknie za horyzontem, dowiadujemy się o jego przejeździe. Poprzedniej nocy chyba po raz pierwszy znalazł się w naszym bezpośrednim sąsiedztwie. Nie słyszałem, żeby ktoś kiedyś poszedł przyjrzeć mu się z bliska lub próbował wysledzić. Są rzeczy, które lepiej zostawić w spokoju.

Wiedziałem, że nie powiedział mi wszystkiego, co mógł i miałem przecucie, że nie zamierza tego zrobić. Mimo to spróbowałem:

— Muszą być jednak jakieś legendy. Może przekazy z dawnych czasów. Czy słyszałeś kiedyś, że może to być machina wojenna?

Spojrzał na mnie zdumiony i przestraszony.

— Jaka maszyna? Jaka wojna? — zapytał.

— Usiłujesz mi wmówić — rzekłem — że nie wiesz o wojnie, która zniszczyła Ziemię? O tym, jak ludzie odlatywali w kosmos?

Nie odpowiedział mi wprost, ale z tego co usłyszałem, pojąłem, że nie wiedział. Historia planety musiała być zagubiona gdzieś w mrokach stuleci.

— Jest wiele legend — zaczął. — Wiele z nich może być prawdziwych, a wiele fałszywych. Jednak nikt przy zdrowych zmysłach zbytnio się nad nimi nie zastanawia. Jest na przykład opowieść o człowieku liczącym duchy i dotąd, dopóki go nie spotkałem, myślałem, że to bajka. Jest też mit o nieśmiertelnym i choć sam go nie widziałem, są tacy, którzy twierdzą, że z nim rozmawiali. Są również słuchy o magii, czarnoksięstwie, ale tutaj nie mieliśmy i nie chcemy mieć z tym do czynienia. Żyjemy sobie dobrze i chcemy, aby tak zostało. Nie zwracamy więc uwagi na wszystko, co się mówi.

— Ale muszą być przecież książki.

— Może i kiedyś były. Słyszałem o nich, ale nigdy żadnej nie widziałem. Nie znam nikogo, kto by widział. My tu nie mamy żadnych książek i nie sądzę, byśmy kiedykolwiek mieli. Czy mógłbyś mi dokładnie wytłumaczyć, co tak naprawdę znaczy słowo „książka”?

Usiłowałem mu wytłumaczyć i choć jestem pewien, że zupełnie tego nie pojął, wydawał się trochę zszokowany. Aby ukryć swą niewiedzę, sprytnie zmienił temat.

— Czy twoja maszyna będzie na święcie plonów? Będzie obserwowała i słuchała?

— W rzeczy samej. To bardzo uprzejmie z waszej strony, że nas zaprosiliście.

— Będzie wielu ludzi ze wszystkich części niziny. Zaczną się pojawiać, gdy tylko zajdzie słońce. Będzie

muzyka, tańce i wielkie stoły zastawione najrozmaitszym jadłem. Czy wy na Aldenie zbieracie się przy takich okazjach?

— Może nie święto plonów, ale inne uroczystości obchodzimy bardzo podobnie.

Dalej siedzieliśmy w milczeniu i zacząłem rozmyślać o tym tak udanym dniu. Przechadzaliśmy się po polach wyciągając źdźbła ze snopków, by stary człowiek mógł pochwalić się, jakie dorodne ziarna pszenicy udało mu się wyhodować. Oglądaliśmy stekające tuczniaki wężące w korycie w poszukiwaniu przeoczonego kęsa strawy, przyglądaliśmy się kowalowi w kuźni, jak rozżarzał do czerwoności lemiesz pługa, a potem przenosił go szczypcami na kowadło i tłukł młotem, aż leciały iskry. Wchodziliśmy do chłodnych stodoł i przysłuchiwalismy się gruchaniu gołębi gnieźdzących się pod strzechą. Rozmawialiśmy leniwie tak, jak nigdzie nie śpieszący się ludzie, i to było miłe.

Otworzyły się drzwi jednej z chałup i jakaś kobieta wychyliła głowę krzycząc:

— Henry! Henry, gdzie jesteś?!

Stary człowiek powoli zsunął się z ogrodzenia.

— To mnie szukają — mruknął. — Nie wiem, o co chodzi. Kobiety miewają najdziwniejsze pomysły. Posiedź chwilę spokojnie, a ja pójdę zobaczyć.

Obserwowałem go, jak sunie w dół zbocza i wchodzi do domu. Słońce przygrzewało mi w plecy i pomyślałem, że powinienem rozruszać się trochę lub znaleźć sobie coś do roboty. Musiałem głupio wyglądać siedząc tak na płocie. Czułem się winny, że nic nie robię, ale nic nie chciałem robić. Odczuwałem dziwną niechęć do pracy. Po raz pierwszy w życiu nie byłem załatany i nie musiałem pracować. Z pewnym niesmakiem odkryłem, że mi się to podoba.

Bronco nadal stał przed stodołą z wysuniętymi czujnikami, a Cynthii nie widziałem od czasu, gdy wyszła wylać pomyje. Zastanawiałem się, gdzie może być Elmer, nie spotkałem go przez cały dzień. Właśnie nad tym myślałem, kiedy zobaczyłem go wychodzącego zza rogu stodoły. Na pewno dostrzegł mnie prawie od razu, bo skierował się w moją stronę. Podszedł bardzo blisko, zanim się odezwał. Mówił cicho i wyczułem, że jest w kłopotach.

— Przyglądałem się śladom — powiedział. — Nie mam żadnych wątpliwości. Ta rzecz zeszej nocy to była machina wojenna. Znalazłem pewne charakterystyczne znaki, jakich nie pozostawia żadne inne urządzenie. Podążyłem jej tropem i zobaczyłem, że zawraca na zachód. W górach jest wiele miejsc, w których mogłaby ukrywać się machina wojenna.

— Dlaczego miałyby się ukrywać?

— Nie umiem tego wyjaśnić. Nie można określić sposobu rozumowania takiej maszyny. Umysł człowieka i mózg robota były razem przez dziesięć tysięcy lat i mogły przeistoczyć się w coś innego. Fletch, jak myślisz, w co może przemienić się umysł po takim okresie czasu?

— Może w nic — odparłem. — A może w coś bardzo dziwnego. Jeśli ta maszyna przetrwała czas zniszczenia, czym mogła się stać? Jaki motyw miałyby, żeby jeszcze istnieć? W jaki sposób traktowałyby otoczenie tak diametralnie różne od tego, do jakiego była skonstruowana? Jest w tym jednak coś dziwnego. Żyjący tu ludzie nie wydają się jej bać. Traktują ją po prostu jako coś, czego nie rozumieją, a świat pełen jest niezrozumiałych dla nich zjawisk.

— Oni są dziwni — skomentował Elmer. — Nie podoba mi się ich wygląd. Czegoś tu nie rozumiem.

Wydaje mi się mało prawdopodobne, by tych trzech młodych łowców szopów podeszło wczoraj do naszego ogniska bez żadnej przyczyny. Musieli się przecież przebić przez szlak po machinie.

— Zwykła ciekawość — wzruszyłem ramionami. — Niewiele się tu dzieje. A jeśli już coś się wydarzy, jak na przykład nasze pojawienie się, to muszą to zbadać.

— Rozumiem, oczywiście — odparł. — Ale to nie wszystko.

— Masz coś konkretnego na myśli?

— Nie, nic takiego. Nic, co mógłbym ściśle zdefiniować. Mam po prostu przecucie. Fletch, wynośmy się stąd.

— Chcę jeszcze zostać na festynie, żeby Bronco mógł go zarejestrować. Zaraz potem wyruszamy.

9.

Tak jak powiedział stary człowiek, ludzie zaczęli schodzić się wkrótce po zachodzie słońca. Przybywali pojedynczo, dwójkami, trójkami, a czasem nawet w sześcioro. Plac był teraz ich pełen. Kręcili się wokół stołów zjedzeniem, inni siedzieli w domach, a kilku mężczyzn w stodole podawało sobie z rąk do rąk butelkę.

Stoły ustawiono późnym popołudniem. Mężczyźni wynieśli z drewnutni krzyżaki do piłowania drewna i przykryli je płaskimi blatami. W taki sam sposób zbudowano podium dla orkiestry, która właśnie rozsiadłszy się, stroiła instrumenty piłując w skrzypce i szarpiąc struny gitar.

Księżyc jeszcze nie wzeszedł, ale niebo na wschodzie pojaśniało, a poza doliną drzewa odcinały się od niego

czarną linią. Ktoś kopnął psa i zwierzę skowycząc uciekło w ciemność. Nagły wybuch śmiechu doleciał od grupy mężczyzn przy jednym ze stołów, możliwe, że któryś z nich opowiedział udany dowcip. Ktoś rozpałił ognisko wrzucając węgiel do chrustu. Płomień zajęły drewno strzelając wysoko w górę.

Bronco stał blisko skraju lasu, a oświetlające go płomień sprawiały, że wydawał się migotać. Elmer przyłączył się do jednej z grup przy stole z jedzeniem i zdawało się, że pograżony był w dyskusji. Szukałem wzrokiem Cynthii, ale nie mogłem jej dojrzeć.

Poczułem rękę na swoim ramieniu, a gdy odwróciłem się, u mego boku stał starzec Henry. Wtedy właśnie zagrała orkiestra i ruszyły taneczne pary.

— Stoisz samotnie — zagadnął. Lekki wietrzyk rozwał mu bokobrody.

— Po prostu stanąłem z boku i przyglądałem się. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Faktycznie nigdy. Było w tym wszystkim coś dzikiego, prymitywnego i barbarzyńskiego. Coś, co powinno być już być wyplenione z ludzkiej rasy. Tutaj jednak egzystował ciągle związany z ziemią mistycyzm datujący się od czasów epoki ogryzionej kości udowej i kamiennego topora.

— Jeśli pozostaniecie jeszcze trochę z nami — powiedział starzec — zobaczcie, że jesteście mile widzianymi gośćmi. Możecie mieszkać tu i wykonywać pracę, którą zamierzycie.

Potrząsnąłem głową.

— Musimy to rozważyć. Poczynić jakieś plany. Ale za zaproszenie bardzo dziękuję.

Tańczono teraz. Był to prosty i raczej dziki taniec, jednak miał w sobie sporo gracji i płynności. Na platformie jeden z muzyków coś zawodził. Starzec zachichotał.

— Ten taniec nazywa się kontredansem. Słyszałeś o nim?

— Nigdy — odparłem.

— Sam zamierzam tańczyć — rzekł starzec. — Jak tylko wypiję jeszcze jeden lub dwa drinki, by się naoliwić. O wilku mowa... — to mówiąc wyciągnął z kieszeni butelkę, odkorkował ją i podał mi. Fłaszka była chłodna, przytknąłem ją do ust i pociągnąłem łyk. Była to lepsza gorzałka od tej, którą próbowałem zeszłej nocy. Chciałem oddać butelkę, ale odsunął mi rękę.

— Chłapnij sobie jeszcze raz. Pozostajesz w tyle.

Łyknąłem więc jeszcze raz. Ciepło rozlało się po moim ciele i zaczynałem się coraz lepiej czuć. Oddałem butelkę, stary człowiek pociągnął z niej i powiedział:

— To whisky z Cmentarza. Lepsza od tej, jaką robimy sami. Kilku chłopców było tam dziś rano i wyhandlowali skrzynkę.

Pierwszy taniec się zakończył. Ludzie szykowali się do następnego. Pośród tancerzy dojrzałem Cynthię. Była piękna. Tańczyła w migotliwym świetle z niezwykłą gracją, która mnie zadziwiła. Chociaż tak naprawdę to wcale nie wiem, dlaczego nie miałyby być pełna wdzięku.

Księżyc płynął majestatycznie po niebie, a ja nigdy jeszcze nie czułem się tak dobrze.

— Pociągnij jeszcze raz — zaproponował starzec podając mi butelkę.

Noc była ciepła, ludzie również, ogień płonął jasno na tle ciemnych drzew, a Cynthia tańczyła. Miałem ochotę podejść do niej i zatańczyć również.

Grany utwór zakończył się i ruszyłem w jej kierunku, by poprosić ją do tańca. Zanim jednak uczyniłem jeden czy dwa kroki, na plac taneczny przecisnął się Elmer i zaczął tańczyć gige. Muzycy od razu podjęli rytm,

może nie gigi, ale czegoś równie skocznego i reszta towarzystwa przyłączyła się do płaśów.

Elmer tańczył. Zawsze wydawał się nieruchawym, masywnym robotem, ale teraz jego stopy wybijały szybki rytm na ziemi, a całe ciało się kołysało. Ludzie uformowali wokół niego pierścień wołając, pokrzykując i klaszcząc w dłonie, by go zachęcić i wyrazić swoje uznanie. Bronco ruszył ze swojej pozycji na skraju lasu i skierował się ku tańczącym. Ktoś coś krzyknął widząc go i krąg rozerwał się, pozwalając mu przejść do środka. Bronco stanął przed Elmerem i zaczął poruszać się i wybijać rytm wszystkimi ośmioma nogami.

Orkiestra grała teraz jakąś dziką melodię coraz bardziej zwiększając tempo, a Bronco i Elmer reagowali na nią. Osiem nóg Bronco wznosiło się i opadało niczym oszalałe kafary, a jego ciało kołysało się i podrygiwało. Ziemia pod ich nogami dygotała niczym bęben i wydawało mi się, że czuję jej wibrację poprzez podeszwy butów. Ludzie krzyczeli i gwizdali. Niektórzy na zewnątrz kręgu zaczęli również tańczyć, a potem wszyscy przyłączyli się tańcząc razem z Bronco i Elmerem. Spojrzałem w bok i zauważyłem, że starzec tańczy również, wywijając dziko tułowiem. Włosy i biała broda falowały od gwałtownych ruchów.

— Tańcz! — krzyknął na mnie swoim zachrypłym i świszczącym głosem. — Co z tobą? Dlaczego nie tańczysz? — Mówiąc to sięgnął do kieszeni i podał mi flaszkę. Złapałem ją i zacząłem tańczyć. Wyciągnąłem korek i przyłożyłem butelkę do ust, cały czas się poruszając. Gdy piłem, szyjka grzechotała mi o zęby, ale wlałem w siebie spory łyk. Wódka dotarła do żołądka i pozostała tam ciepła i podniecająca, a ja tańczyłem wymachując butelką. Myślę, że również krzyczałem, nie żebym miał coś szczególnego do powiedzenia, ale po

prostu z radości, jaką dawała ta noc. Wszyscy powarowali, zachłysłeni się nocą, ogniem i muzyką. Tańczyliśmy nie myśląc, bez celu. Każdy tańczył, ponieważ inni tańczyli, a może dlatego, że tańczyły również dwie maszyny, których przysłowiowa niezręczność i niezgrabność przemieniła się w nieporównywalną grację, albo też dlatego, że żyliśmy i wiedzieliśmy, że wiecznie żyć nie będziemy.

Księżyc wolno przesunął się po niebie, a z ogniska snuła się w górę wąska smuga białego dymu. Skrzypce i gitary wrzeszczały, łąkały i śpiewały.

Nagle, jakby na komendę (choć nikt takiej nie wydał), muzyka urwała się i taniec ustał. Zobaczyłem, jak zatrzymują się inni, więc sam zamarłem ze wzniesioną w górę butelką. Poczulem, jak ktoś chwyta mnie za rękę i jakiś głos szepcze mi do ucha:

— Flaszka, człowieku. Na miłość boską, flaszka.

Był to mój starzec. Oddałem mu butelkę. Użył jej jak wskaźnika, pokazując w bok od kręgu tańczących, a potem wcisnął ją pomiędzy swoje baki i odchylił głowę w tył. W butelce zabulgotało, a jego jabłko Adama zadrgało synchronizując się z gulgotem.

Patrząc w kierunku, który wskazał, zobaczyłem stojącego tam spokojnie człowieka. Nosił on jakiś dziwny czarny habit sięgający stóp. Miał też zarzucony na głowę kaptur, tak że widać było tylko białą plamę jego twarzy.

Starzec zakasłał zakrztusiwszy się i oderwał butelkę od ust. Znowu użył jej jako wskaźnika.

— Władca Duchów — oznajmił.

Ludzie odsuwali się na boki, a muzycy na estradzie siedzieli zgarbieni, ocierając spocone twarze rękawami.

Władca Duchów stał przez chwilę pod obstrzałem spojrzeń wszystkich zgromadzonych, a potem popły-

nał — nie poszedł, ale popłynął — ku centrum tanecznego kręgu. Człowiek z fletem podniósł go do ust i zaczął cichutko grać. Z początku przypominało to szelest poruszanych wiatrem na łące traw, potem dźwięk stawał się coraz mocniejszy. Wydawało się, że widać wibrujące tony wiszące w powietrzu. Z cicha dołączyły się wiolonczele jako tło dla fletu i jakby z dużej odległości głuchym dźwiękiem zabrzczały gitary. Wtem wiolonczele załkały, flet oszalał, a szarpanie strun gitar zaczęło przypominać wibrację perkusji.

Wewnątrz kręgu Władca Duchów tańczył, ale nie nogami — nie można było dojrzeć jego nóg ze względu na habit — tylko całym ciałem, wyginając je w nieprawdopodobny sposób. W tym dziwnym, urywanym, łamanym tańcu przypominał kukłę albo falującą na wietrze, wiszącą na sznurze ścierkę.

Nie był sam. Przybyli z nim inni, wiele niewyraźnych kształtów-cieni, które pojawiły się nie wiadomo skąd i tańczyły razem z nim w blasku przeświecającego przez ich niematerialne sylwetki ognia. Na początku wydały mi się tylko cieniami, ale w miarę jak zdumiony przyglądałem się im, zaczynały nabierać coraz bardziej konkretnych zarysów i kształtów, choć wcale nie stawały się materialne. Nadal były mgliste, ale teraz już bardziej podobne do ludzi niż do cieni. Z przerażeniem stwierdziłem, że nosiły ubiory różnych odległych od siebie ras gwiazdnych. Był tam bandzior w spódnicy i pelerynie, o ogromnych bokobrodach, z odległej planety nazywanej dość dziwnie Końcem Nicości. Obok niego zobaczyłem wesołego handlarza w dostojnej todze ze świata Cash, a pomiędzy nimi tańczyła z zapamiętaniem dziewczyna w poszarpanym szlafroku, która nie mogła pochodzić z innego miejsca, jak z planety rozkoszy Vegas.

Nie dotknęła mnie ani nie słyszałem jak podchodzi, a jednak jakoś, choć sam nie wiem w jaki sposób, wyczułem, że Cynthia jest przy mnie. Spojrzałem na nią. Wpatrywała się we mnie z mieszaniną strachu i zdziwienia na twarzy. Wargi jej poruszały się, ale nie mogłem nic dosłyszeć ze względu na zbyt głośną muzykę.

— Co powiedziałaś? — zapytałem, ale nie miała czasu odpowiedzieć, bo w tym momencie targnęła mną eksplozja, która z taką siłą cisnęła mnie na ziemię, że zaparło mi dech w płucach. Upadłem na bok, przekręciłem się na wznak i ze zdumieniem ujrzałem Bronco lecącego w powietrzu z rozstawionymi groteskowo ośmioma nogami. Wszędzie wokół fruwały płonące szczapy i gałęzie, a unoszący się kłęb dymu przyćmił blask księżyca.

Usiłowałem odetchnąć i nie mogłem. Zdjął mnie nagły strach, że już nigdy nie będę oddychał, że potworny ucisk zmiażdży mi klatkę piersiową. Wtedy właśnie zaczerpnąłem powietrza, zachłystywałem się nim, a każdy haust przejmował mnie takim bólem, że usiłowałem przestać. Nie mogłem jednak.

Zobaczyłem, że na całej polanie ludzie leżą na ziemi. Niektórzy wstawali, inni usiłowali wstać, a jeszcze inni nie ruszali się wcale.

Podźwignąłem się na kolana i zobaczyłem, że leżąca obok mnie Cynthia także próbuje się podnieść. Wyciągnąłem rękę, by jej pomóc. Bronco wybuch rzucił nie opodal, ale gdy na niego spojrzałem, stał już, choć niepewnie, na sześciu nogach. Pozostałe, po tej samej stronie tułowia, zwiślały bezwładnie. Usłyszałem dudnienie stóp i Elmer stanął u boku Bronco podtrzymując go, poklepując i pomagając mu się poruszać. Skoczyłem na równe nogi pociągając Cynthię za sobą. Elmer i Bronco biegli w naszą stronę, a Elmer krzyczał:

— Uciekajcie stąd! Pod górę!

Odwróciliśmy się i zaczęliśmy biec w stronę bramy w ogrodzeniu, na którym siedzieliśmy razem z Henrym przez pół popołudnia. Zbliżając się do niej zdałem sobie sprawę, że okulawiony Bronco nie zdoła jej przesadzić. Złapałem za górną belkę usiłując ją zerwać i pociągnąć w dół. Wygięła się mocno, ale nie chciała puścić.

— Zostaw to mnie — krzyknął nadbiegający Elmer. Uniósł nogę i kopnął. Belka pękła, a oba jej końce opadły w dół. Cynthia przesadziła już ogrodzenie i biegła pod górę. Pognałem za nią. Obejrzałem się szybko za siebie i zobaczyłem, że płonie jedna z kop siana koło stodoły. Zająta się prawdopodobnie od palących się gałęzi rozrzuconych wybuchem, który okulił Bronco. Ludzie biegali bez celu w świetle palącej się sterty.

Oglądając się nie wiedziałem, dokąd biegnę, i wpadłem prosto na snopek żyta. Wywróciłem go, sam rozkładając się na ziemi jak długi. Zanim zdażyłem wypłatać się z niego i stanąć na nogi, minęli mnie Bronco z Elmerem i zniknęli za grzbietem oświetlonego blaskiem księżyca wzgórze. Puściłem się sprintem za nimi. Twarz i ręce piekły mnie i paliły od gwałtownego zetknięcia się z rżyskiem. Kiedy przytknąłem rękę do twarzy, poczułem, jak robi się wilgotna i lepka od krwi sączącej się z ranek powstałych od ostrych łodyg, które wbiły mi się w ciało.

Za grzbietem wzgórze zacząłem zbiegać w dół i daleko przed sobą dostrzegłem jasną plamę kurtki Cynthii. Była już prawie na skraju lasu rosnącego za polem. Tuż za nią posuwali się Elmer i Bronco. Bronco, podpierany przez Elmera, złapał właściwy rytm i biegł bardzo szybko.

Kawałki łodyg zboża i wysuszone chwasty rosnące między skibami chlastały mnie po nogawkach. Gdy

biegłem, usłyszałem za sobą pokrzykiwania i ujadanie. Dotarłem do ogrodzenia dzielącego pole od drzew. Była w nim dziura, którą wybił Elmer. Rzuciłem się w nią, a potem między drzewa, gdzie musiałem zwolnić w obawie przed zderzeniem z którymś z pni.

Nieco z boku ktoś na mnie syknął. Zatrzymałem się i odwróciłem. Zobaczyłem całą trójkę zgromadzoną pod nisko zwieszającymi się gałęziami dębu. Bronco całkiem dobrze trzymał się na sześciu nogach, a Elmer zszedł właśnie z drzewa dźwigając ze sobą pakunki.

— Przyniosłem je tutaj, jak tylko zapadł zmrok — wyjaśnił — i ukryłem na drzewie. Miałem przeczucie, że coś takiego może się nam przytrafić.

— Czy wiesz, co się stało?

— Ktoś rzucił bombę — odparł Elmer.

— To bomba korporacji — stwierdziłem. — Mieli tę skrzynkę trunków.

— Tak przypuszczam, ale jakoś nie chce mi się w to wierzyć. To była bardzo dobra whisky.

— A co z Władcą Duchów i jego towarzyszami? — zapytała Cynthia.

— Przyprawdzili ich dla odwrócenia uwagi — rzekł Elmer.

Potrząsałem głową.

— To zbyt skomplikowane. Wszyscy nie mogli być w to zamieszani.

— Nie doceniasz naszych przyjaciół. Co powiedziałaś Bellowi?

— Nic szczególnego. Po prostu odmówiłem, by nami kierował.

Elmer warknął.

— Tak myślałem.

— Co teraz zrobimy? — zapytała Cynthia.

Elmer zwrócił się do Bronco:

— Poradzisz sobie na razie beze mnie?
— Jeśli będziemy poruszać się wolno.
— Fletch będzie z tobą. Nie może cię wprawdzie podtrzymywać jak ja, ale jest w stanie cię podnieść, gdy upadniesz. Z tą pomocą jakoś będzie ci szło. Muszę zdobyć trochę narzędzi.

— Masz przecież swój zestaw — przypomniałem mu. Elmer trzymał wszystkie części zamienne i wiele narzędzi w odpowiednim schowku na piersi.

— Mogę potrzebować młota i innego cięższego sprzętu. Nogi Bronco są całkowicie zdeformowane. By im przywrócić poprzedni wygląd, trzeba będzie trochę pokuć i zrobić pewne przeróbki. Oni mają narzędziownię. Jest wprawdzie zamknięta, ale to dla mnie żaden problem.

— Myślałem, że mamy stąd znikać. Jeśli tam wrócisz...

— Wszyscy są jeszcze zdenerwowani. Stodoła na pewno dopała się i walczą z ogniem. Potrafię wśliznąć się tam i odejść niezauważony.

— Tylko się pośpiesz — poprosiła Cynthia.

Kiwnął głową:

— Będę się śpieszył. We trójkę pójdziecie w dół tego wzgórza. Gdy dotrzecie do doliny, skręcicie w prawo i ruszycie z biegiem strumienia. Ty weź tę paczkę, Fletch. Cynthia powinna poradzić sobie z mniejszą. Resztę zostawcie mnie. Doniosę je później. Bronco w stanie, w jakim się znajduje, nie może nieść niczego.

— Jeszcze jedno — powiedziałem.

— O co chodzi?

— Skąd wiesz, że powinniśmy skręcić w prawo, w dół strumienia?

— Ponieważ poszedłem się rozejrzeć w terenie, podczas gdy ty wysiadywałeś na ogrodzeniu ze swoim

przyjacielem, a Cynthia smażyła ziemniaki i wykonywała inne domowe prace. Z wielu lat doświadczenia wiem, że dobrze jest zawsze rozpoznać teren, w którym się znajdujesz.

— A dokąd w ogóle zmierzamy? — zapytała Cynthia.

Odparł krótko:

— Byle dalej od Cmentarza. Tak daleko, jak tylko zdołamy.

10.

Bronco oświadczył wprawdzie, że da sobie radę, ale posuwaliśmy się bardzo powoli. Zbocze było strome i nierówne, a do doliny mieliśmy daleką drogę. Zanim tam dotarliśmy, Bronco potknął się trzykrotnie. Za każdym razem udawało mi się go postawić, ale wymagało to wiele pracy i zabierało dużo czasu.

Za nami jeszcze przez jakiś czas widać było na niebie łunę, która musiała pochodzić od płonącej stodoły, bo kopa siana pali się o wiele krócej. Jednak gdy dotarliśmy do doliny, łuna zgasła. Stodoła musiała spłonąć całkowicie albo też ugaszono ogień.

W dolinie maszerowało się łatwiej. Teren był prawie płaski, nie licząc sfałdowanej w kilku miejscach powierzchni. Drzew było mniej i księżyc dawał więcej światła

niż na gęsto zalesionym stoku. Gdzieś po naszej lewej stronie płynął strumień. Nie natknęliśmy się na niego, ale od czasu do czasu słyszeliśmy plusk wody, gdy potok natrafiał na bardziej kamienisty grunt.

Poruszaliśmy się w nierealnym, oświetlonym magicznym, srebrnym światłem świecie. Ze wzgórz po obu stronach czasami dolatywały nas jakieś pohukiwania i inne odległe dźwięki. W pewnym momencie przeleciał nad nami wielki ptak nie wydając najmniejszego szelestu swoimi skrzydłami, by potem skręcić i poszybować ponad grupą kilku drzew.

— Gdybym miał uszkodzone tylko po jednej nodze z każdej strony, nie przeszkadzałoby to zupełnie — westchnął Bronco. — Ale mając dwie nogi z jednej, a cztery z drugiej czuję się zdezorientowany i jestem śmiesznie niestabilny.

— Radzisz sobie wspaniale — pocieszyła go Cynthia. — Czy to boli?

— Nie mam zmysłu bólu, więc nie mogę go odczuwać.

— Myślisz, że to była sprawka Cmentarza? — zwróciła się do mnie. — Elmer, jak widzę, sądzi tak samo. Ja zresztą także. Czy nie uważasz jednak, że my nie możemy zagrozić...

— Każdy — przerwałem jej — kto nie bije pokłonów przed Cmentarzem, jest dla nich potencjalnym zagrożeniem. Byli tutaj tak długo, tak długo mieli Ziemię na własność, że nie mogą znieść żadnych intruzów ani przeszkód.

— Nie jesteśmy przecież przeszkodą.

— Ale możemy być. Jeśli wrócimy na Alden, jeśli odlecimy z Ziemi z tym, co chcemy. Pokażemy Ziemię, która nie jest Cmentarzem. A to może chwycić, wzbudzić zainteresowanie i uznanie artystów. Ludzie mogą być zadowoleni, że Ziemia to nie tylko cmentarzysko.

— Jednak nawet wtedy — rzekła — w żaden sposób im to nie zaszkodzi. Nadal będą prowadzić swój interes. Niczego to nie zmieni.

— Urazi ich dumę — odparłem.

— Duma to przecież tak mało. Czysto subiektywna sprawa. A właściwie czyją dumę? Maxwella Petera Bella? Czy innych autokratówjemu podobnych? Chyba nie dumę Cmentarza? Cmentarz to korporacja, ogromna korporacja. Interesują ich tylko roczne obroty, profity i koszty. Musi być w tym coś jeszcze, Fletch. Nie może to być sama duma.

Mogła mieć rację, pomyślałem. Mogło być coś jeszcze. Ale co?

— Są przyzwyczajeni do rządzenia — stwierdziłem. — Mogą kupić wszystko, co chcą. Wynajęli kogoś, by rzucił w Bronco tę bombę. I zrobiono to, pomimo że mógł przy okazji ucierpieć ktoś inny. Oni się jednak o drobiazgi nie troszczą, rozumiesz? Ważne dla nich jest tylko, by dopięli swego celu, środki nieważne. I osiagają cel tanim kosztem. Ze względu na to, kim są, nikt nie kwestionuje tego, co oferują. Znamy cenę tej bomby, nie była wysoka. Skrzynka whisky. Może żeby trzymać innych w garści, muszą demonstrować swoją siłę i pokazywać, co stanie się z tymi, którzy wymknęli się spod ich kontroli.

— Ciagle powtarzasz „oni” — zdenerwowała się Cynthia. — Nie ma tu żadnych „ich”, żadnej korporacji. Jest tylko jeden człowiek.

— Masz rację. I dlatego właśnie biorę pod uwagę dumę. Nie dumę Cmentarza, ale Maxwella Petera Bella.

Dolina rozciągała się przed nami niczym szeroka, obsiana trawą droga, upstrzona gdzieniegdzie kępami drzew i otoczona ciemnymi, zalesionymi wzgórzami. Gdzieś z lewej strony płynął strumień, ale już od dłuższego czasu go nie słyszeliśmy. Grunt był płaski i Bronco mógł posuwać się bez większych kłopotów,

a mimo to ze współczuciem patrzyliśmy na jego niezdarne utykanie. Dotrzymywał jednak tempa naszym krokom bez wysiłku.

Elmer się nie pojawiał. Przysunąłem do oczu zegarek, wskazywał prawie drugą godzinę. Nie miałem pojęcia, o której opuściliśmy osadę, ale zastanawiając się nad tym, doszedłem do wniosku, że nie później jak o dziesiątej. Oznaczało to, że byliśmy w drodze prawie cztery godziny. Zastanawiałem się, czy Elmerowi mogło się coś przytrafić. Włamanie się do narzędziowni i zabranie tego, co było potrzebne, nie mogło zająć mu wiele czasu. Poza tym miał zabrać paczki, które pozostawiliśmy za sobą. Miał więc do dźwignia spory bagaż, ale przecież ciężar nie mógł go zbyt opóźnić. Nawet z dużym obciążeniem poruszał się bardzo szybko.

Zadecydowałem, że jeśli nie pojawi się do świtu, musimy się gdzieś ukryć, wystawić warty i czekać na niego. Ani Cynthia, ani ja nie spaliśmy od momentu mojego przybycia na Ziemię i zaczęło mi się to dawać we znaki. Przypuszczam, że jej również. Bronco nie potrzebował snu. Mógł wypatrywać Elmera, gdy my się zdrzemniemy.

— Fletcher — odezwała się nagle Cynthia. Zatrzymała się tuż przede mną, tak że nie zdążyłem wyhamować i wpadłem na nią. Bronco stanął od razu blisko nas.

— Ogień — oznajmiła cicho. — Czuję zapach dymu. Dymu ogniska.

Pociągnąłem nosem. Nic nie poczułem.

— Wydaje ci się — odparłem. — Tu nikogo nie ma.

Dolina nie wyglądała na zamieszkaną przez ludzi. Moje zmysły chłonęły światło księżyca, trawę, drzewa i wzgórze, nocne powietrze i latające owady. Wtedy właśnie poczułem dym. Przelotny, ledwie wyczuwalny zapach spalenizny w powietrzu, który po ułamku sekundy całkowicie się ulotnił.

— Masz rację — powiedziałem. — Gdzieś tu musi palić się ognisko.

— Ognisko oznacza ludzi — skomentował Bronco.

— Mam dość ich widoku przynajmniej na parę dni — dodała Cynthia.

— Ja również — zgodził się Bronco.

Staliśmy usiłując zwęszyć następny podmuch wiatru niosący zapach dymu, ale bez skutku.

— Może jednak nikogo tu nie ma — rzekłem. — Na przykład tli się jeszcze drzewo uderzone kilka dni temu piorunem. Albo dymi stare, niezbyt dokładnie wygaszone ognisko.

— Powinniśmy się ukryć — zaproponowała Cynthia. — Nie powinniśmy tu stać tak, by każdy mógł nas zobaczyć.

— Trochę na lewo jest mały lasek — poinformował nas Bronco. — Możemy tam dotrzeć dość szybko.

Skręciliśmy w lewo i powoli, ostrożnie stawiając kroki, skierowaliśmy się w stronę lasu. Pomyślałem, że wraz z nadejściem dnia wszystko może się nam wydać śmieszne, bo ognisko, którego zapach wyczuliśmy, mogło znajdować się w odległości dobrych kilku mil. A nawet gdyby było bliżej, prawdopodobnie nie było powodu, by się go obawiać. Ogień mogli przecież rozpalić bardzo przywoici ludzie.

Na skraju lasu zatrzymaliśmy się nasłuchując. Spośród drzew dobiegł nas szum bieżącej wody. To dobrze, pomyślałem. Zaczynałem odczuwać pragnienie. Drzewa rosły pewnie wzdłuż strumienia przez całą dolinę.

Wkroczyliśmy w las na wpół ślepi z powodu gęstych cieni rzucanych przez drzewa. Wzrok mieliśmy przystosowany jeszcze do względnie jasnego blasku księżyca na otwartej przestrzeni. Nagle kilka z tych cieni poruszyło się, ktoś zdzielił mnie w głowę i upadłem na ziemię.

11.

Wpadłem do wody. Tonałem już po raz trzeci i ostateczny dusząc się wodą, która wypełniała mi usta i nos. Nie mogłem oddychać. Zakrztusiłem się, zachłysnąłem i otworzyłem oczy. Woda spływała mi z włosów po twarzy.

Zobaczyłem, że nie jestem w żadnym jeziorze, ale na raczej suchym gruncie. W mdłym świetle płonącego nieopodal ogniska widziałem zarys postaci mężczyzny trzymającego w dłoniach drewniany kubeł. Wiedziałem już, że to on wylał mi jego zawartość na twarz.

Nie mogłem dobrze dojrzeć jego twarzy, bo odwrócony był w stronę ognia, ale dostrzegłem błysk białych zębów, gdy krzyknął ze złością coś, czego nie zrozumiałem.

Z prawej strony dobiegał mnie okropny hałas. Od-

wróciłem głowę i zobaczyłem leżącego na grzbiecie Bronco, a wokół niego wielu wrzeszczących mężczyzn doskakujących, aby go dosięgnąć, i cofających się zaraz. Nie wychodziła im ta akcja zbyt dobrze, bo nawet z dwiema złamanymi nogami. Bronco miał jeszcze sześć sprawnych i pracowicie wierzgał nimi w kierunku otaczających go ludzi, jak prawdziwy koń.

Rozejrzałem się za Cynthią i dostrzegłem ją przy ognisku. Siedziała w dziwny sposób, z niewygodnie wyciągniętą w górę ręką. Zobaczyłem, że wielki mężczyzna stojący obok niej trzymał w uścisku jej wyciągnięte ramię i ile razy usiłowała powstać, wykręcał je tak, że gwałtownie siadała z powrotem.

Spróbowałem się podnieść. Polewający mnie człowiek runął w moim kierunku wymachując kubłem, jakby chciał mi rozwalić czaszkę. Niezupełnie jeszcze oprzytomniałem, ale udało mi się stanąć na nogi i byłem w przyśiadzie, kiedy zobaczyłem spadający kubek. Uskoczyłem w bok, wyciągając jednocześnie rękę w prawo. Kubek minął mnie o milimetry, a nadlatującego za nim faceta chwyciłem za nogi. Gdy upadał na mnie, wykręciłem ramię łapiąc go za kolano. Runął z łoskotem na ziemię tuż za mną.

Nie czekałem, by zobaczyć, co się z nim stało ani też co może robić. Rzuciłem się przez niewielką przestrzeń dzielącą mnie od człowieka wykręcającego rękę Cynthii. Widział mnie. Puścił ramię dziewczyny, sięgając do pasa po nóż. Był jednak zbyt wolny, zdążyłem zdzielić go z obu pięści w szczękę i to z zamachem, który rozpoznałem gdzieś koło swoich butów. Przysięgnę, że ten cios uniósł go przynajmniej trzydzieści centymetrów w górę, aż jego zeszywniałe ciało zderzyło się jak kłoda z ziemią. Sięgnąłem ręką, by pomóc Cynthii wstać, choć przypuszczam, że wcale tego nie potrzebowała.

Gdy ją podnosiłem, usłyszałem za sobą wycie, a odwracając się zobaczyłem, że ludzie atakujący Bronco zostawili go w spokoju i ruszyli w moją stronę.

Od chwili, w której wylano mi kubek wody na twarz cucąc mnie z omdlenia, byłem zbyt zajęty, by w pełni zdać sobie sprawę z naszego położenia, ale teraz miałem dosyć czasu, by zauważyć, że zbliżający się ku mnie mężczyźni stanowili naprawdę nieprzyjemnie wyglądającą bandę. Niektórzy ubrani byli w coś, co jak przypuszczałem, było kozimi skórami, a kilku nosiło wielkie futrzane czapy. Nawet w niewyraźnym świetle widziałem ich brud i łachmany zamiast ubrań. Posuwali się pochyleni, kiwając się niby małpy, a nie wyprostowani jak ludzie. Niektórzy mieli strzelby dziwnego rodzaju, a gdzieś tam błyskała stal ostrzy wyciągniętych noży. Zdecydowałem, że nie mam wielkich szans stawienia im oporu.

— Lepiej uciekaj stąd — poradziłem Cynthii. — Spróbuj gdzieś się ukryć.

Nie odpowiedziała, a kiedy spojrzałem, by zobaczyć dlaczego, zobaczyłem, że pochyliła się szukając czegoś na ziemi. Gdy się wyprostowała, trzymała w obu dłoniach maczugi — sękaty konary, które wyciągnęła ze stosu drewna przygotowanego na opał. Podała mi jedną, a sama, chwytając drugą oburącz, stanęła u mego boku.

Staliśmy tak z maczugami w zaciśniętych dłoniach. Być może, wyglądaliśmy groźnie, ale wiedziałem doskonale, na jak wiele mogło się to przydać. Chociaż grupa mężczyzn, widząc nas nagle uzbrojonych w pałki, zatrzymała się, w każdej jednak chwili byli gotowi natrzeć. Być może kilku oberwałoby parę guzów, ale przysięgnęliby nas samą liczebnością.

Wielkolud stojący nieco z przodu zapytał:

— Co się z wami dzieje? Dlaczego złapaliście pałki?

— Napadliście nas — odparłem.
— Skradaliście się — wyjaśnił.
— Poczuliśmy dym — powiedziała Cynthia. — Nie skradaliśmy się.

Gdzieś na lewo rozległo się parskanie i dobiegł nas odgłos nóg albo kopyt stąpających po ziemi. W lesie, poza kręgiem ognia, musiały znajdować się jakieś zwierzęta.

— Skradaliście się — upierał się mężczyzna. — Wy i ta wasza wielka bestia.

Gdy tak rozmawialiśmy, jego ludzie zaczęli przesuwać się na boki. Zajmowali pozycję do ataku z flanki.

— Porozmawiajmy rozsądnie — zaproponowałem. — Jesteśmy podróżnymi. Nie wiedzieliśmy, że tu jesteście i...

Nagle z obu stron dobiegł nas tupot nóg, a z lasu rozległ się przeraźliwy okrzyk, który spowodował, że otaczający nas mężczyźni zamarli w bezruchu — dziki, okrutny wojenny okrzyk mrozący krew w żyłach i powodujący stawanie włosów na głowie. Od ciemnych drzew oderwała się potężna metalowa postać i runęła w naszym kierunku. Na jej widok banda mająca za chwilę nas zaatakować rozproszyła się i rzuciła do ucieczki ratując życie.

— Elmer! — wykrzyknęła Cynthia, ale on nie zwracał na nas w ogóle uwagi. Jeden z uciekających się potknął. Elmer złapał go w pasie i uniósł wijące się rozpaczliwie ciało ponad głowę ciskając je ciemność. Rozległ się odgłos wystrzału, a ułamek sekundy później głuchy dźwięk pocisku uderzający w metalowy korpus Elmera. Był to jedyny strzał, jaki oddali uciekający. Wpadli do lasu łamiąc gałęzie. Elmer podążył za nimi. W przerwach między ich przerażonymi wrzaskami słyszeliśmy plusk wody, gdy przeprawiali się w panice przez strumień płynący za obozowiskiem.

Cynthia podbiegła do niezdarnie wymachującego nogami Bronco. Dołączyłem do niej i wspólnym wysiłkiem pomogliśmy mu wstać.

— To był Elmer — rzekł Bronco, gdy tylko odzyskał równowagę. — Teraz dopiero da im wycisk.

Wrzaski i jęki stopniowo oddalały się od nas, cichnąc w oddali.

— Jest ich więcej — relacjonował Bronco. — Pochowali się między drzewami. Nie mają jednak w sobie złości. To proste istoty.

— To konie — wyjaśniła Cynthia. — Musi ich być całkiem sporo. Myślę, że ci ludzie byli kupcami.

— Czy możesz mi dokładnie opowiedzieć, co zaszło? — zapytałem. — Kiedy wchodziliśmy w las, zobaczyłem jakieś cienie, a potem ocknąłem się, gdy ktoś wylewał na mnie wodę.

— Uderzyli cię w głowę — odparła. — Mnie pojмали i zawlekli do ogniska. Ciebie ciągnęli za nogi, wyglądałeś dość śmiesznie.

— Wyobrażam sobie, że umierałaś ze śmiechu.

— Nie, nie śmiałam się. Mimo wszystko jednak był to komiczny widok.

— A Bronco?

— Galopowałem właśnie na odsiecz, gdy potknąłem się i upadłem. Musisz jednak przyznać, że leżąc na grzbiecie również się sprawdziłem. Gdy mnie opadli, przyłożyłem im kilka kopniaków, którym mogłem zaufać.

— Nie zdradzili się niczym — powiedziała Cynthia. — Leżeli w ukryciu i czekali. Zobaczyli, że nadchodzimy i zaczęli się na nas. Nie mogliśmy widzieć ogniska, bo rozpalili je w głębokiej rozpadlinie.

— Musieli mieć oczywiście strażników — skomentowałem. — Mieliśmy szczęście.

Zbliżyliśmy się do ogniska i stanęliśmy wokół buzującego płomienia. Prawie już wygasł, ale nie podsycaliśmy go. Czuliśmy się jakoś bezpieczniej przy mniejszym świetle. Po jednej stronie ogniska leżały zwalone na stertę pudła i bele materiału, a po drugiej stos gałęzi przywleczonych do podsycania ognia. Garnki, talerze i sztucce porozsypany woszek dookoła, podobnie jak strzelby i koce.

Coś z głośnym chłupotem przebrnęło strumień i zaczęło przedzierać się przez gęstwinę. Pochyliłem się po strzelbę, ale Bronco uspokoił mnie:

— To tylko Elmer wraca.

Rzuciłem karabin. Sam nie wiem, dlaczego go podniosłem. Nie miałem przecież pojęcia, jak się nim posługiwać. Nadszedł Elmer łamiąc gałęzie.

— Uciekli — powiedziała. — Próbowałem złapać choć jednego, by wysłuchać, co ma do powiedzenia, ale byli zbyt zwinni.

— Byli przerażeni — stwierdził Bronco.

— Czy wszystko w porządku? — zapytał Elmer. — A co z tobą, panienko?

— Wszystko gra. Jeden z nich uderzył Fletchera maczugą i ogłuszył go, ale teraz Fletch wydaje się już w formie.

— Mam guza. W głowie mi trochę szumi, jeśli się nad tym zastanawiam, a poza tym nic mi nie jest.

— Fletch, dlaczego nie podsycicie ognia i nie przyrzadzicie czegoś do jedzenia? — zapytał Elmer. — Chyba jesteście głodni. Musicie się też przespać. Porzuciłem w lesie rzeczy, które niosłem. Zaraz po nie pójde.

— Nie powinniśmy się stąd wynosić?

— Nie wróca — odparł Elmer. — Przynajmniej nie teraz. Także nie w świetle dnia ani poranka. Przyjdą jutro w nocy, ale nas już tu nie będzie.

— Mają jakieś zwierzęta uwiązane wśród drzew — zaznaczył Bronco. — Bez wątpienia juczne zwierzęta. Musieli przecież transportować te bele i paki. Takie zwierzęta mogą się nam przydać.

— Weźmiemy je. ze sobą — zgodził się Elmer. — Niech sobie nasi przyjaciele wędrują na piechotę. I jeszcze jedno. Jestem ciekaw, co jest w tych belach. Na pewno coś, czego nie chcieli nikomu pokazywać.

— A może nie — rzekł Bronco. — Może po prostu palili się do walki. Mogli być zwykłymi nędznikami i bandziorami.

12.

Bronco nie miał racji. Ci ludzie mieli powody, by nie pokazywać zawartości bel i paczek. Pierwsza bela, kiedy ją rozdarliśmy, okazała się zawierać prymitywnie obrabione płyty z metalu. Elmer wziął dwie z nich i uderzył o siebie.

— Stal — powiedział. — Pokryta brązem. Zastanawiam się, skąd to wzięli.

Zanim skończył zdanie, zrozumiał. Ja również. Spojrzał na mnie i zauważył, że wiem albo przypuszczam.

— To metal, z którego robi się trumny — potwierdził moje podejrzenia.

Staliśmy w kręgu przyglądając się zawartości beli. Bronco patrzył ponad naszymi ramionami. Elmer odrzucił kawałki metalu i oznajmił:

— Wracam po narzędzia. Musimy popracować nad Bronco. Powinniśmy odejść stąd wcześniej, niż przypuszczałem.

Zabraliśmy się do roboty używając narzędzi, które Elmer zabrał z narzędziowni w osadzie. Jedną nogę naprawiliśmy bez wysiłku, wyprostowując ją i kując młotem dla przywrócenia dawnego kształtu. Potem zamocowaliśmy ją na miejscu i działała tak, jakby była nowa. Druga noga przysporzyła nam nieco kłopotów.

— Jak myślisz, od dawna to może trwać? — zapytałem, gdy pracowaliśmy. — Mam na myśli okradanie Cmentarza. Z pewnością korporacja musi o tym wiedzieć.

— Może i wiedzą — odparł. — Ale co mają zrobić i właściwie dlaczego mieliby się tym przejmować? Jaka to różnica, że ktoś okradnie kilka grobów? Byle tylko robili to tak, by nie było zbyt widać.

— Korporacja jednak musiała to zauważyć. Przecież utrzymują Cmentarz w nienagannym stanie. Poza tym...

— Miejsca, które przeznaczone są do oglądania — przerwał mi Elmer. — Założę się, że są również takie, o które nie dba się wcale. Miejsca, których odwiedzający nie mają prawa zobaczyć.

— A jeśli ktoś przyleci w celu zobaczenia jakiegoś konkretnego grobu?

— Będą wiedzieli o tym wcześniej. Znają przecież nazwiska pasażerów na Statku Pielgrzymów. Nazwiska oraz pochodzenie. Zawsze mają czas, by doprowadzić do porządku żądany sektor Cmentarza. A może nawet tego nie robią. Wystarczy przecież zamienić kilka płyt nagrobkowych czy innych szczegółów, i kto wtedy pozna, że jest jakaś różnica?

Cynthia pichciła coś przy ognisku. Podniosła się i podeszła do nas.

— Czy mogę tego na chwilę pożyczyć? — zapytała biorąc do ręki łożo.

— Oczywiście, nie będzie już nam potrzebny — odparł Elmer. — Bronco jest prawie jak nowy. Po co ci to potrzebne?

— Pomyślałam, że otworzę jedną ze skrzynek.

— Nie potrzeba. Wiemy już przecież, co przewozili. Będzie tam to samo.

— A jednak — upierała się Cynthia — chciałabym zobaczyć.

Zaczynało się przejaśniać. Słońce podnosiło się na wschodzie i wkrótce miało wypłynąć na niebo. Ptaki, które zaczęły swoje trele, gdy tylko ciemności zaczęły rzednąć, fruwały i podskakiwały na gałęziach drzew. Jedno wielkie niebieskie ptaszysko dreptało w naszym kierunku nerwowo skrzecząc.

— Niebieska sójka — oświadczył Elmer. — Rodzaj dość hałaśliwych stworzeń. Ten to drozd, a tamten kos. Czerwonoskrzydły kos, jak przypuszczam. Zuchwała, mała szelma.

— Fletcher — usłyszałem cichy, ale ostry i spięty głos Cynthia. Przyglądałem się właśnie, jak Elmer prostował i wygładzał jedną z podków Bronco.

— Tak? O co chodzi? — nie obejrzałem się nawet.

— Proszę, chodź tutaj.

Podniosłem się i odwróciłem. Zobaczyłem, że udało jej się podważyć wieko jednej ze skrzyń. Nie patrzyła na mnie. Wpatrywała się w to, co odsłoniło podniesione wieko skrzyni. Znieruchomiała, jak zahipnotyzowana, nie będąc w stanie oderwać oczu od zawartości pudła. Widok stojącej w tak nienaturalnej pozycji zaniepokoił mnie i w trzech susach znalazłem się przy niej.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, była zdobiona butla. Cienka, delikatna, wydawała się zrobiona z nef-

rytu. Nie mogło jednak tak być, ponieważ cała ozdobiała była miniaturowymi postaciami w kolorach czerni, żółci i ciemnej zieleni. Sama butelka była koloru zielonego jabłka. Nikt przy zdrowych zmysłach nie próbowałby malować nefrytu. Obok leżała chińska filiżanka albo też coś, co przypominało chińską filiżankę o niebieskich i czerwonych kolorach. Za filiżanką znajdował się groteskowo przy niej wyglądający kawałek rzeźby z prymitywnie ociosanego kamienia kremowej barwy. Na wpół zakryty wystawał spod niego dziwnie udekorowany dzban.

Elmer podszedł teraz do nas i wyjął łożo z rąk dziewczyny. Dwoma szybkimi ruchami zerwał resztę pokrywy. Pudło całe wypełnione było dzbanami, butlami, porcelaną, płaskorzeźbami, fantazyjnie zdobionymi kawałkami metalu, wysadzanymi kamieniami pasami i bransoletami, naszyjnikami, broszami, symbolicznymi przedmiotami (musiały być symboliczne, bo ich wykorzystanie w jakimkolwiek celu nie miałyby sensu), drewnianymi i metalowymi pudełkami oraz wieloma innymi rzeczami.

Wziąłem do rąk wielościenny kawałek wypolerowanego kamienia z na wpół zatartymi wygrawerowanymi znakami. Obróciłem go w dłoni, uważnie przypatrując się wyżłobionym w każdej ścianie symbolom. Był tak ciężki, jakby zrobiono go z metalu, ale wydawał się mieć strukturę kamienia. Coś sobie przypominałem, byłem prawie pewien, choć nie była to jeszcze całkowita pewność. Bardzo podobny przedmiot, prawie identyczny, widziałem na półce w gabinecie Thorneya. Pewnej nocy, kiedy siedzieliśmy we dwóch u niego i rozmawialiśmy, wziął go do ręki i pokazał, jak go używano. Potoczyłem go niczym kostkę do gry, która decydowała o tym, jakie podejmie się działania. Odgrywał rolę może kamienia

wróźbiarskiego. Bardzo, bardzo stary oraz niezmiernie cenny i ważny ze względu na to, że jako jeden z niezliczonych przedmiotów można go było przypisać konkretnej, najbardziej tajemniczej rasie z odległej, zapomnianej planety. Rasie, która żyła tam i wymarła lub też przemieniła się w drodze ewolucji w coś zupełnie innego na długo przedtem, zanim ludzie odkryli ten świat i osiedlili się na nim.

— Wiesz, co to jest, Fletch? — zapytał Elmer.

— Nie jestem pewien — odparłem. — Thorney miał prawie identyczny kamień. Bardzo stary. Nazwał planetę i ludzi, którzy tam mieszkali, ale nie mogę sobie przypomnieć. Zawsze mówił „planeta” i „ludzie”.

— Jedzenie jest gorące — oznajmiła Cynthia. — Dlaczego nie jecie teraz? Możemy o tym porozmawiać przy posiłku.

Gdy to powiedziała, uświadomiłem sobie, że jestem głodny jak wilk. Nie miałem nic w ustach od południa poprzedniego dnia.

Podeszliśmy do ogniska i rozlała na talerze zupę z bańki, w której ją podgrzewała. Gęstą, z pływającymi w niej warzywami i kawałkami mięsa. W pośpiechu poparzyłem sobie usta już pierwszą łyżką.

Elmer usiadł koło nas i zaczął dziubać podniesioną z ziemi gałęzią w ognisku.

— Wydaje mi się, że mamy do czynienia z tymi kradzionymi przedmiotami, o których mówił profesor Thorndyke. Rzeczy z wykopalisk archeologicznych grabione przez poszukiwaczy skarbów, którzy sprzedają je z ogromnym zyskiem kolekcjonerom i tym samym uniemożliwiają dalsze studiowanie ich przez naukowców.

— Myślę, że masz rację — przytaknąłem. — I, jak sądzę, wiem teraz, gdzie przynajmniej część z nich jest ukrywana.

— Na Cmentarzu — odpowiedziała Cynthia.

— Nic prostszego — zgodziłem się. — Trumna to wspaniały schowek. Nikomu nie przyszłoby do głowy wygrzebywanie ich z ziemi, to znaczy nikomu oprócz bandy dzikich poszukiwaczy metalu, którzy doszli do wniosku, że mogą w ten sposób zdobywać metal bardzo małym kosztem.

— Na początku pewnie chodziło im o same trumny — zasugerowała Cynthia. — Aż pewnego razu natrafili na taką, w której nie było ciała, ale skarb. Być może, grobowce zawierające skarb są jakoś oznaczone. Prawdopodobnie za pomocą jakiegoś drobnego szczegółu, którego nikt by nie zauważył, gdyby nie wiedział, gdzie szukać.

— Nie mogli na to od razu wpaść — oświadczył Elmer. — Zanim odkryli ten szczegół, musiało upłynąć sporo czasu.

— Bo pewnie mieli sporo czasu — skomentowała Cynthia. — Te nasze oprychy mogły siedzieć w tym interesie od setek lat.

— Wcale nie musiało być żadnego znaku rozpoznawczego.

— Jak to? Musiał być. Skąd inaczej wiedzieliby, gdzie kopać?

— A jeżeli ktoś z korporacji współdziała z nimi? Ktoś, kto dobrze wie, gdzie kopać?

— Oboje o czymś zapominacie — wtrącił Elmer. — Nasi napastnicy wcale nie musieli być zainteresowani przedmiotami, które wieźli...

— Jednak wzięli je ze sobą.

— Oczywiście. Mogli uznać je za interesujące albo zabawne. Mogły mieć nawet jakąś wartość handlową. Mimo to wydaje mi się, że głównie zależy im na metalu. Po tych wszystkich latach metal musi być

bardzo trudny do zdobycia. Na początku można było go pewnie znaleźć w zrujnowanych miastach, ale po upływie jakiegoś czasu musiał skorodować i trzeba było rozpocząć poszukiwania pod ziemią. Na Cmentarzu jest jednak świeższy metal, prawdopodobnie o wiele lepszy. Przedmioty, znajdujące się w niektórych grobach, mają dla nas dużą wartość, bo profesor Thorndyke poinformował nas o ich znaczeniu. Wątpię jednak, żeby miały jakieś znaczenie dla tych rabusiów. Zabawki dla dzieci, błyskotki dla kobiet, no, może trochę na handel, ale na pewno głównie zależy im na metalu.

— To wyjaśnia jedną sprawę — dodałem. — Rzuca światło na to, dlaczego korporacja chce utrzymać kontrolę nad wizytującymi Ziemię. Chcą mieć pewność, że w żadnym wypadku nikt nie dowie się o tych zabytkowych przedmiotach.

— To nie jest legalne — zaprotestowała Cynthia.

— Nie, oczywiście, że nie. Archeolodzy od wielu lat usiłują przeforsować zakaz handlu tymi przedmiotami, ale na razie niczego nie wskórali.

— Śliska sprawa — stwierdził Elmer. — Postępują niemoralnie. Gdyby się to wydało, na pewno nieskazitelna reputacja Cmentarza mocno by ucierpiała.

— Mimo to nas nie zatrzymali — rzekła Cynthia.

— Nie mogli wiele zrobić. Nie mieli wtedy możliwości powstrzymania nas — wyjaśniłem.

— Spróbowali jednak czegoś później — dodał Elmer. — Chcieli zniszczyć Bronco.

— Gdyby im się to udało... — zastanawiała się Cynthia. — Pewnie mieli nadzieję, że stracisz ochotę do dalszej wędrówki.

— Sądzę, że masz rację — zgodziłem się. — Chociaż nie możemy być całkowicie pewni co do tej bomby.

— Myślę, że wystarczająco pewni — stanowczo zaznaczył Elmer.

— Jest jednak jedna rzecz w tym wszystkim, która mi się nie podoba — oznajmiłem. — Wcale się nie starając, zrobiliśmy sobie wrogów z każdego, kogo spotkaliśmy. Z Cmentarza, teraz z tej bandy rzezimieszków, a myślę, że i ludzie w osadzie nie wspominają nas zbyt dobrze. Przez nas stracili parę kopców zboża i stodołę, a na pewno wielu zostało rannych lub...

— Sami są sobie winni — przerwał Elmer.

— To jednak nie skłoni ich do sympatii dla nas.

— Też tak uważam — zgodził się.

— Proponuję więc, byśmy się stąd jak najszybciej wynieśli — zasugerowałem.

— Ty i Cynthia potrzebujecie snu.

Spojrzałem na nią ponad ogniskiem i oświadczyłem:

— Wytrzymamy jeszcze kilka godzin.

Skinęła głową potwierdzająco.

— Weźmiemy ze sobą konie — rzekł Elmer. — To ich trochę wstrzyma. Załadujemy ich bagaże...

— Po co sobie tym zawracać głowę — przerwałem. — Zostawmy to tu. I tak na nic nie przydadzą się nam te rzeczy. Co możemy z nimi zrobić?

— Ach, oczywiście — przyznał Elmer. — Nie wiem, dlaczego o tym nie pomyślałem. Kiedy tu wrócą, będą musieli rozdzielić swoje siły i zostawić część ludzi, by strzegli pakunków.

— Podażą za nami — włączyła się Cynthia. — Będą chcieli odzyskać konie.

— Jasne, że tak — potwierdził Elmer. — Ale kiedy w końcu odnajdą wierzchowce, o ile w ogóle je odnajdą, my będziemy już wiele mil stąd i poza ich zasięgiem.

Po raz pierwszy odezwał się Bronco:

— A was dwoje? Nie możecie podróżować bez snu. Nie przez wiele godzin.

— Coś wymyślimy — uspokoił go Elmer. — Ruszajmy.

— A co z Władcą Duchów i jego kompanią? — zapytała Cynthia, jak sądzę nie bez powodu.

— Nie zwracajmy sobie głowy duchami.

Już kiedyś zadała mi to pytanie. To było takie kobiece. Wystarczy, że znajdą się w jakiś kłopotach, od razu zaczynają zadawać niemądre pytania.

13.

Obudziłem się w nocy, ale od razu przypomniałem sobie, co się wydarzyło i gdzie byliśmy. Usiadłem i obok siebie zauważyłem ciemny zarys śpiącej jeszcze Cynthii. Jeszcze tylko kilka godzin, pomyślałem, a Elmer i Bronco wrócą i będziemy mogli wyruszyć. Uświadomiłem sobie, że zachowaliśmy się cholernie nierozsądnie. Mogliśmy iść z nimi. Byłem wprawdzie śpiący, a konno jechałbym po raz pierwszy w życiu, ale na pewno bym sobie poradził. Cynthia była wyczerpana, ale mogliśmy przywiązać ją do grzbietu Bronco, by nie spadła w przypadku zaśnięcia. Elmer nalegał jednak na nasz odpoczynek, wtedy gdy on z Bronco ukryją konie daleko w górach.

— Nic nie może się wam stać — mówił. — Jaskinia

jest wygodna i dobrze ukryta. Wrócimy, zanim się obudzicie, nie masz się czego obawiać.

Teraz sam siebie obwinałem. Nie powinienem był pozwolić, by nas do tego namówił. Nie podobało mi się to. Powinniśmy byli zostać razem. Niezależnie od okoliczności, nie trzeba było się rozdzielać.

Coś poruszyło się u wejścia do jaskini i usłyszałem czyjś miękki głos:

— Nie krzycz, przyjacielu, nie musisz się mnie bać.

Skoczyłem na równe nogi czując, jak jeża mi się włosy na głowie.

— Kim jesteś, do diabła?! — wrzasnąłem.

— Cicho, cicho, cicho — powiedział szeptem głos. — Niedaleko są ci, którzy nie powinni nas usłyszeć.

Cynthia obudziła się i zaczęła krzyczeć.

— Zamknij się! — zawołałem.

— Musicie zachowywać się cicho — rzekł głos z ciemności. — Nie rozpoznajecie mnie, ale widziałem was na tańcach.

Cynthia nabrała powietrza do następnego wrzasku, ale zakrztusiła się i stwierdziła w miarę spokojnie:

— To Władca Duchów. Czego on może od nas chcieć?

— Przyszedłem, by uprzedzić o grożącym wam wielkim niebezpieczeństwie.

— A więc mów — powiedziałem już ciszej. Ten jego szept i prośba o nie wydawanie okrzyków wreszcie do mnie dotarły.

— Wilki — odparł. — Wysłano waszym śladem metalowe wilki.

— Co możemy na to poradzić?

— Musicie zachowywać się bardzo cicho i mieć nadzieję, że was nie zauważą i pobiegną dalej.

— Gdzie twoi towarzysze? — zapytałem.

— Są gdzieś tutaj. Ukrywają się, kiedy po raz pierwszy

kogoś widzą. Wyjdą, jeśli im się spodobacie. Są trochę wstydlivi.

— Tańcząc zeszłej nocy nie widziałem, by byli zawstydzeni.

— Bawili się między starymi przyjaciółmi. Odwiedzali już wcześniej to miejsce.

— Mówiłeś coś o wilkach — przypomniałem mu. — Metalowe wilki, jeśli dobrze usłyszałem.

— Jeśli podejdziesz jak najciszej do wyjścia z jaskini, myślę, że je dojrzysz. Ale proszę, bardzo cicho.

Cynthia stała tuż obok mnie. Wyciągnąłem do niej rękę, której uczepliła się z całych sił.

— Metalowe wilki — wyszeptła z przestraczem.

— Prędkiej roboty — nie wiem, dlaczego byłem taki spokojny. Przypuszczam, że przez głupotę. W ciągu ostatnich dwóch dni tyle nieprzyjemnych rzeczy się nam przytrafiło, że metalowe wilki nie wydawały mi się niczym nadzwyczajnym.

Na zewnątrz światło księżyca oświetlało okolicę. Drzewa widać było tak wyraźnie, jakby to był dzień. Przeświecały między nimi trawiaste polanki upstrzone sporymi krzakami. Ten dziki i surowy krajobraz spowodował, że przeszły mi po plecach ciarki.

Kucnęliśmy tuż przy wejściu. Jednak oprócz drzew, polan, kamieni i groźnie wyglądających ciemnych wzgórz w oddali nie widzieliśmy niczego innego.

— Nie... — zaczęła Cynthia, ale Władca Duchów syknął na nią i więcej się nie odzywała.

Siedzieliśmy tak w kucki trzymając się za ręce i wydawało mi się to idiotyczne. Nic się nie poruszało. Nawet liście, bo nie było wiatru.

Nagle dostrzegłem jakiś ruch w cieniu pod drzewem, a chwilę później wyłoniło się stamtąd jakieś stworzenie. Połyskiwało w blasku księżyca i niosła się od niego aura

siły, okrucieństwa i zażartości. Stwór był chyba wielkości cielaka, ale nie przysiągłbym na to. Trudno ocenić czyjeś rozmiary w świetle księżyca i na odległość. Poruszał się szybko i gładko z pewną nerwowością. Nawet z daleka wyczuwało się drżącą w nim siłę. Krążył to tu, to tam, jakby szukał tropu, a potem spojrzał prosto na nas. Spojrzał i zdawał się wyprężyć, jakby ktoś trzymał go na smyczy, a on usiłował się wyrwać. Po chwili na nowo rozpoczął węszenie. Nagle zamiast jednej bestii pojawiły się trzy, przemykały się w świetle księżyca. Jedna z nich otworzyła w biegu paszczę czy też coś, co byłoby paszczą, gdyby było to żywe stworzenie, ukazując rzędy równych metalowych zębów. Gdy ją zamknęła, dobiegł naszych uszu szczeł dość głośny nawet z takiej odległości.

Cynthia przytuliła się do mnie mocno, a ja puściłem jej rękę i objąłem ramieniem. Trzymałem ją blisko siebie, ale nie myślałem o niej jak o kobiecie. Raczej jak o kruchej ludzkiej istocie, którą łatwo mogą rozszarpać metalowe kły.

Obejmując się nawzajem, obserwowaliśmy, jak wilki biegły szukając naszych śladów. Miałem wrażenie, że się ślinią. Nie wiem, dlaczego przyszło mi do głowy, że wiedzą o naszej obecności.

Nagle zniknęły. Tak samo szybko jak się pojawiły, odeszły i nawet nie zauważyliśmy w jakim kierunku. Nadal siedzieliśmy, obawiając się poruszyć czy odezwać. Jak długo to trwało, nie wiem.

Poczułem dotknięcie palców na plecach.

— Odeszły — powiedział Władca Duchów. Zupełnie o nim zapomniałem.

— Były zdezorientowane — wyjaśnił. — Na pewno konie kręciły się w kółko, kiedy chowaliście się do jaskini. Odszukanie śladów zajęło im trochę czasu.

Cynthia usiłowała coś powiedzieć, ale zakrztusiła się i słowa zamarły jej w gardle. Wiedziałem, jak się czuje, moje usta były tak wyschnięte, że sam zastanawiałem się, czy będę mógł mówić.

Spróbowałem jeszcze raz i tym razem się udało.

— Myślałem, że nas szukają. Miałem wrażenie, iż wiedzą, że jesteśmy gdzie blisko.

— Niebezpieczeństwo minęło — oświadczył Władca Duchów. — Wróćmy w głąb jaskini i usiądźmy wygodnie.

Podniosłem się ciągnąc Cynthię za sobą. Mięśnie miałem napięte i obolałe od długiego przebywania w tak niewygodnej pozycji. Po blasku księżyca jaskinia wydawała się czarna jak smoła. Ruszyłem macając ręką ścianę. Odszukałem stos naszych bagaży i usiadłem opierając się o nie. Cynthia usiadła obok mnie. Władca Duchów przykucnął przed nami. Nie mogliśmy go dokładnie widzieć ze względu na obszerny habit, jaki nosił. Widać było tylko białą plamę twarzy bez żadnych szczegółów.

— Myślę — odezwałem się — że powinniśmy ci podziękować.

Wzruszył ramionami:

— Nieczęsto spotyka się sprzymierzeńców — powiedział. — Ale jeśli już tak się staje, trzeba uczynić wszystko, co jest w mocy, żeby im pomóc.

W jaskini poruszały się migocące cienie. Albo dopiero przybyły, albo po prostu dotąd ich nie zobaczyłem. Teraz były wszędzie.

— Przywołałeś swoich towarzyszy? — zapytała Cynthia, a z napięcia wyczuwalnego w jej głosie wiedziałem, że spokój musi wiele ją kosztować.

— Byli tutaj cały czas — odparł. — Pokazanie się zajmuje im trochę czasu. Robią to z łatwością, ale powoli. Nie chcą nikogo przestraszyć.

— To trudne — powiedziała Cynthia. — Nie być wystraszonym przez duchy. A może nazywasz ich inaczej?

— Lepszym określeniem byłoby słowo „cienie”.

— Dlaczego cienie? — zapytałem.

— Powodem jest dość skomplikowana semantyka i wyjaśnienia zajęłyby cały wieczór. Sam zresztą tego dokładnie nie rozumiem. W każdym razie one preferują tę nazwę.

— A ty? — zapytałem. — Kim właściwie jesteś?

— Nie rozumiem.

— Posłuchaj. My jesteśmy ludźmi, tamte istoty to cienie. Stwory, które obserwowaliśmy, były robotami — metalowymi wilkami. To sprawa klasyfikacji. Jak mamy ciebie zaklasyfikować?

— Ach, o to chodzi. To naprawdę proste. Jestem Władcą Duchów.

— A wilki? — odezwała się Cynthia. — Sądzę, że należą do Cmentarza.

— O tak, oczywiście. Chociaż teraz rzadko się ich używa. Kiedyś miały więcej do roboty.

Byłem zdumiony.

— O jakim rodzaju pracy mówisz?

— Potwory — odparł jednym słowem i wiedziałem, że nie ma ochoty o tym mówić.

Cienie przestały się poruszać i usadowiły się tak, że można było je zobaczyć albo też domyślić ich kształtu.

— Lubią was — powiedział. — Wiedzą, że jesteście po ich stronie.

— Nie jesteśmy po niczyjej stronie — zaprzeczyłem. — Po prostu uciekaliśmy jak wszyscy diabli, żeby nie dostać po głowie. Od momentu jak tu wylądowaliśmy, ciągle ktoś na nas poluje.

Jeden z cieni przycupnął koło Władcy Duchów i stał

się trochę bardziej wyraźny. Nadal można było przez niego patrzeć, ale zarysy były ostrzejsze. Wyglądał trochę jak artystyczny rysunek zrobiony kredą na czarnej tablicy.

— Jeśli pozwolicie — odezwał się rysunek — przedstawię się. Moje imię wzbudzało kiedyś grozę na planecie Preria. Dziwna to nazwa jak na planetę, ale łatwo to wytłumaczyć, ponieważ jest to wielka planeta, większa od Ziemi, z przewagą łąd nad morzem. Nie ma tam żadnych gór i wszystkie kontynenty są prerią. Nie ma zim, wiatry wieją swobodnie, a światło słoneczne równomiernie ogrzewa całą planetę. Koloniści na Prerii żyją w klimacie wiecznego lata. Byliśmy oczywiście potomkami ludzi z Ziemi. Nasi przodkowie w czasie trzeciej migracji w Galaktykę badali planetę za planetą w poszukiwaniu odpowiednich warunków egzystencji. Na Prerii właśnie takie znaleźli, ale może nie w takim sensie, jak myślisz. Nie budowaliśmy wielkich miast z przyczyn, które wyjawię później, ponieważ zajęłoby to zbyt wiele czasu. Staliśmy się czymś w rodzaju wędrujących nomadów. Poruszaliśmy się z miejsca na miejsce za swoimi stadami bydła i wydaje mi się, że jest to najbardziej fascynujący tryb życia, jaki ludzie byli w stanie wymyślić. Żyła na tej planecie rasa przebiegłych, okrutnych i zdrazieckich diabłów, która w żaden sposób nie chciała z nami współpracować i robiła wszystko, co było w ich mocy i to nie przebierając w środkach, by nas stamtąd wykurzyć. Zdaje mi się, że zamierzałem przedstawić się, ale w ferworze opowiadania zapomniałem powiedzieć swoje nazwisko. To bardzo dobre, ziemskie nazwisko, bo moja rodzina i mój klan zawsze starannie dochowywały wiary ziemskim tradycjom i...

— Jego nazwisko brzmi — przerwał mu Władca Duchów — Ramsay O’Gillicuddy. I jest to na pewno

bardzo dobre, ziemskie nazwisko. Przyznaję to z całą świadomością. Powiedziałem to ja, bo jeśli pozostawiłbym sprawę jemu, nigdy by go z siebie nie wykrztusił.

— A teraz — rzekł cień Ramsaya O'Gillicuddy'ego — ponieważ zostałem przedstawiony, opowiem wam historię mojego życia.

— Nie, nie opowiesz — ponownie przerwał mu Władca Duchów. — Nie mamy na to czasu. Musimy przedyskutować wiele spraw.

• — Wobec tego historię mojej śmierci.

— Dobrze — zgodził się Władca Duchów. — Jeśli tylko będziesz się streszczał.

— Złapali mnie — rozpoczął cień Ramsaya O'Gillicuddy'ego — i wzięli do niewoli. Ci oślizgli, ślimakowaci tubylecy. Nie będę wdawał się w szczegóły, które doprowadziły mnie do tak haniebnej sytuacji, bo to wymagałoby wyjaśnienia pewnych okoliczności, a Władca Duchów mówi, że nie mamy na to czasu. A więc złapali mnie i przeprowadzili nad moją osobą długą dyskusję, której wcale nie słuchałem z przyjemnością, jako że dotyczyła metody zlikwidowania mnie. Żadna z propozycji co do zakończenia życia nie mogła być miła dla przysłuchującego się więźnia. Rozumiecie już, że nie chodziło im o coś radykalnie szybkiego, jak na przykład strzał w głowę czy poderżnięcie gardła. Mieli na myśli dość długie, wymyślne i starannie opracowane operacje. Wreszcie po kilku godzinach debatowania, podczas których uprzejmie pytali mnie o zdanie, zdecydowali, że obedną mnie żywcem ze skóry. Wyjaśnili przy tym, że w zasadzie nie zabiją mnie tym i żebym nie żywił do nich urazy, bo jeżeli uda mi się przeżyć bez skóry, to pozwolą mi odejść. Poinformowali mnie również, że zamierzają zrobić z mojej skóry bęben, na którym będą wybijać sygnały oznajmiające mój los mojemu klanowi.

— Z całym szacunkiem — wtrąciłem. — Jest wśród nas kobieta...

Wcale nie zwrócił na mnie uwagi.

— Kiedy byłem już martwy — kontynuował — i znaleziono moje ciało, klan zdecydował uczynić coś, czego nigdy przedtem nie robiono. Dotychczas wszyscy nasi zmarli chowani byli na Prerii w nieoznaczonych grobach. Robiliśmy to w przekonaniu, że człowiek nie powinien żądać więcej niż zjednoczenia się z ziemią, po której wędrował. Doszły do nas kilka lat wcześniej słuchy o Cmentarzu, ale nie zwracaliśmy na nie uwagi, bo nie było to w naszym stylu. Teraz jednak klan zwołał zebranie, na którym uradzono, że zasłużyłem na honor spoczywania w glebie Matki Ziemi. Zrobiono więc dużą beczkę, która mieściła moje żałosne szczątki. Zakonserwowano mnie w alkoholu i wysłano do jedyne go na planecie małego i biednego portu kosmicznego, gdzie beczkę składowano przez wiele miesięcy w oczekiwaniu na przybycie statku, który przywiózłby mnie do najbliższego portu regularnego przybywania statków pogrzebowych.

— Spróbujcie zrozumieć — powiedział Władca Duchów — ile musiała kosztować jego klan taka decyzja. Na Prerii mieszkają biedni ludzie, a jedyny ich majątek stanowią stada bydła. Wiele lat upłynęło, zanim wyrównały się ubytki w stadach po oddaniu takiej ilości zwierząt, jakiej zażądał Cmentarz za swoje usługi. Było to duże poświęcenie i szkoda, że przyniosło takie efekty... Jak się pewnie domyślacie, Ramsey był i jest jedynym obywatelem Prerii pochowanym na Cmentarzu, a w zasadzie to nawet nie pochowanym, przynajmniej nie w taki sposób, jak zamierzano. Zarządcy Cmentarza, nie ci obecni, ale z przed wielu lat, potrzebowali wtedy dodatkowej trumny do ukrycia pewnych przedmiotów...

— Masz na myśli zabytki — przerwałem mu.

— Wiecie o tym? — zdziwił się.

— Podejrzewaliśmy.

— Wasze podejrzenia były słuszne, a nasz biedny obecny tu przyjaciel padł ofiarą zdrady i chciwości. Jego trumny użyto do ukrycia dzieł sztuki, a to, co pozostało z Ramsaya, wrzucono do dużej rozpadliny na skraju Cmentarza, naturalnej kostnicy. Od tego czasu jego cień błąka się po Ziemi, tak jak i wiele innych z tej samej przyczyny.

— Opowiesz to bardzo dobrze — wtrącił O'Gillicuddy — i w prosty sposób.

— Ale bardzo proszę, skończmy już z tymi szczegółami. Przekonałście nas całkowicie.

— Nie mamy czasu na więcej. Musimy teraz rozważyć, jak macie postępować w przyszłości. Po pierwsze, kiedy tylko wilki dopadną dwóch waszych przyjaciół, od razu zorientują się, że was z nimi nie ma, a ponieważ Cmentarza w ogóle nie obchodzą te dwa roboty, tylko wy...

— Zawrócą do nas — dokończyła Cynthia wystraszonym głosem. Ja również nie czułem się pewnie. Nie podobała mi się wizja tych metalowych stworów depczących nam po piętach.

— W jaki sposób one tropią? — zapytałem.

— Mają pewien rodzaj węchu. Nie dokładnie taki jak ludzie, ale są w stanie rozpoznawać zapachy. Mają również doskonały wzrok. Mogą mieć trochę kłopotów, jeśli będziecie trzymać się górzystego i kamienistego terenu, gdzie zapachy nie trzymają się długo. Obawiałem się, że podejmą trop blisko waszej kryjówki, ale na szczęście byliście wyżej od nich, a sprzyjający prąd powietrza musiał unieść wasz zapach w innym kierunku.

— Podążą za koźmi — powiedziałem. — Trop będzie wyraźny, a więc poruszać się będą szybko. Być może,

już za parę godzin zorientują się, że nie jesteśmy z robotami.

— Będziecie mieli mało czasu. Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin, a nie możecie wyruszyć, zanim się rozjaśni. Trzeba będzie poruszać się szybko, więc nie możecie wziąć ze sobą wielu rzeczy.

— Zabierzemy żywność i koce — zaproponowała Cynthia.

— Nie za dużo żywności. Tylko tyle, ile musicie. Znajdziecie pożywienie po drodze. Macie przecież haczyki na ryby, prawda?

— Tak, mamy kilka. Kupiłam pudełko haczyków przed odlotem. Nie możemy jednak żywić się tylko rybami.

— Są jeszcze korzonki i owoce.

— Nie wiemy, które są jadalne.

— Nie musicie wiedzieć, ja znam je wszystkie.

— Pójdiesz z nami?

— Pójdziemy z wami.

— Oczywiście, że tak — potwierdził O'Gillicuddy. — Niewiele wprawdzie możemy zrobić, ale na pewno na coś się przydamy. Możemy na przykład obserwować, czy jesteście ścigani...

— Ale duchy... — zacząłem.

— Cienie — poprawił mnie O'Gillicuddy. — Jesteśmy niewidoczni w świetle dnia. Również i w nocy, jeśli takie jest nasze życzenie.

Reszta duchów pomrukiem zaaprobowała jego deklarację.

— Przyszykujemy bagaże — powiedziała Cynthia. — Resztę zostawimy tutaj. Elmer i Bronco będą nas tu szukali. Zostawimy im wiadomość. Przypniemy kartkę do jednej z paczek tak, żeby na pewno ją zobaczyli.

— Musimy określić, w jakim kierunku ruszamy. Czy ktoś ma jakiś pomysł co do naszej trasy? — zapytałem.

- W góry — odpowiedział Władca Duchów.
- Znasz może rzekę — zagadnęła Cynthia — którą nazywają Ohio?
- Znam bardzo dobrze. Chcecie udać się nad Ohio?
- Słuchajcie — wtrąciłem się — nie możemy przecież uganiać się za...
- Dlaczego nie — zaprotestowała Cynthia. — Jeśli mamy wyruszyć w jakimś kierunku, to dlaczego nie tam, dokąd chcemy?
- Myślałem, że uzgodniliśmy...
- Wiem — ponownie mi przerwała. — Po pierwsze, twoja kompozycja, dałeś to do zrozumienia bardzo wyraźnie. Możesz jednak tworzyć ją wszędzie, prawda?
- Z pewnością, w miarę możliwości.
- A więc ruszamy w stronę Ohio. Jeśli się zgadzasz — zwróciła się do Władcy Duchów.
- Co do mnie, zgoda — wyraził aprobatę. — Żeby dotrzeć do rzeki, musimy przekroczyć góry. Mam nadzieję, że gdzieś w górach uda nam się zgubić wilki. Chciałbym jednak zapytać...
- To długa historia — uciąłem. — Opowiemy ci później.
- Czy słyszałeś kiedyś o nieśmiertelnym — zapytała Cynthia — wiodącym żywot pustelnika?
- Nigdy nie rezygnowała z szansy potwierdzenia tego, co kiedyś usłyszała.
- Myślę, że tak — odparł. — Bardzo dawno temu. Przypuszczam, że to mit. Ziemia miała tak wiele mitów.
- Ale teraz już nie ma — dokończyłem.
- Potrząsnął ze smutkiem głową.
- Już nie. Wszystkie ziemskie legendy umarły.

14.

Niebo zachmurzyło się, a z północy zaczął wiać przenikliwy i chłodny wiatr. Niezależnie od zimna, w powietrzu unosił się dziwny, wilgotny zapach. Drzewa rosnące na zboczu trzeszczały i jęczały.

Stanął mi zegarek, ale nie miało to większego znaczenia. I tak od momentu opuszczenia Aldenu był w zasadzie bezużyteczny. Na pokładzie statku pogrzebowego obowiązywał czas galaktyczny, a długość doby na Ziemi także nie była taka sama jak na Aldenie. Można było się nim wprawdzie posługiwać prowadząc drobne kalkulacje matematyczne, ale kiedy podczas pobytu w osadzie próbowałem dowiedzieć się o czas, wydawało się, że nikt tego nie wie i wcale się tym nie przejmuje. Był tam tylko jeden zegar, raczej prymitywny, zrobiony domowym

sposobem, głównie z drewna, który zwykle stał, bo nikt nie pamiętał o nakręcaniu go. Określałem więc czas według słońca, ale przegapiłem moment, kiedy było dokładnie nad naszymi głowami, i zmuszony byłem do przybliżonego określenia momentu, w którym zaczęło opuszczać się w kierunku zachodnim. Teraz zegarek zatrzymał się i nie mogłem go uruchomić. Nie wiem, dlaczego się tym przejmowałem, równie dobrze obywałem się bez niego.

Władca Duchów szedł z przodu, Cynthia za nim, a ja zamykałem pochód. Od świtu przeszliśmy już spory szmat drogi, ale ile czasu wędrowaliśmy — nie miałem pojęcia. Słońce zasnuwane było chmurami, zegarek stał i nie miałem możliwości stwierdzenia jaka to pora dnia.

Po duchach nie było ani śladu, choć miałem niejasne uczucie, że nie znajdują się daleko. Władca Duchów niepokoił mnie tak samo jak niewidzialne duchy, bo w świetle dnia jego widok był bardzo zastanawiający. Stojąc z nim twarzą w twarz nie można było określić go mianem człowieka, chyba że człowiekiem nazwalibyśmy szmacianą lalkę. Bo była to twarz szmacianej lalki z przyklejonymi, lekko rozchylonymi ustami i oczami sprawiającymi wrażenie przyszytych szklanych guzików. Po nosie i brodzie nie było śladu. Twarz przechodziła prosto w szyję, a kaptur i habit, które wzięłem za jego ubranie, po bliższym przyjrzeniu okazały się częścią jego groteskowego ciała. Gdyby nie było to zupełnie nieprawdopodobne, każdy byłby przekonany, że są nieodłączną częścią organizmu. Nie wiedziałem, czy posiadał stopy, ponieważ habit (czy też ciało) sięgał do samej ziemi i nie można było nic pod nim dojrzeć. Poruszał się tak, jakby je miał, ale nie było ich widać, co bynajmniej nie przeszkadzało mu maszerować kołysząc się przed nami. Dobrze, że w ogóle dotrzymanyliśmy mu kroku.

Nie odezwał się ani razu od chwili, w której wyruszyliśmy. Po prostu prowadził, a my również nie rozmawialiśmy, ponieważ tempo marszu nie pozwalało na złapanie oddechu na rozmowę.

Okolica była dzika i na pierwszy rzut oka nie zamieszкана. Posuwaliśmy się krawędziami szczytów całymi milami, czasami tylko schodząc w dół, by przeciąć jakąś dolinę. Potem znowu wspinaliśmy się, by podążać wzdłuż linii szczytów. Z góry mogliśmy obserwować duże połacie terenu, ale okolica była pusta. Żadnych śladów ruin, rozsypujących się kominów, wykopanych rowów czy ogrodzeń. W dolinach gęsto rosły wielkie drzewa, które nieco przerzedzały się na wzgórzach. Był to skalisty teren, dookoła leżały rozrzucone wielkie głazy i odłamki skał, które musiały stoczyć się z góry. Nie widzieliśmy bujnego życia. Kilka ptaków świergotało między gałęziami drzew, a od czasu do czasu dostrzegaliśmy stworzenia, które rozpoznałem jako króliki i wiewiórki. Nie były jednak częstym widokiem.

Zatrzymywaliśmy się na krótko, by napić się wody ze strumieni płynących w dolinach. Postoje te trwały tylko tyle, ile trzeba, aby położyć się na brzuchu i zaczerpnąć kilka łyków. W tym czasie Władca Duchów (wydawał się nie potrzebować wody) czekał niecierpliwie, a po chwili śpieszyliśmy dalej.

Teraz, po raz pierwszy od ruszenia w drogę, zatrzymaliśmy się. Grań, która wędrowaliśmy, wznosiła się wysoko, by potem zamienić się w zbocze spadające w dół. W najwyższym punkcie leżało rumowisko skał wielkości stodoły, zgrupowanych razem w dość przypadkowy sposób. Wyglądało to, jakby jakiś starożytny olbrzym bawił się garścią tych głazów, tak jak to robią mali chłopcy z kamykami, by potem znudzony się nimi, porzucił je w tym miejscu i już tu pozostały. Rosły

miedzy nimi okaleczone sosny, desperacko poszukujące oparcia w podłożu powykrzywianymi korzeniami.

Władca Duchów, który szedł kilka kroków przed nami, zniknął w rumowisku. Podążyliśmy za nim i znaleźliśmy go w zacisznej niszy otoczonej wielkimi kamieniami. Było to miejsce osłonięte od przenikliwego wiatru, ale otwarte w kierunku, skąd nadeszliśmy, a więc mogliśmy patrzeć na trasę, którą wędrowaliśmy.

Kiwnął ręką, byśmy się do niego przyłączyli.

— Odpocniemy tu trochę — powiedział. — Jeśli chcielibyście coś zjeść, to bez ognia. Może rozpalimy ognisko dziś w nocy. Zobaczymy.

Nie chciało mi się jeść. Miałem ochotę po prostu usiąść i nigdy więcej nie wstać.

— Czy nie powinniśmy iść dalej? — odezwała się Cynthia. — Mogą następować nam na pięty.

Nie wyglądała jednak tak, jakby miała ochotę na dalszą wędrówkę. Widziałem wyraźnie wyczerpanie na jej twarzy.

Małe usta w szmacianej masce się poruszyły.

— Nie wrócili jeszcze do jaskini.

— Skąd wiesz? — zapytałem.

— Cienie — odparł — dałyby mi znać. A nie słyszałem od nich ani słowa.

— Może nas opuściły — zasugerowałem.

— Nie zrobiłyby tego — potrząsnął głową. — Dokąd miałyby pójść?

— Nie wiem — odparłem. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, gdzie mogły chadzać duchy.

Cynthia osunęła się po wielkim, górującym nad nią głazie i oparła o niego plecami.

— W takim razie możemy odpocząć — stwierdziła.

Zanim usiadła, zsunęła z ramion swoją paczkę. Teraz, ją otworzyła i zaczęła grzebać we wnętrzu. Wyciągnęła

coś i podała mi. Były to trzy czy cztery kawałki twardej, chropowatej substancji czerwono-czarnego koloru.

— Co to za złom? — zapytałem.

— Ten złom — zaśmiała się zmęczona — jest pożywieniem. To suszone mięso. Odgrzyż kawałek i żuj. To odświeża.

Oferowała też kilka kawałków Władcy Duchów, ale ten odsunął jej rękę.

— Odżywiam się bardzo rzadko — oświadczył.

Zdjąłem swój plecak i usiadłem koło Cynthii. Odłamałem kawałek mięsa i włożyłem w usta. Smakował jak ścierka, był tylko bardziej twardy i może nieco mniej apetyczny.

Siedziałem tak żując mechanicznie i obserwowałem drogę, którą nadeszliśmy. Myślałem o tym, jak bardzo Ziemia różniła się od łagodnego świata Aldenu. Nie sądzę, żebym w tym momencie naprawdę żałował opuszczenia Aldenu, ale byłem bardzo tego bliski. Przypomniałem sobie, jak czytałem o Ziemi, jak marzyłem o niej i tęskniłem, no i w końcu tutaj dotarłem. Nie jestem mieszkańcem lasu i jakkolwiek potrafię dostrzec piękno lesistego krajobrazu, nie byłem przygotowany ani psychicznie, ani fizycznie na prymitywny świat, jakim okazała się Ziemia. Ponadto perspektywa doścignięcia naszej grupki przez mechanicznych wywiadowców nie sprzyjała spokojnemu kontemplowaniu widoków.

Cynthia również żuła z zacięciem, ale przerwała na chwilę, by zadać pytanie:

— Czy zmierzamy w kierunku Ohio?

— O tak, oczywiście — odrzekł Władca Duchów. — Dzieli nas jednak od rzeki jeszcze spory kawałek drogi.

— A co z nieśmiertelnym pustelnikiem?

— Nic o nim nie wiem. Znam tylko kilka opowieści. A jest ich bardzo wiele.

— Opowieści o potworach? — zapytałem.
— Nie rozumiem.
— Powiedziałaś wcześniej, że były tu kiedyś potwory i że wilków używano przeciwko nim. Cały czas się nad tym zastanawiałem.
— To było bardzo dawno.
— Ale były tu kiedyś?
— Tak, kiedyś.
— Genetyczne potwory?
— Słowo, którego użyłaś...
— Posłuchaj — zacząłem wyjaśniać — dziesięć tysięcy lat temu ta planeta była radioaktywnym piekłem. Wiele form życia wymarło. Inni, ci, którzy przeżyli, przeszli genetyczne zmiany.
— Nie wiem — odparł niechętnie.
Akurat, nie wiesz, pomyślałem sobie w duchu. Natychmiast też zacząłem podejrzewać, iż przyczyną, dla której nie chciał o tym powiedzieć, był fakt, że sam był jednym z tych genetycznie zmutowanych potworów i dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Zastanawiałem się z otępieniem, dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy.
— Tak — przyznał w końcu. — Były ich tysiące. Całe sfory zaprogramowane do polowań na mutantów.
— Ale nie ludzi? — zapytałem. — Chodziło o potwory?
— Tak, tylko potwory.
— Przypuszczam, że musiało czasem zdarzyć się, że popełniały błędy i polowały również na ludzi. Trudno byłoby tak zaprogramować roboty, by polowały tylko na potwory.
— Zdarzały się pomyłki — przyznał Władca Duchów.
— Nie wydaje mi się — wtrąciła Cynthia — żeby Cmentarz zbyt się tym przejmował. Gdy coś takiego się zdarzało, pewnie nie zwracali specjalnie na to uwagi.

Jednego nie rozumiem. Dlaczego to robili? Jakie znaczenie mogło mieć kilku mutantów?

— Nie było ich kilku.
— No więc nawet większa ich liczba.
— Myślę, że chodziło o interes Pielgrzymów. Kiedy tylko Cmentarz stanął na solidnym gruncie, wpływy z pielgrzymek stawały się coraz większe. Nie chcieli, by w obecności Pielgrzymów na świętej ziemi pojawiły się stada wyjących poczwarów. Odwiedzający przestraszyliby się. Wieść o tym rozeszłaby się i Pielgrzymów byłoby coraz mniej.

— Och, wspaniale — stwierdziła Cynthia. — To program eksterminacji. Przypuszczam, że mutantów prawie całkowicie wytępiono.

— Tak — odparł Władca Duchów. — Prawie całkowicie.

— Tylko od czasu do czasu pojawia się któryś — dodałem.

Jego przyszywane oczy łypnęły w moim kierunku i pomyślałem, że lepiej by było, gdybym tego nie mówił. Nie wiem, co mnie ugryzło. Nasz los zależał od jego pomocy, a ja go denerwowałem.

Przerwałem rozmowę i ponownie zająłem się przesuwaniami pasków mięsa. Trochę zmiękły, nawet ich smak, który przypominał mieszaninę soli i popiołu, choć nie dawał zbyt dużego odświeżenia, sprawiał przynajmniej, iż **czułem**, że coś zjadłem.

Oboje z Cynthia pracowicie poruszaliśmy szczękami, podczas gdy Władca Duchów zamarł w bezruchu. Spojrzałem na Cynthię.

— Jak ci idzie? — zapytałem.

— Nieźle — odpowiedziała ostrym tonem.

— Przykro mi, że to tak zabrzmiało. Nie to miałem na myśli.

— Oczywiście, że nie to. Myślałeś o wyprawie na Ziemię jak o romantycznej wycieczce na romantyczną planetę. A romantyczna wydawała ci się dlatego, że sobie ją taką wymarzyłeś po przeczytaniu...

— Przybyłem tu, by stworzyć symfonię — przerwałem jej zdenerwowany — a nie po to, żeby bawić się w policjantów i złodziei z podkładaczami bomb, rabusiami grobów i ukrywać się przed hordą metalowych wilków.

— I mnie za to obwiniasz, co? Gdyby mnie tu nie było, gdybym ci się nie narzuciła ze swoją obecnością...

— Do diabła, nie. Nigdy w ten sposób nie myślałem.

— A nawet jeśli pomyślałeś, to uważałeś, że możesz się poświęcić, bo będziesz to robił dla dobrego, starego Thorneya.

— Zamknij się! — krzyknąłem teraz już naprawdę wściekły. — Co ci strzeliło do głowy? O czym ty mówisz?

Jednak zanim zdążyła odpowiedzieć, Władca Duchów uniósł się mówiąc:

— Pora wyruszać. Odpoczęliście i pożywiliście się, powinniśmy iść dalej.

Wiatr stał się ostrzejszy i chłodniejszy. Kiedy wyszliśmy ze schronienia, jakie dawały nam głązy, uderzył w nas niczym nóż, a na twarzach rozprysło się nam kilka kropli deszczu.

Ruszyliśmy pochylając się w przód dla zamortyzowania siły wiatru. Mieliśmy wrażenie, że jakaś wielka ręka umieszczona przed nami usiłuje odepchnąć nas w tył. Nie widać jednak było, by sprawiało to większe wrażenie na Władcy Duchów. Szedł na przód bez żadnego wysiłku. Najdziwniejsze było to, że wiatr wydawał się nie oddziaływać na jego habit. Nie furkotał, nawet nie zafalował, pozostawał zawsze taki sam i dokładnie dotykał ziemi.

Chciałem zwrócić na to uwagę Cynthii, ale kiedy usiłowałem krzyknąć, zatykający wiatr wepchnął mi z powrotem słowa w gardło.

Z dołu dochodziło nas jęczenie i skrzypienie drzew uginających się pod naporem wichury. Usiłujące latać ptaki rzucane były wiatrem po niebie. Chmury zdawały się stawać coraz gęstsze z każdą minutą, chociaż gdy im się przyglądałem, nie widziałem, aby się poruszały. Deszcz siekł nagłymi porywami, lodowato zimny, prosto w nasze twarze.

Wlekliśmy się z mizerną szybkością. Prawie zatraciłem poczucie rzeczywistości. Wlepiąłem tylko oczy w idącą przede mną Cynthię. Raz potknęła się i bez słowa pomogłem jej utrzymać równowagę. Również bez słowa zaczęła iść dalej.

Teraz deszcz lał już bez przerwy. Chwilami zamieniał się w grad i tłuł niemiłosiernie w gałęzie drzew. Potem znowu padały krople i wydawało mi się, że były chłodniejsze niż lód. Miałem wrażenie, że wędrowaliśmy tak całą wieczność, aż nagle zdałem sobie sprawę z tego, że nie jesteśmy już na szczycie, ale powoli schodzimy w dół zbocza.

Doszliśmy do strumienia i znaleźliśmy na tyle wąskie miejsce, by go przeskoczyć, a potem rozpoczęliśmy wspinaczkę na następne zbocze. Nagle grunt się wyrównał i usłyszałem słowa Władcy Duchów:

— Myślę, że wystarczy.

Gdy tylko dotarło do mnie znaczenie tego, co powiedział, pozwoliłem nogom ugiąć się pode mną i usiadłem na kawałku nagiej skały. Przez chwilę nie zwracałem uwagi na to, gdzie się znajdujemy. Wystarczyło mi, że nie musimy już dalej wędrować. Jednak stopniowo zaczynałem zdawać sobie sprawę z tego, co się wokół mnie działo.

Stwierdziłem, że zatrzymaliśmy się na płaskiej półce skalnej wystającej z zagłębienia w zboczu. Około trzydziestu stóp wyżej potężny nawis skalny tworzył głęboką niszę dającą doskonałe schronienie. Półka, na której staliśmy, była zupełnie pozioma i gładka. Kilka stóp pod nami płynął w dół doliny rwący górski potok tworzący małe kaskady i rozlewiska. Za strumieniem stok góry unosił się w stronę grani, którą nadeszliśmy.

Władca Duchów zadowolonym głosem oznajmił:

— Tu będziemy mieli doskonałą kryjówkę przed nocą i pogodą. Rozpalimy ognisko i złapiemy kilka pstrągów w strumieniu. Wilkowi możemy zaś życzyć tylko niepowodzenia w tropieniu nas.

— Wilkowi? — spytała Cynthia. — Przecież przed jaskinią widzieliśmy trzy bestie. Co się stało z pozostałymi dwoma?

— Dostałem informację, że pozostała tylko jedna. Inne miały nieprzyjemny wypadek.

15.

W ciemnościach nad naszym schronieniem szalała burza. Ognisko dawało światło i ciepło, a nasze ubrania wreszcie były suche. Tak jak powiedział Władca Duchów, potok roił się od pstrągów i te wspaniałe ryby były znakomitą strawą w porównaniu z paskami mięsa i konserwami, które dotąd jedliśmy.

Nie byliśmy pierwszymi, którzy tu obozowali. Rozpaliliśmy ognisko na czarnym, wypalonym kręgu, jaki pozostawiły tu wcześniejsze (trudno było jednak określić jak dawne) ogniska, które spowodowały popękanie skały. Na dość szerokiej powierzchni półki skalnej widniało jeszcze kilka podobnych poczerniałych kręgów, na wpół przysłoniętych przygnanymi tu wiatrem jesiennymi liśćmi.

W stercie liści pod ścianą Cynthia odkryła jeszcze jeden ślad obecności człowieka — metalowy pręt długości około czterech stóp, na cal gruby i tylko w niektórych miejscach pokryty rdzą.

Siedziałem przy ognisku patrząc na płomienie i rozmyślałem nad tym, w jaki sposób tak przemyślane plany jak nasze mogły zupełnie spalić na panewce. Odpowiedź była oczywista. Prawie całą odpowiedzialność za to ponosił Cmentarz. Tylko spotkanie z bandą rabusiów grobów stanowiło czysty przypadek.

Próbowałem określić, na jakim stoimy gruncie, ale gdy o tym myślałem, dochodziłem do wniosku, że nie jest z nami dobrze. Ścigani od osady rozdzieliliśmy się, a Cynthia i ja wpadliśmy w ręce zagadkowej istoty, o której zamiarach nie mieliśmy pojęcia. A teraz jeszcze ten wilk — jeden wilk, jeżeli Władca Duchów się nie mylił. Nie miałem wątpliwości, co stało się z pozostałymi dwoma. Musiały dopaść Elmera i Bronco. Był to ich duży błąd. Ale kiedy Elmer rozprawiał się z dwoma, trzeciemu udało się uciec i być może był teraz na naszym tropie, jeżeli w ogóle pozostawiliśmy jakiś trop. Szliśmy przecież wierzchołkami, gdzie silny wiatr musiał zwiać nasz zapach z nagich skał. Teraz, przy szalejącej wichurze, nie mógł pozostać żaden ślad.

— Fletch — zagadnęła Cynthia. — O czym myślisz?

— Zastanawiam się, gdzie mogą być w tej chwili Elmer i Bronco.

— Są w drodze powrotnej do jaskini. Na pewno znajdują naszą kartkę.

— Oczywiście. Kartkę. Dużo im to da. Napisaliśmy, że podróżujemy na północny zachód. Powiedzieliśmy, że jeśli nie dopędzą nas po drodze, spotkamy się nad rzeką Ohio. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jaki ogromny szmat kraju może leżeć na północnym zachodzie, zanim

dotrzemy do rzeki, a poza tym jak duża może to być rzeka?

— To najlepsze, co mogliśmy wymyślić — odparła trochę ze złością.

— Rano — wtrącił Władca Duchów — rozpalimy na szczycie wielkie ognisko. Będzie to sygnał, który ich do nas sprowadzi.

— Ich — sarknąłem — i każdego w zasięgu wzroku, włączając w to wilka. A może nadal są ich trzy sztuki?

— Tylko jeden. A jeden nie będzie zbyt bojowy. One są dzielne tylko w stadach.

— Nie wydaje mi się — powiedziałem — abym miał ochotę na spotkanie nawet z jednym tchórzliwym wilkiem.

— Niewiele już ich pozostało. Nie wypuszczano ich na polowania od wielu lat. Być może długi okres bezczynności odebrał im nieco sprawności.

— Chciałbym jednak wiedzieć jedną rzecz — oznajmiłem. — Dlaczego Cmentarz tak długo zwlekał z wysłaniem ich przeciwko nam? Mogli je wypuścić już w tej minucie, kiedy ruszyliśmy.

— Bez wątpienia — odparł — jednak musieli po nie posłać. Nie wiem, gdzie je trzymają, ale na pewno w jakiejś odległości.

Wiatr wył w dolinie pod nami, a bryzgi deszczu z sykiem wpadały do grotu, by rozprysnąć się na skałe nie opodal ogniska.

— A gdzie twój towarzysze? — zapytałem. — Gdzie podziały się cienie?

— W noce takie jak ta mają do załatwienia różne interesy.

Nie zapytałem jakie interesy. Nie chciałem wiedzieć.

— Nie wiem, jak z wami — powiedziała Cynthia — ale ja zamierzam opatulić się kocem i spróbować trochę zdrzemnąć.

— Oboje możecie się przespać — rzekł Władca Duchów. — To był długi, ciężki dzień. Będę stał na straży. Nie śpię prawie nigdy.

— Nigdy nie śpisz, tak samo jak nic nie jesz. Wiatr nie powiewa twoim habitem. Kim, do diabła, jesteś? — zapytałem z przekąsem, ale w gruncie rzeczy nie spodziewałem się otrzymać odpowiedzi.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłem przed zaśnięciem, była postać Władcy Duchów siedząca przy ognisku — wyprostowana, nieruchoma sylwetka przypominająca pomnik spoczywający na swoim cokole.

Obudziłem się zziębnięty. Ognisko wygasło, a w wylocie jaskini budził się dzień. Burza ucichła, skrawek nieba, który widziałem, był zupełnie czysty.

Na półce skalnej wystającej poza pieczarę siedział metalowy wilk. Przysiadł na zadzie i wpatrywał się prosto we mnie. W stalowym pysku trzymał bezwładnego królika.

Usiadłem gwałtownie, zrzucając z siebie koc i macając w pośpiechu ręką w poszukiwaniu szczapy drewna z ogniska, chociaż zdawałem sobie sprawę z własnej bezsilności. Nie miałem odwagi oderwać wzroku od wilka, ale w końcu moja dłoń natrafiła na jakiś podłużny przedmiot. Zorientowałem się, że jest to czterostopowy metalowy pręt, który Cynthia odkryła w stosie liści. Zacisnąłem na nim palce pełen wdzięczności i z wolna powstałem na nogi. Ścisnąłem pręt tak silnie, że bolała mnie ręka. Wilk nawet nie drgnął. Po prostu siedział w miejscu z tym głupim królikiem zwisającym mu z pyska. Zapomniałem, że wilki mają ogony, ale teraz jego ogon zaczął rytmicznie, lekko bić o skałę. Wyglądało to tak jak machanie ogonem psa, który jest zadowolony na widok pana.

Rozejrzałem się szybko wokół. Po Władcy Duchów

nigdzie nie było ani śladu, ale Cynthia klęczała już na swoim kocu, a oczy miała wielkości spodków od herbaty. Nie zauważyła, że na nią patrzę; jak zahipnotyzowana wpatrywała się w wilka.

Przesunąłem się w bok, by obejść ognisko i uniosłem metalowy pręt. Gdyby udało mi się chociaż raz trafić, pomyślałem, miałbym przynajmniej jakąś niewielką szansę.

Wilk nie runął jednak w moim kierunku. Kiedy postąpiłem jeszcze krok w jego stronę, przewrócił się na grzbiet wyciągając nogi do góry. Teraz tak zajadłe tłukł ogonem o ziemię, że dźwięk metalu zderzającego się z kamieniem brzmiał w porannej ciszy niczym dzwonek.

— Usiłuje być przyjazny — powiedziała Cynthia. — Prosi, byś go nie uderzył.

Posunąłem się jeszcze jeden krok.

— Poza tym spójrz — dodała — przyniósł dla nas królika.

Opuściłem pręt i trzymałem go przy nodze. Teraz wilk zaczął pełznąć w moim kierunku. Stałem i czekałem. Kiedy był już blisko, położył królika u moich stóp.

— Podnieś go — poleciła Cynthia.

— Podnieś — mruknąłem — a on tym czasem odgryzie mi rękę.

— Podnieś — powtórzyła. — Przyniósł tego królika dla ciebie i dał ci go.

Pochyliłem się więc i podniosłem tego zwariowanego królika. W momencie gdy to robiłem, wilk podskoczył drżąc z wyraźnej radości i z taką siłą otarł się o moje nogi, że omal mnie nie przewrócił.

16.

Siedzieliśmy przy ognisku obgryzając ostatnie kawałki mięsa z kości królika, a wilk leżał obok wymachując od czasu do czasu ogonem z wyraźnym zadowoleniem.

— Jak przypuszczasz, co mu się stało? — zapytała Cynthia.

— Może zwariował — odparłem. — A może zmiękł po tym, co stało się z jego kolegami. Albo nadal na nas czyhają usiłując tylko uśpić naszą czujność. Kiedy nadarzy się okazja, skończy z nami.

Wyciągnąłem rękę i przysunąłem bliżej metalowy pręt.

— Myślę, że nie masz racji. Wiesz, on po prostu nie chce wracać.

— Wracać gdzie?

— W miejsce, w którym trzyma go Cmentarz. Pomyśl

o tym. On i inne wilki, nie wiadomo ile, trzymane całymi latami bez ruchu.

— Nie trzymano by ich na uwięzi. Prędzej wyłączono by je na czas, gdy są niepotrzebne.

— Może i tak. Może on nie chce wrócić, bo wie, że kiedy to zrobi, to go wyłączą.

Warknąłem na nią. To był zupełny idiotyzm. Pomyślałem, że najlepiej bym zrobił, gdybym podniósł pręt i zatłukł wilka na śmierć. Powstrzymywała mnie w zasadzie jedynie myśl, że on nie poddałby się tak łatwo i mógłbym przegrać w tym pojedynku.

— Zastanawiam się, co się stało z Władcą Duchów — powiedziałem.

— Wystraszył się wilka — odparła. — Pewnie już nie wróci.

— Mógł nas przynajmniej obudzić. Dać nam jakąś szansę.

— Wszystko skończyło się szczęśliwie.

— Ale on nie mógł wiedzieć, że tak będzie.

— Co teraz zrobimy?

— Nie wiem.

I była to szczerza prawda. Zupełnie nie wiedziałem, co dalej robić. Jeszcze nigdy w życiu nie wahałem się tak bardzo. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy. Jeśli o mnie chodziło, to byliśmy zagubieni w dzikiej głuszy. Rozłączyliśmy się z silniejszymi członkami naszej grupy, a przewodnik opuścił nas. Zaprzyjaźniliśmy się wprawdzie z metalowym wilkiem, ale daleko mi było do pewności, że z jego strony to szczerza sympatia.

Kątem oka zauważyłem jakiś ruch i skoczyłem na równe nogi. Nic jednak nie mogłem zrobić, spoglądałem prosto w wyloty luf dwóch karabinów. Broń trzymały ręce dwóch ludzi, z których jednego rozpoznałem jako przywódcę bandy, z jaką zetknęliśmy się wcześniej

z beużytecznymi kijami w rękach, na chwilę przedtem, jak wpadł między nich Elmer i przerwał tę konfrontację. Trochę się zdziwiłem, że go rozpoznałem, bo wtedy byłem zajęty obserwowaniem całej reszty rabusiów, którzy zrezygnowali z napaści na Bronco i skierowali swą uwagę na nas. Teraz odkryłem, że jednak poznaję jego złośliwy półśmiech przylepiony do warg, mętne oczy i poszarpaną bliznę biegnącą w poprzek policzka. Drugiego nie poznawałem.

Musieli podpełznąć cicho do wylotu jaskini, a teraz stali tu z wycelowanymi w nas karabinami. Usłyszałem, jak Cynthia zachłysnęła się ze zdumienia i powiedziałem do niej ostro:

— Siedź. Nie ruszaj się.

Ze zgrzytem metalowych pazurów o skałę coś podeszło do mnie i stanęło u mojego boku opierając się mocno o mą nogę. Nie spojrzałem w dół, by zobaczyć, co to jest. Wiedziałem. Był to wilk, który sprzymierzył się ze mną przeciwko karabinom.

Dwaj opryszkowie widocznie wcześniej go nie widzieli, gdyż leżał w pewnej odległości. Teraz, kiedy im się pokazał, złośliwy uśmiech zniknął z twarzy wielkiego brutala, a szczęka wyraźnie mu opadła. Nerwowy tik wykrzywił twarz drugiego mężczyzny. Nie uciekli jednak.

— Dżentelmeni — powiedziałem. — Wydaje mi się, że mamy teraz zawieszenie broni. Możecie nas łatwo zabić, ale nie uda się wam stąd odejść nawet na trzydzieści kroków, bo również będziecie martwi.

Nadal trzymali strzelby wycelowane w nas, lecz w końcu wielkolud z blizną uniósł swoją w górę i oparł kolbą o ziemię.

— Jed — zwrócił się do towarzysza. — Odłóż swoją pukawkę.

Jed opuścił strzelbę.

— Przechytrzyliście nas. Zdaje się, że musimy się stąd wynosić — zwrócił się do nas.

— Podejdźcie, ale ostrożnie z bronią — poleciłem.

Ociągając się, z widocznym wahaniem, zbliżyli się do ogniska. Rzuciłem szybkie spojrzenie Cynthii. Jeszcze klęczała na skalistym podłożu, ale nie była już wystraszona.

— Fletch — rzekła — po tak długiej drodze ci dżentelmeni muszą być głodni. Dlaczego nie poprosisz ich, by usiedli, a ja tymczasem otworzę puszkę albo dwie. Nie mamy wprawdzie zbyt dużo, bo podróżujemy z minimalnym obciążeniem, jest jednak trochę gulaszu.

Opryszkowie spojrzeli na mnie wyczekująco, a ja dość uprzejmie skinąłem głową.

— Proszę — powiedziałem.

Usiedli i położyli strzelby koło siebie.

Wilk ani drgnął, stał i wpatrywał się w nich uporczywie. Olbrzym wykonał pytający ruch ręką.

— Nie obawiaj się — uspokoiłem go. — Nie wykonujcie tylko żadnych gwałtownych ruchów.

Miałem nadzieję, że mam rację. Nie mogłem niestety być całkowicie pewien tego, co mówię o wilku.

Cynthia pogrzebała chwilę w plecaku i wyjęła puszkę gulaszu, a ja podsycałem ognisko, które buchnęło jasnym płomieniem.

— A teraz — odezwałem się — przypuśćmy, że powiecie nam, o co wam chodzi?

— Ukradliście nasze konie — odparł wielkolud.

— Poszukiwaliśmy ich — dodał Jed.

Potrząsałem głową.

— Mogliście podążyć ich tropem z zawiązanymi oczami. Bez żadnych problemów. Koni było wiele.

— A więc — powiedział wielkolud — znaleźliśmy waszą kryjówkę i kartkę, którą zostawiliście. Jedowi udało się ją rozszyfrować. A tę jaskinię znaleźliśmy.

— To miejsce biwakowe — dorzucił Jed. — Sami zatrzymujemy się tu od czasu do czasu.

Nadal nie było w tym zbyt wiele logiki, ale nie naciskałem. Olbrzym usiłował jednak się wytłumaczyć:

— Doszliśmy do wniosku, że nie byliście sami. Ktoś musiał z wami podróżować. Ktoś, kto znał okolicę. Ludzie tacy jak wy nie wyruszyliby na ślepo. A ten biwak jest o dzień trudnego marszu.

— Czegoś tu nie rozumiem — wtrącił Jed. — Wilk. Nie liczyliśmy się z jego obecnością. Myśleliśmy, że będzie już w połowie drogi do domu.

— Wiedzieliście o wilkach?

— Widzieliśmy tropy. Tropy trzech wilków. I znaleźliśmy resztki dwóch.

— To niemożliwe. Przyszliście tu prosto z jaskini, w której nocowaliśmy zeszłej nocy. Nie mielibyście czasu...

— Nie my — przerwał mi Jed. — Inni z nas. Dali nam znać.

— Dali wam znać?

— Oczywiście — dodał olbrzym. — Jesteśmy w stałym kontakcie.

— Telepatia — powiedziała miękko Cynthia. — To musi być telepatia.

— Ale telepatia...

— Czynniki przetrwania. Ludzie, którzy pozostali na Ziemi po wojnie, musieli jakoś przeżyć. Przez mutacje musieli wykształcić w sobie inne zmysły. Może nawet wiele. Telepatia była im bardzo potrzebna, by mogli przetrwać.

— Powiedz mi — zwróciłem się do wielkoluda — co się stało z Elmerem... z tymi, którzy byli z nami?

— Z metalowymi stworami?

— Tak jest. Z metalowymi stworami.

Wielki brutal potrząsnął głową.

— Twierdzisz, że nie wiecie?

— Możemy się dowiedzieć.

— A więc zróbcie to.

— Niech pan posłucha, mister — powiedział Jed. — Musimy mieć jakiś atut. To jest nasz atut.

— Naszym atutem jest wilk — odparłem. — I jest tu na miejscu.

— Może nie powinniśmy siedzieć i kłócić się — rzekł przywódca bandy. — Może powinniśmy połączyć nasze siły?

— I dlatego podkradaliście się do nas, aby się porozumieć, co?

— No, nie — przyznał Jed. — Niezupełnie. Zniszczyliście przecież nasze obozowisko, przegnaliście nas i zabraliście konie. W tych stronach kradzież koni to najpoważniejsze przestępstwo. Nie mieliśmy więc, prawdę mówiąc, przyjaznych zamiarów.

— A teraz sytuacja się zmieniła, co? Chcecie zostać naszymi przyjaciółmi, tak?

— Spójrzcie na to z innej strony — zaczął wyjaśniać olbrzym. — Ktoś spuścił na was wilki. Mogli to zrobić tylko ludzie pracujący na Cmentarzu. My uważamy, że każdy wróg Cmentarza może być naszym przyjacielem.

— Co macie przeciwko Cmentarzowi? — zapytała Cynthia. Podeszła do ogniska i stanęła obok wielkoluda z talerzem gulaszu w ręce. — Okradaliście Cmentarz. Rozkopywaliście groby. Wydaje mi się, że gdyby nie korporaga, pozostalibyście bez zajęcia.

— Oni nie zachowują się fair — jęknął Jed. — Zastawiają na nas pułapki. Bardzo okrutne pułapki. Sprawiają nam bardzo wiele kłopotu.

Wielkolud nadal był zdumiony.

— Jak to się stało, że wilk jest z wami? Te maszyny

nie znają takiego pojęcia, jak przyjaźń. To zabójcy ludzi, każdy z nich.

Cynthia nadała stała koło niego, ale patrzyła w inną stronę. Spoglądała w kierunku wzgórze za strumieniem. Zastanowiłem się, czego może wypatrywać, ale była to tylko przelotna myśl.

— Jeśli chcecie się do nas przyłączyć — powiedziałem — to moglibyście zacząć od powiedzenia nam, co się dzieje z naszymi robotami.

W rzeczywistości zbytnio im nie ufałem, nie mogłem ufać. Pomyślałem jednak, że informacja o Elmerze i Bronco warta była tego, by jednak się z nimi dogadać.

— Nie wiem — odparł herszt. — Uczciwie mówię, że nie wiem, czy powinniśmy wam to powiedzieć.

Kątem oka dojrzałem ruch Cynthii. Podniosła rękę i od razu wiedziałem, co ma zamiar zrobić, choć zupełnie nie rozumiałem dlaczego. Nie mogłem jej powstrzymać, a gdybym nawet mógł, nie zrobiłbym tego, gdyż wiedziałem, że musi mieć jakiś ważny powód, by tak uczynić. Pozostało mi tylko jedno i zrobiłem to. Rzuciłem się na strzelbę Jeda, a w tym czasie Cynthia z całą siłą, na jaką było ją stać, trzasnęła wielkoluda garnkiem w głowę.

Jed miał refleks i złapał karabin równocześnie ze mną. Przez chwilę staliśmy mocując się i usiłując wyrwać broń jeden drugiemu.

Wydarzenia toczyły się zbyt szybko, żebym wiedział, co się wokół mnie dzieje. Zobaczyłem Cynthię trzymającą w pogotowiu karabin wielkoluda, podczas gdy on pełzał w kółko na czworakach potrząsając głową, jakby chciał doprowadzić swój umysł do poprzedniego stanu. Kawałek dalej leżał na boku garnek od gulaszu. Widziałem, że był zupełnie zdeformowany. Wilk śmigając przez jaskinię w stronę wyjścia przypominał srebrną błys-

kawicę. Ze wzgórze naprzeciwko nas zbiegły ciemne sylwetki. Rozległy się stłumione kłaśnięcia, a do jaskini wlatywały bzyczące pszczoły, by rozprysnąć się z hukiem o ściany.

Twarz Jeda wykrzywiona była strachem albo złością (nie mogłem się zdecydować, ale zdziwiłem się, że w całym tym zamieszaniu miałem w ogóle czas na rozmyślanie). Usta otworzył tak, jakby chciał krzyknąć, ale nie krzychał. Zęby miały wygląd pożółkłych kłów, a oddech był nieprzyjemny. Nie tak wysoki ani mocno zbudowany, przewyższał mnie szybkością, twardością i wolą walki. Wiedziałem, że prędzej czy później odbierze mi strzelbę.

Herszt powstał niepewnie na nogi i powoli wycofywał się z linii ognia, patrząc z przerażeniem i fascynacją na celującą w niego Cynthię.

Szamotanina zdawała się trwać już dosyć długo, choć w rzeczywistości nie mogło upłynąć więcej niż kilkanaście sekund. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, Jed zgął się w pół i puszczając strzelbę osunął się ciężko w dół. Zobaczyłem, jak na plecach szybko rośnie mu czerwona plama.

Cynthia wykrzyknęła:

— Fletch, ukryj się! Strzelają do nas!

Zobaczyłem jednak, że właśnie przestali strzelać. Uciekali na złamanie karku ratując swe życie — małe ciemne sylwetki ludzi podskakujące, biegnące zygzakiem, pośpiesznie wspinające się na wzgórze. Jak zauważyłem, dwóch albo trzech pracowicie wdrapywało się na drzewa. Za uciekającymi połyskiwała metalowa maszyna i kiedy patrzyłem, złapała właśnie w szczęki jednego z nich. Gwałtownie wstrząsnęła paszczą, by po sekundzie odrzucić na bok bezwładny kształt.

Po wielkoludzie nie było ani śladu. Udało mu się uciec.

— Fletch, nie możemy tutaj zostać — powiedziała Cynthia i całkowicie się z tym zgadzałem. Z rabusiami grobów następującymi nam na pięty nie mogliśmy uznać grotę za bezpieczne schronienie. Teraz, kiedy gonił za nimi wilk, mieliśmy czas na wycofanie się stąd.

Cynthia dotarła już do wylotu jaskini i poczęła schodzić w dół zbocza. Podążyłem za nią. Pośliznąłem się na stromym rumowisku i zanim ponownie stanąłem na nogi, zjechałem na plecach prawie do strumienia. Przy upadku upuściłem strzelbę i właśnie po nią zwracałem, gdy coś przeleciało z bzykiem koło mojego ucha wzbijając małą fontannę kamieni i piachu nie dalej jak trzy stopy przede mną. Przetoczyłem się szybko w inne miejsce i spojrzałem w stronę wzgórza. Obłoczek błękitnego dymu rozwiewał się właśnie nad drzewem, w którego koronie siedziała przyczajona postać. Zapomniałem o strzelbie.

Cynthia biegła dnem wąskiej rozpadliny, którą płynął potok. Ruszyłem za nią. Za nami rozległo się echo dwóch wystrzałów, ale musiały być mocno niecelne, bo nie słyszałem świergotu lecących pocisków ani nie zauważyłem, gdzie się zaryły. Pomyślałem, że za kilka sekund będziemy poza zasięgiem broni. Chałupniczo wykonane strzelby o pociskach z lanego ołowiu nie mogły mieć dużej siły rażenia.

Bieg wąską rozpadliną stanowił prawdziwą torturę. Wzgórza po obu stronach zbiegały się w kształcie litery V i żaden odcinek drogi nie był poziomy. Powierzchnia gruntu usiana była masywnymi głazami, które przez wieki staczały się z otaczających zboczy. Gdzieniedzie rosły gigantyczne drzewa blokujące drogę. Nie dostrzegłem tu żadnej ścieżki, którą można by się normalnie posuwać. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wybrałby takiej trasy, chyba że z konieczności. Poruszanie się tędy polegało na znajdowaniu jak najlepszego przejścia klu-

ząc między skałami i drzewami oraz przeskakując rozpadliny, które często zagradzały drogę.

Dogoniłem Cynthię, gdy zwolniła przed ogromnym zwałem kamieni. Potem szliśmy już razem. Zauważyłem, że również nie ma strzelby.

— Wyrzuciłam ją — powiedziała. — Była ciężka. Przeszkadzała mi w biegu.

— To bez znaczenia — pocieszyłem ją. Karabiny są jednostrzałowe, a my nie mieliśmy ani prochu, ani kul, by je ponownie załadować. A nawet gdybyśmy mieli, pewnie nie wiedzielibyśmy, jak to zrobić. Były to bardzo prymitywne strzelby i przeczuwałem, że trzeba by długiego treningu, aby nauczyć się z nich trafiać do celu.

Doszliśmy do miejsca, w którym inna dolina w kształcie litery V przecinała naszą.

— Skręcimy — zaproponowała Cynthia. — Będą myśleli, że idziemy dalej prosto.

Skinałem głową. Jeśli podążali za nami, mogli pomyśleć, że pójdziemy łatwiejszą drogą, doliną ciągnącą się do jaskini.

— Fletch — zagadnęła. — Nie mamy ze sobą żadnych rzeczy. Uciekliśmy bez naszych plecaków.

Zawahałem się.

— Mogę wrócić — powiedziałem. — Ty pójdiesz wózem. Potem cię dogonię.

— Nie możemy się znowu rozdzielać. Musimy trzymać się razem. Nic by się nam nie przytrafiło, gdybyśmy cały czas trzymali się Elmera.

— Wilk zapędził ich na drzewa. Innych zmusił do uciezki.

— Nie — zaprotestowała. — Niektórzy z tych na drzewach mają karabiny. No i jest ich zbyt wielu, by jeden wilk utrzymał ich w szachu. Rozproszą się. Nie może gonić za wszystkimi naraz.

— Zobaczyłaś ich — stwierdziłem. — To dlatego dzieliłaś tego dzikusa garnkiem przez łeb.

— Widziałam, jak schodzą ze wzgórza. Ale i tak pewnie bym go uderzyła. Nie mogliśmy im ufać. Nigdzie nie wrócisz. Musiałabym iść z tobą, a boję się.

Poddałem się. W zasadzie wcale nie byłem pewien, czy to poddanie się, czy też sam nie miałem chęci wracać.

— Później — powiedziałem. — Później, kiedy wszystko się skończy, będziemy mogli wrócić i zabrać rzeczy.

Mówiąc zdawałem sobie jednak sprawę, że to wcale nie musi się skończyć. A nawet gdyby, rzeczy może już nie być w jaskini.

Ruszyliśmy w górę rozpadliny. Droga była równie zła jak ta, którą poruszaliśmy się dotychczas. Gorsza nawet, bo wiodła pod górę.

Pozwoliłem Cynthii iść przodem, a sam zacząłem rozważać sytuację. Opuszczając jaskinię oboje ulegliśmy prawdziwej panice. Zabranie plecaków nie zajęłoby nam przecież więcej jak minutę. Nie zrobiliśmy tego i teraz pozostaliśmy bez żywności i kocy, nie mieliśmy nic.

Oprócz ognia, pomyślałem. Miałem w kieszeni zapalniczkę. Kiedy sobie to uświadomiłem, poczułem się nieco lepiej.

Droga była bardzo uciążliwa i co jakiś czas musieliśmy zatrzymać się na odpoczynek. Mimo nasłuchiwanie jakichś odgłosów ze strony pieczary, nie dobiegało do moich uszu nic i zacząłem się zastanawiać, czy to wszystko przydarzyło się nam naprawdę.

Zbliżaliśmy się ku wierzchołkowi wzgórza i kotlina, którą się posuwaliśmy, zaczynała się wyrównywać. Wdrapaliśmy się na szczyt. Porośnięty był gęsto drzewami, ale kiedy rozejrzeliśmy się wokół, roztoczył się przed naszymi oczami bajkowo piękny krajobraz. Masywne bloki drzew błyszcząły czerwonym i żółtym kolorem,

a na niektóre z nich pięły się liany połyskujące intensywnym złotem i jaskrawym szkarłatem. Patrząc na te barwy, przypomniałem sobie pierwszy dzień na Ziemi. Minęło zaledwie kilka dni, a wydawało mi się, że upłynęły całe tygodnie. Wtedy właśnie, opuszczając Cmentarz i idąc w dół wzgórza, po raz pierwszy w życiu zobaczyłem pomalowany barwami jesieni las.

Staliśmy spoglądając za siebie na drogę, którą przyszliśmy.

— Dlaczego mieliby nas ścigać? — zapytała Cynthia. — Owszem, zabraliśmy im konie, ale jeżeli tylko o to im chodzi, to powinni łapać wierzchowce, a nie nas.

— Może chcą się zemścić — zasugerowałem. — Ubzdurali sobie, że muszą wyrównać z nami rachunki. Przypuszczalnie tylko część z nich podąży za nami. Reszta ruszyła za końmi.

— Może i masz rację. Ale jakoś nie mogę w to uwierzyć. Musi być coś jeszcze.

— To Cmentarz — powiedziałem. Sam nie wiem, co chciałem dać tym do zrozumienia, ale wydawało mi się, że Cmentarz był w jakiś sposób zamieszany we wszystko, co się nam przydarzyło. Jednak gdy wymówiłem te słowa, całość sama ułożyła się w głowie.

— Czy nie widzisz — kontynuowałem — że Cmentarz macza palce we wszystkim, co się tutaj dzieje? Wywiera naciski. W osadzie ktoś otrzymał skrzynkę whisky za próbę zniszczenia Bronco, a teraz ci rabusie...

— Oni to co innego — przerwała mi. — Oni okradają Cmentarz. A Cmentarz na nich poluje. Nie zawierali żadnych układów.

— Posłuchaj — powiedziałem. — Może po prostu usiłują sobie w jakiś sposób zaskarbić łaski Cmentarza. Odkryli martwe wilki, a kto, jak nie Cmentarz, mógł je wcześniej wysłać za nami. W ich prostych umysłach była

to nadarzająca się okazja. Gdyby udało im się przynieść nasze głowy tam, gdzie zawiodły wilki, mogliby otrzymać nagrodę. To proste.

— Być może. Przeważnie wszystko sprowadza się do prostych zależności.

— W takim razie — podniosłem się — najlepiej będzie, jak ruszymy dalej.

Poszliśmy w dół zbocza i natrafiliśmy na następną rozpadlinę, którą podążaliśmy, dopóki nie zetknęła się z inną. Tym razem szerszą i dogodniejszą do podróżowania.

Spotkaliśmy drzewo gęsto obrośnięte winoroślą i wspiąłem się na nie. Dobrały się już do niej ptaki i mniejsze zwierzęta, ale udało mi się zerwać kilka soczystych, nienaruszonych kiści. Winogrona okazały się nieco cierpkie, ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Byliśmy głodni, a owoce pozwalały nam zapełnić żołądki. Wiedziałem jednak, że musimy zdobyć coś jeszcze. Na samych winogronach daleko byśmy nie zaszli. Nie mieliśmy haczyków, ale posiadałem scyzoryk i prawdopodobnie udałoby mi się naciąć giętkich gałęzi i jakoś skonstruować coś w rodzaju sieci na ryby. Przypomniałem sobie, że nie mamy soli, lecz głodny człowiek może się bez niej obejść.

— Fletch — zagadnęła Cynthia. — Jak myślisz, czy kiedykolwiek odnajdziemy Bronco i Elmera?

— Może to oni odnajdą nas. Na pewno nas szukają.

— Zostawiliśmy wiadomość — powiedziała.

— Nie ma co na nią liczyć. Pamiętaj, że znaleźli ją rabusie? Na pewno nie pozostawili jej dla Elmera.

Dolina, którą wędrowaliśmy, była nieco szersza od tej wiodącej z pieczary, ale nigdy nie stawała się naprawdę szeroka. To raczej wzgórze zdawały się coraz wyższe i jakby nas przytłaczały. Teraz przemieniły się w nagie

skały górujące po obu stronach na co najmniej sto stóp. Dolina stała się mniej przyjemna. Potok, który nią płynął, był szeroki i głęboki. Nie tworzył żadnych pływów ani wodospadów. Woda nie szemrała. Pędziła cicho z dużą siłą sprawiając ponure wrażenie groźnej potęgi.

Słońce wisało nisko na zachodnim horyzoncie i z pewnym zdumieniem stwierdziliśmy, że przewędrowaliśmy cały dzień. Byłem zmęczony, ale nie tak jak po całodziennym i uciążliwym marszu. Przed nami w skalny stok wbijało się zagłębienie. Koronę skały wieńczyły masywne drzewa, a niektóre niesamowicie powykręcane cedry jakimś zadziwiającym sposobem rosły prostopadle do ściany.

— Chodźmy zobaczyć — zaproponowałem. — Musimy przecież znaleźć jakieś schronienie na noc.

— Będzie nam zimno — odparła. — Nie zabraliśmy kocy.

— Mamy ognisko.

Zadrzała:

— Możemy je rozpalić? Czy to bezpieczne?

— Musimy.

Weszliśmy w niszę w ścianie. Dalej skała była pęknięta i nie mogliśmy dojrzeć końca rozpadliny z powodu ciemności. Podłoże pokrywały drobne kamyki, a w jednym miejscu, niedaleko wejścia, kawał skały wystawał nieco ponad grunt.

— Nazbieram drzewa — powiedziałem.

— Fletch!

— Musimy rozpalić ognisko. Musimy zaryzykować. Inaczej zamarzniemy na śmierć.

— Boję się — wyszeptła.

Przyjrzałem się jej, ale w ciemności jej twarz była tylko niewyraźną białą plamą.

— W końcu boję się. Myślałam, że nie będę się bać. Powiedziałam sobie, że będę twarda. I wszystko było dobrze, dopóki maszerowaliśmy i świeciło słońce. Teraz jednak nadchodzi noc. Fletch, nie mamy nic do jedzenia i nawet nie wiemy, gdzie się znajdujemy...

Zbliżyłem się do niej i wziąłem w ramiona. Poddała się bez oporu. Objęła mnie również i mocno ścisnęła. Po raz pierwszy w czasie naszej wędrówki, od momentu spotkania Cynthii w samochodzie przed budynkiem administracyjnym, pomyślałem o niej jak o kobiecie. Zastanawiałem się z pewną dozą zdumienia, dlaczego tak się stało. Na początku była oczywiście tylko przeszkoda, kłopotem. Pojawiła się nie wiadomo skąd z tym śmiesznym listem od Thorneya zaciśniętym w dłoni i od tego czasu ciągle byliśmy prześladowani i narażeni na niebezpieczeństwa. Nie miałem nawet czasu, by dostrzec w niej kobietę. Była raczej dobrym kompanem, nie narzekała i nie stroiła fochów. Z lekkim niesmakiem pomyślałem o swoim dotychczasowym zachowaniu. Na pewno nie zaszkodziłoby mi, gdybym choć od czasu do czasu wyświadczył jej drobną uprzejmość, czy zachował się z kurtuazją. Nie postąpiłem tak ani razu.

— Jesteśmy jak dzieci w lesie — powiedziała. — Pamiętasz oczywiście tę starą ziemską legendę?

— Naturalnie, że pamiętam — potwierdziłem. — Ptaki leciały z listkami w dziobkach...

Na tym urwałem. Ta opowieść nie była wcale przyjemna. Nie mogłem sobie przypomnieć dokładnie, ale wydawało mi się, że ptaki pokrywały dzieci listkami dlatego, że te były martwe. Niewesoła myśl, nie ma co mówić.

Uniosła głowę:

— Już mi lepiej. Przepraszam.

Wsunałem jej dłoń pod brodę, uniosłem twarz i pochylając się pocałowałem ją w usta.

— A teraz chodźmy nazbierać drzewa — zaproponowała.

Słońce prawie już zaszło, ale było jeszcze całkiem jasno. Wałęsając się u podnóża skały, zbieraliśmy porzucane gałęzie, konary, które oderwały się od drzew wczepiających się korzeniami w nagą skałę.

— To dobre miejsce na ognisko — stwierdziłem. — Nikt nie będzie mógł go dojrzeć. Musiałby stać dokładnie naprzeciwko szczeliny, żeby zobaczyć ogień.

— A co z dymem?

— To suche drewno. Nie powinno dawać wiele dymu.

Miałem rację. Drewno paliło się jasnym, czystym płomieniem. Prawie wcale nie dymiło. Nocny chłód jeszcze nie zadomowił się na dobre, a my skuliliśmy się bardzo blisko ogniska. Było nam przyjacielem i wygodą. Rozpraszało ciemności. Przyciągało nas do siebie i tworzyło magiczny, ogrzewający krąg.

Słońce zaszło za horyzont i poza szczeliną raptownie zapadł zmrok. Świat pociemniał i zostaliśmy sami.

Coś poruszyło się poza kręgiem ognia, na krawędzi ciemności. Coś zagrzechotało o skałę. Podskoczyłem w górę jak sprężyna i wtedy zobaczyłem jaśniejszy kształt. Połyskując metalowym korpusem w świetle płomieni, wilk podszedł do nas.

Z metalowej szczęki zwisał bezwładny królik. Pomyślałem, że wilk musi być zaciekłym wrogiem królików.

O'Gillicuddy i reszta cieni przybyli, kiedy kończyliśmy pałaszować resztki królika. Nie był zbyt smaczny bez soli, ale była to jedyna rzecz, jaką mieliśmy w ustach tego dnia, nie licząc winogron. Sama czynność jedzenia powodowała, że świat wydawał się nam przyjemniejszy i nie czuliśmy się już tak zagubieni.

Wyciągnięty wilk leżał między nami blisko ogniska, opierając masywną głowę o metalowe szpony.

— Ach, gdyby tak on umiał mówić — westchnęła Cynthia. — Byłoby cudownie. Może mógłby nam powiedzieć, co się tutaj dzieje.

— Wilki nie mówią — powiedziałem obgryzając kostkę królika.

— Ale roboty tak. Elmer rozmawia. Nawet Bronco rozmawia. A ten wilk jest przecież robotem, a nie prawdziwym wilkiem. Został tylko tak skonstruowany, by wyglądać jak wilk.

Wilk powiódł po nas oczami. Nie powiedział ani słowa, ale radośnie tłuł ogonem o skałę, co powodowało straszliwy hałas.

— Wilki nie machają ogonami — dodała Cynthia.

— Skąd wiesz?

— Czytałam gdzieś o tym. Tylko psy to robią. Wilk bardziej przypomina psa niż wilka. Niepokoi mnie to. Na początku ścigał nas żądny krwi. Niespodziewanie coś jednak się w nim zmieniło i staje się naszym przyjacielem. To nie ma sensu.

— Zaczynam wierzyć, że na Ziemi w ogóle mało co dzieje się zgodnie z prawami logiki.

Siedzieliśmy w magicznym kręgu ogniska rzucającego migotliwe cienie na ściany jaskini. Odczuliśmy, że coś porusza się wokół nas.

— Mamy gości — powiedziała cicho Cynthia.

— To O'Gillicuddy — odparłem. — O'Gillicuddy, jesteś tu?

— Jesteśmy — potwierdził. — Jest nas wielu. Przyśleliśmy, by dotrzymać wam towarzystwa w tej głuszy.

— I żeby nas o czymś zawiadomić, jak przypuszczam.

— Rzeczywiście, mamy dla was wiadomości.

— Cieszymy się, że jesteście z nami. Z wiadomościami, czy bez — stwierdziła Cynthia.

Wilk uniósł ucho tak, jakby nasłuchiwał bzyczenia muchy.

Duchy, pomyślałem. To miejsce roi się od duchów, którym przewodził O'Gillicuddy. A my traktowaliśmy je tak, jakby były ludźmi. Czyste szaleństwo. W normalnych warunkach można by było zaakceptować ostatecz-

nie istnienie ducha, ale my tu uważaliśmy ich obecność za całkiem naturalną.

Rozmyślając na ten temat, z przerażeniem zacząłem zdawać sobie sprawę z nienormalności naszego położenia; jak daleko różniło się ono od spokojnego piękna Aldenu, jak odmienne było nawet od majestatu Cmentarza. Bo w tej chwili właśnie tamte miejsca wydawały mi się nienormalne. Tak dalece zespoliliśmy się z realizmem tej szalonej przygody, że zwykłe miejsca, które znaleźmy wcześniej, wydawały się nam odległe i obce, a to — normalne.

— Obawiam się — mówił O'Gillicuddy — że nie jesteście jeszcze całkiem poza zasięgiem goniących was opryszków. Nadal podążają za wami i są żądni krwi.

— Masz na myśli to, że chcą zdobyć nasze skalpy dla Cmentarza? — zapytałem.

— Twoje słowa to czysta prawda — potwierdził O'Gillicuddy.

— Ale dlaczego? — wtrąciła Cynthia. — Przecież nie należą do przyjaciół korporacji.

— Nie, nie należą, to prawda. Na tej planecie Cmentarz nie ma żadnych przyjaciół. Mimo to nie ma tu takiej osoby, która nie pomogłaby chętnie korporacji w nadziei otrzymania czegoś w zamian. Wielka władza powoduje korupcję.

— Ale przecież nie ma nic, czego mogliby chcieć od Cmentarza.

— Na razie może nic. Jednak zaskarbienie sobie jego sympatii znaczy bardzo wiele. Może się to okazać przydatne w przyszłości. Można sobie gromadzić punkty in plus.

— Powiedziałeś, że każdy chciałby zaskarbić sobie wdzięczność Cmentarza — zagadnąłem. — A co z tobą?

— W naszym wypadku to nie ma znaczenia. Cmentarz nie może nic dla nas zrobić, a co ważniejsze, nie może również nam zaszkodzić. Nie potrzeba nam ich wdzięczności i nie boimy się ich.

— A więc mówisz, że nie jesteśmy bezpieczni?

— Ścigają was. I będą ścigać. Pokonaliście ich rano i czują w ustach gorzki smak porażki. Jednego zabił wilk, a drugiego...

— Przecież to oni go zabili — przerwała mu Cynthia. — Kula była przeznaczona dla nas. To nie nasza wina.

— Oni uważają, że wasza. Mają dwóch zabitych i chcą wyrównać rachunek. Nie uważają, że są winni. Obwiniają was.

— Będą musieli namęczyć się, żeby nas znaleźć.

— Może i tak. Ale znajdą na pewno. To dobrzy tropiciele. Mają instynkt jak psy używane do polowań. Czytają las jak książkę. Przewrócony kamień, poruszony liść, złamane źdźbło trawy — to wszystko mówi im bardzo wiele.

— Naszą jedyną nadzieją jest odnalezienie Elmera i Bronco — powiedziała Cynthia. — Gdybyśmy byli razem...

— Możemy wam powiedzieć, gdzie oni są — stwierdził O'Gillicuddy. — Ale to daleka i trudna droga. Musielibyście zawrócić prosto w ramiona ścigających was rabusiów. Z desperacją staraliśmy doprowadzić do was waszych towarzyszy, ale cokolwiek byśmy robili, nie zdawali sobie sprawy z naszej obecności. Dostrzeganie nas wymaga bardziej zaostrzonych zmysłów od tych, jakie mają roboty.

— Wydaje mi się, że to całkiem beznadziejne — z rezygnacją powiedziała Cynthia. — Nie możecie przyprowadzić do nas Elmera i Bronco, i mówisz, że rabusie na pewno nas odnajdą.

— To nie wszystko. — O'Gillicuddy wydawał się dziwnie zadowolony z tego, co miał do zakomunikowania. — Łupieżcy wyruszyli za wami w pogoń.

— Łupieżcy? To jest ich więcej niż jeden?

— Jest ich dwóch.

— Masz na myśli maszyny wojenne?

— Tak je nazywacie?

— Elmer uważa, że to właśnie one.

— Ale przecież to nie ma z nami nic wspólnego — zaprotestowała Cynthia. — Maszyny wojenne z pewnością nie są powiązane z Cmentarzem.

— Są — zaprzeczył O'Gillicuddy.

— Dlaczego? — zapytałem. — Co takiego może posiadać Cmentarz, czego one mogłyby chcieć?

— Olej maszynowy.

Jęknąłem. Było to takie proste i logiczne. Powinniśmy dawno o tym pomyśleć. Maszyny miały wbudowane źródło zasilania, prawdopodobnie stos atomowy, chociaż tak naprawdę to wcale nie byłem tego pewien. Potrafiły się same naprawiać, ale jedyną rzeczą, której potrzebowały, były smary.

Cmentarz nie mógł przepuścić takiej okazji. Nie marnował takich szans. Nie pomijał niczego, co mogłoby umocnić jego władzę na Ziemi.

— A Władca Duchów? — zapytałem. — Przypuszczam, że również w jakiś sposób jest w to wmieszany. Przy okazji, gdzie on jest?

— Zniknął — odparł O'Gillicuddy. — Pojawia się to tu, to tam. Właściwie nie jest wcale z nami związany. Nie przebywa ciągle wśród nas. Nie wiemy, gdzie jest.

— Ani kim jest?

— Jak to? Jest Władcą Duchów.

— Nie o to mi chodzi. Pytam, czy jest człowiekiem.

Może zmutowanym człowiekiem. Po wojnie powstało wiele mutacji. Dobrych i złych. Myślę jednak, że z biegiem lat większość tych złych wyginęła. Rabusie na przykład są telepatami i jeden Bóg wie, kim jeszcze. Osadnicy prawdopodobnie również w sobie coś mają, chociaż nie wiemy co. Nawet wy. Duchy...

— Cienie — poprawił mnie.

— W porządku, cienie. Cienie nie są normalną ludzką postacią. Możliwe, że nie istniejecie nigdzie więcej we wszechświecie, tylko na Ziemi. Nikt nie wie, co się tu działo przez te wszystkie lata, kiedy ludzie wyemigrowali do gwiazd. Teraz Ziemia jest zupełnie inna niż wtedy.

— Zbaczasz z tematu — przerwała mi Cynthia. — Pytałeś, czy Władca Duchów ma powiązania z Cmentarzem.

— Jestem pewien, że nie — powiedział O'Gillicuddy. — Nie wiemy, kim jest. Zawsze myślałem o nim jak o istocie ludzkiej. Różni się jednak od ludzi. Jest nieco inaczej zbudowany, nie ma więcej takich jak on i...

— Posłuchaj — przerwałem. — Nie przyszlście tutaj, by dotrzymać nam towarzystwa. Mielście w tym jakiś cel. Nie przybylście również tylko po to, by przynieść nam złe wieści. A więc, o co wam chodzi?

— Jest nas tu bardzo wielu — odparł cień. — Zebrałiśmy się w dużej ilości. Rozesłaliście wieści o zebaniu Klanu, bo wam współczujemy i odczuwamy jakąś dziwną więź z wami. Nikt w historii Ziemi nie igrał jeszcze z Cmentarzem tak jak wy.

— A wam się to podoba?

— Bardzo podoba.

— I przybylście, żeby nas pocieszyć?

— Nie pocieszyć, choć zrobilibyśmy z przyjemnością i to. Wydaje nam się, że w pewnym stopniu możemy wam pomóc.

— Potrzebujemy każdej pomocy, jaką tylko możemy otrzymać — oświadczyła Cynthia.

— Wytłumaczenie tego jest dość skomplikowane — rzekł O'Gillicuddy. — Ale nie mając odpowiedniej wiedzy, musicie zaufać nam na słowo. Będąc takimi istotami, jakimi jesteśmy, nie mamy właściwie realnego, rzeczywistego i namacalnego kontaktu z otaczającym nas wszechświatem. Wydaje się jednak, że jesteśmy w posiadaniu pewnych mocy, dzięki którym możemy wpływać na czas i przestrzeń.

— Chwileczkę — powiedziałem. — Zaczekaj, czyżbyś chciał powiedzieć, że...

— Wierzcie mi. Radziliśmy nad tym długo, ale nie udało nam się wymyślić nic innego. To, co oferujemy, nie jest może czymś wielkim, ale...

— Czyżbyś usiłował powiedzieć, że potraficie przenieść nas w czasie? — zapytała Cynthia.

— Tylko odrobinę — zastrzegł się O'Gillicuddy. — Ułamek sekundy. To w zupełności wystarczy.

— Nigdy dotąd się to nikomu nie udało — zaproponowała Cynthia. — Zagadnienie to studiowano przez ponad czterysta lat i nic z tego nie wyszło.

— Robiliście już to kiedyś? — zapytałem tonem wykluczającym odmowę odpowiedzi.

— Nie. Właściwie nie, ale długo to roztrząsaliśmy i jesteśmy raczej pewni, że...

— Ale niezupełnie pewni?

— Masz rację. Niezupełnie pewni.

— A jeśli już to zrobicie? Co z naszym powrotem? Wcale nie chciałbym całego swojego życia spędzać pozostając o ułamek sekundy za całą resztą wszechświata.

— Pomyśleliśmy i nad tym. Skonstruujemy u wejścia do tej jaskini pułapkę czasową i przez wejście tu...

— Ale tego również nie jesteście pewni.

— No więc... Wystarczająco pewni.

Nie brzmiało to zbyt obiecująco, a na dodatek zadawałem sobie pytanie, jaką mogliśmy mieć pewność, że mówią prawdę? Możliwe, że O'Gillicuddy razem z bandą cieni po prostu chce nas postawić w sytuacji, w której będziemy musieli wyrazić chęć poddania się eksperymentowi, jaki sobie wykombinowali. Poza tym jaką mogliśmy mieć pewność, że cienie istnieją naprawdę? Widzieliśmy je wprawdzie, albo wydawało nam się, że je widzimy, jak tańczą wokół ogniska w osadzie, ale na poparcie ich obecności mieliśmy tylko słowa Władcy Duchów oraz głos, który twierdził, że nazywa się O'Gillicuddy.

Właśnie, co z głosem? Czy to także była imaginacja, jak to, co widzieliśmy w osadzie? Czy w jaskini, kiedy po raz pierwszy do nas przyszedł, też tylko wydawało się nam, że widzimy dziwne zarysy cieni? Kłopot polegał na tym, że nie byłem jedyną osobą, która słyszała ten głos. Cynthia słyszała go tak samo dobrze, a przynajmniej zachowywała się tak, jakby słyszała. A może ja tylko wyobrażałem sobie, że tak się zachowuje? Pomyślałem, że to diabelnie trudna sprawa. Zacząłem od wątpliwości w realność otoczenia, a skończyłem na wątpliwościach do co własnej osoby.

— Cynthia — zapytałem — czy ty rzeczywiście słyszysz...?

Ognisko eksplodowało. Popiół i płonące kamienie posypały się po nas i po całej jaskini. Z zewnątrz doleciał nas jakiś głuchy grzmot, a potem jeszcze jeden, i coś poruszającego się bardzo szybko klasnęło o ścianę za naszymi plecami. Skoczyliśmy na równe nogi. Coś, nie wiem, co to mogło być, ale coś przypominającego ogromną falę przypływu runęło na nas, zawirowało i przetoczyło się po nas. To coś kipiało i wrzało, choć nie była to woda, a potem zniknęło.

Nie poruszyliśmy się. To coś mimo całego wrzenia i kipienia nie wyrządziło nam najmniejszej krzywdy. Staliśmy nieruchomo dokładnie w tym samym miejscu, w którym znaleźliśmy się podrywając się na nogi.

Ogniska jednak nie było. Ani żadnego po nim śladu. A zamiast nocy przed jaskinią panował piękny, słoneczny dzień.

18.

Dolina była inna. Nic takiego, co dałoby się zdefiniować na pierwszy rzut oka i powiedzieć, jakie widzi się różnice w stosunku do wczorajszego dnia. Wyglądała jednak inaczej i gdy staliśmy w wylocie pieczary, powoli zaczęliśmy dostrzegać różniące ją od wczorajszej szczególności. Na przykład było mniej drzew, a na dodatek były one mniejsze. Nie była to już jesień, bo wszystkie drzewa pyszniły się soczystą zielenią. Trawa wydawała się również inna. Nie chodziło o jej bujność ani zieleń — miała jakiś dziwny żółtawy odcień.

— Zrobili to — wyszeptała Cynthia. — Zrobili, nie pytając nas nawet o zdanie.

Stałem i zastanawiałem się, czy to wszystko stanowi dalszą część urojeń. Miałem nadzieję, że tak. Jeśli

O'Gillicuddy był urojeniem, to i ten widok musiał być nim również.

— Ale on twierdził, że będzie to tylko ułamek sekundy — powiedziała Cynthia — i że to wystarczy. Cienka błona czasu, która odgrodzi nas od terażniejszości. Wystarczyłoby mrugnięcie okiem, a bylibyśmy z powrotem.

— Schrzanili robotę — odparłem. — Schrzanili i to bardzo.

Teraz już wiedziałem, że to nie imaginacja. Zostaliśmy przeniesieni w czasie i to o wiele dalej niż mówił O'Gillicuddy.

— Nie próbowali tego nigdy wcześniej — ciągnąłem. — Nie byli nawet zupełnie pewni, że rzeczywiście potrafią to zrobić. Byliśmy ich pierwszym eksperymentem i ci głupcy spartaczyli.

Ruszyliśmy w zalaną słonecznym blaskiem dolinę. Spoglądając w górę skalnych ścian zobaczyłem, że nie rosną tam żadne cedry. Zalała mnie fala złości. Nie byliśmy w stanie określić, jak daleko w przeszłość zostaliśmy odrzuceni. Pomyślałem, że przynajmniej do czasów tuż przed urośnięciem cedrów. A jeżeli pamięć mnie nie myliła, cedr potrzebował bardzo długiego czasu na rozwój. Niektóre z cedrów rosnących na tych skalnych ścianach musiały sobie liczyć po kilkaset lat.

Teraz to już klops, rzekłem sobie w duchu. Byliśmy teraz zagubieni nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. I wcale nie mogliśmy być pewni, że uda nam się powrócić. Pułapka czasowa, powiedział O'Gillicuddy, ale jeśli nie wiedział więcej o pułapkach czasowych niż o przesyłaniu ludzi w czasie, nie mogło być pewności, że potrafi zrobić to, co mówił.

— Jesteśmy daleko w przeszłości, prawda? — zapytała Cynthia.

— Masz rację, do diabła. Jeden Bóg wie jak daleko. I nie przypuszczam, żeby nasze sprytne duchy także to wiedziały.

— Ale rabusie nas napadli, Fletch.

— Oczywiście, że tak. Rozproszenie ich zajęłoby wilkowi całe trzy sekundy. Tak naprawdę wcale nie było potrzeby przesyłania nas w ciemność. O'Gillicuddy spanikował.

— Wilk nie jest już z nami — powiedziała z żalem. — Biedny wilk. Nie udało im się wysłać go z nami. Kto nam teraz będzie łapał króliki?

— Sami będziemy łapać.

— Czuję się samotna bez wilka. Tak niewiele trzeba było czasu, żeby się do niego przywiązać.

— Nie mogli nic na to poradzić. Był tylko robotem.

— Robotem-mutantem.

— Nie ma robotów-mutantów.

— Myślę, że są. Albo mogą być. Wilk się zmienił. Co spowodowało tę zmianę?

— Elmer wbił mu do głowy bojaźń przed Bogiem, kiedy rozprawił się z jego towarzyszami. Wilk szybko pojał, która strona wygrywa, i zmienił poglądy.

— Nie, to nie mogło być tak. Oczywiście, mógł się wystraszyć, ale nie zmieniłby się w taki sposób. Wiesz, co myślę, Fletch?

— Nie mam pojęcia.

— On zmienił się przez ewolucję. Roboty ewoluują.

— Może — odparłem wcale nie przekonany. Musiałem jednak coś powiedzieć, żeby przestała trajkotać. — Chodźmy rozejrzeć się po okolicy. Zorientujemy się, gdzie jesteśmy.

— I w jakim czasie, prawda?

— Właśnie. Jeśli tylko się to uda.

Poszliśmy w dół doliny poruszając się powoli i trochę

niepewnie. Oczywiście nie musieliśmy się teraz śpieszyć, nikt nie deptał nam po piętach. Tkwiło w nas coś w rodzaju niechęci do wyjścia w ten świat. Strach przed tym, co mógł zawierać. Nie wiedzieliśmy, czego oczekiwać po tej nieznannej, obcej epoce, a podświadomie czuliśmy, że nie mamy prawa tu przebywać. Świat ten był jakiś dziwny, nie chodziło tu tylko o brak bujnej, zielonej i soczystej trawy ani o mniejsze drzewa. Jego nieokreślona obcość wywierała nienamacalne, raczej czysto psychiczne odczucie. A więc wędrowaliśmy doliną nie kierując się w żadnym konkretnym kierunku, idąc bez celu. Wzgórza stały się trochę mniejsze, dolina poszerzyła się, a dalej znowu strzelały w niebo niebieskie ściany skalne. Zobaczyliśmy, że dolina, którą się posuwaliśmy, połączyła się z drugą, a po przejściu około mili dotarliśmy do rzeki. Wlewał w nią swoje wody strumień, nad którym szliśmy. Była to szybko płynąca, szeroka rzeka z ciemną i oleistą wodą przemawiającą bulgotliwym, ponurym tonem. Odczuliśmy nieokreślony lęk patrząc na tę wodę.

— Coś tam stoi — powiedziała Cynthia.

Spojrzałem w kierunku, w którym wskazywała.

— Wygląda na dom — dodała.

— Nie widzę żadnego domu.

— Właśnie dojrzałam dach. Albo coś, co wygląda jak dach. Jest ukryty między drzewami.

Dotarliśmy do uprawnego pola, jeszcze zanim zobaczyliśmy dom. W nierównych rzędach rosła mizerna, sięgająca nam do kolan pszenica. Chwasty prawie ją przykrywały. Poletko położone było w zakolu rzeki i otoczone drzewami. Nie zauważyłem nawet śladu po płocie. Gdzieś pośród pszenicy sterczały samotne pniaki. Z jednej strony pola bezlistne szkielety drzew

zgrupowane były w nierówne stosy. Ktoś, nie tak dawno, musiał je wyciąć i odciągnąć na bok, robiąc miejsce pod uprawę. Za polem stał dom. Wybudowano go na podmurówce nieco tylko wyższej od łanu pszenicy. Wyglądał jak rudera nawet z dużej odległości. Gdy się zbliżyliśmy, wrażenie to się pogłębiło. Obok domu znajdował się zapuszczony ogród, a w dali stał następny budynek, który wziąłem za stodołę. Żadnego inwentarza nie można było dostrzec. W ogóle nie było widać w okolicy żywego ducha. Wiało stąd opuszczeniem. Miało się wrażenie, że jeszcze niedawno ktoś tu przebywał, ale teraz odszedł. Przed domem obok otwartych drzwi stała zmurszała ławka, a za nią fotel z poobcinanymi nogami. Tylne obcięte były wyżej, tak że każdy, kto by w nim usiadł, poleciałby do tyłu. Na podwórzu leżało na boku wysłużone wiadro kołyszące się lekko na wietrze. Odpiłowany kawał pnia większego drzewa służył niewątpliwie do rąbania drewna, bo znać było na nim ślady uderzeń siekiery. Na ścianie chałupy wisiała na dwóch kołkach piła. Niżej oparta była motyka.

Gdy podeszliśmy do pieńka, uderzył w nas okropny, słodkawy odór, który nadleciał wraz z podmuchem wiatru. Cofnęliśmy się szybko i fetor zelżał, a potem tak samo nagle jak się pojawił, zniknął. Wydawało nam się jednak, że coś do nas z niego przyłgnęło, czuliśmy się jak skażeni.

— To z domu — powiedziała Cynthia. — Coś tam jest.

Kiwnąłem głową. Miałem okropne uczucie, że dokładnie wiem, co to jest.

— Zostań tutaj — rozkazałem.

Chyba po raz pierwszy w czasie naszej znajomości nie zaoponowała. Była zadowolona, że nie musi tam wchodzić.

Kiedy doszedłem do samych drzwi, odór zaatakował mnie ponownie całym swoim ohydstwem. Przykryłem dłonią usta i nos, i przekroczyłem próg. W środku było ciemno. Stanałem na chwilę krztusząc się i tłumiąc wymioty. Czułem miękkość w kolanach. Tak jakby nagle opuściły mnie siły. Wytrzymałem jednak. Musiałem wiedzieć. Sądziłem, że wiem, ale chciałem mieć pewność. Pomyślałem, że biedna istota, która leżała gdzieś w tym mrocznym pomieszczeniu, miała prawo do tego, by inny człowiek nie odwrócił się od niej ze wstrętem nawet w takich okolicznościach.

Oczy powoli przyzwyczajają się do ciemności. Stał tu prymitywnie wykonany z surowych kamieni kominek i byle jak sklecony krzywy stół ze stojącymi na nim dwiema miskami i rondlem. Na środku pokoju leżało wywrócone krzesło, w kącie kupa złomu. Jakaś ciemna tkanina zwisała ze ściany, chyba było to ubranie. Zobaczyłem też łóżko. Coś na nim leżało. Zmusiłem się, by dać krok naprzód i zobaczyłem to coś na łóżku. Było czarne, opuchnięte, w tej czerni połyskiwały nieruchome gałki oczne. Coś się tu jednak nie zgadzało. Coś bardziej okropnego i przerażającego niż zapach i czarne, spuchnięte ciało. Na poduszce spoczywały dwie głowy. Dwie, nie jedna. Pochyliłem się ze wstrętem, by sprawdzić, czy rzeczywiście widziałem to, co widziałem. Żeby bez żadnych wątpliwości stwierdzić, że te dwie głowy należały do jednego ciała, że wyrastały z jednej szyi. Potem na wpół oślepiony odwróciłem się, zgiąłem w dół i wymiotowałem. Ciągłe wymiotując, potykający się ruszyłem w stronę drzwi, ale kątem oka zahaczyłem o stół. Złapałem trzy stojące na nim naczynia przewracając go i wytoczyłem się na zewnątrz. Przebrnąłem przez podwórze i wtedy ugięły się pode mną kolana.

Usiadłem ciężko na ziemi i otarłem dłonią twarz. Wydawało mi się, że jest brudna.

— Skąd wzięłeś miski? — zapytała Cynthia. Co za cholernie głupie pytanie. A niby skąd miałem je wziąć?

— Jest tu jakieś miejsce, żeby je umyć? Jakaś pompa albo coś w tym rodzaju?

— Za ogrodem płynie mały strumyk. Może jest i źródło.

Nie podnosiłem się. Otarłem dłonią brodę i kiedy na nią spojrzałem, zobaczyłem resztki wymiocin. Wytarłem je w trawę.

— Fletch?

— Tak?

— Tam jest martwy człowiek, prawda?

— Umarł dawno. Wiele dni temu.

— Co z nim zrobimy?

— Jak to co? A co chciałabyś z nim zrobić?

— Czy nie powinniśmy go pochować albo coś w tym rodzaju?

Potrząsnąłem głową.

— Nie tutaj i nie teraz. Co za różnica? I tak tego nie oczekiwałem.

— Co mu się stało? Możesz powiedzieć, na co umarł?

— Nie ma szans.

Stała patrząc na mnie, gdy chwiejnie podnosiłem się na nogi.

— Chodźmy umyć naczynia — zaproponowałem. — Poza tym chciałbym obmyć twarz. Potem nazbieramy trochę warzyw z tego ogrodu i...

— Coś tu nie gra — odpowiedziała. — Tam musiało być coś więcej niż martwy człowiek.

— Mówiłaś wcześniej, że powinniśmy dowiedzieć się, w jakich znajdujemy się czasach. Sądzę, że właśnie się dowiedziałem.

- Masz na myśli tego człowieka?
- To był potwór. Mutant. Miał dwie głowy, dwugłowy mężczyzna.
- Ciagle nie rozumiem, w jaki sposób...
- To znaczy, że cofnęliśmy się o tysiące lat. Powinniśmy byli to podejrzewać. Rzadkie drzewa, żółty kolor trawy. Ziemia łapie dopiero pierwszy oddech po wojnie. Tacy dwugłowi mutanci nie mieli szans na przeżycie. Możliwe, że w latach tuż po wojnie nie było wielu takich ludzi. Za tysiąc lat, lub coś koło tego, nie pozostanie po nich ślad. A w chacie leży właśnie taki mutant.
- Musisz się mylić, Fletch.
- Byłoby lepiej, gdybym się mylił. Niestety jestem pewien.
- Nie potrafię w tej chwili powiedzieć, dlaczego wtedy spojrzałem w górę na stok wzgórza. Może był to czysty przypadek, a może jakiś ruch, który chwyciłem kątem oka. W każdym razie kiedy spojrzałem w górę, dostrzegłem połysk czegoś biegnącego, a właściwie nie biegnącego, bo nie widziałem nóg, ale poruszającego się z ogromną prędkością. Czegoś przypominającego stożek. Zobaczyłem to tylko na ułamek sekundy, potem zniknęło mi z oczu, ale nie mogłem się mylić. Wiedziałem, że nie.
- Widziałaś to, Cynthia?
- Nie — odparła. — Nic tam nie było.
- To był Władca Duchów.
- Niemożliwe. Nie, jeżeli jesteśmy w tak dalekiej przeszłości, jak mówisz. Chyba że...
- Właśnie, chyba że...
- Myślisz o tym samym, co ja?
- Wcale bym się nie zdziwił. Władca Duchów może być tym nieśmiertelnym.
- Ale w manuskrypcie było napisane „Ohio”.
- Wiem. Spójrz jednak na to z innej strony. Twój

przodek był starym, bardzo starym człowiekiem, gdy pisał ten list. Ufał swojej pamięci, a pamięć jest zawodna. Gdzieś kiedyś usłyszał o Ohio. Może ten, który powiedział mu całą tę historię, wspomniał to słowo wcale nie myśląc o rzece, nad którą wszystko się wydarzyło, ale o obszarze, przez który ona płynie. Po wielu latach zaczął myśleć, że miało to miejsce nad rzeką Ohio.

Podeksytowana wciągnęła powietrze.

— To pasuje — powiedziała. — Wszystko się zgadza. Tu płynie rzeka, a tu są wzgórza. To może być to miejsce.

— Gdyby to nie było Ohio — skonstatowałem — gdyby mylił się co do nazwy, mogłoby się to wydarzyć w tysiącu innych miejsc. To niewiele, prawda?

— Ale on mówił, że to był człowiek.

— Napisał, że wyglądał jak człowiek. Wiedział jednak, że nim nie jest. Tkwiło w nim coś dziwnego, coś nieludzkiego. Tak było, kiedy zobaczył go po raz pierwszy.

— Myślisz, że tak mogło być?

— Sądzę, że tak.

— Jeśli to był Władca Duchów, to dlaczego uciekał? Zna nas przecież... Och, nie, to nie tak. Oczywiście, że nas nie zna, jeszcze nas nie spotkał. Stanie się to dopiero po stuleciach. Jak ci się wydaje, uda nam się go odnaleźć?

— Możemy spróbować.

Ruszyliśmy w górę zbocza. Zapomnieliśmy o miskach. Zapomnieliśmy o warzywach i ogrodzie. Nie myślałem już o wymiocinach na mojej brodzie. Stok piął się stromo i trudno było się po nim wspinać. Rosły tu drzewa i poplątane krzaki. Gdziekolwiek pojawiała się naga skała, zbyt stroma na nasze możliwości, musieliśmy więc ją obchodzić. Miejscami poruszaliśmy się na brzuchu czepiając się drzew i krzaków, a miejscami na

czworakach. Gdy tak się wspinałem, gdzieś w środku głowy wibrowała myśl, dlaczego z takim szaleńczym zapamiętaniem dążymy pod górę, czy to nasza sytuacja tak nas ponaglała? Jeśli dom nieśmiertelnego stał gdzieś na tym wzgórzu, to nawet gdy pójdziemy powoli, pozostanie tam, aż dotrzemy na szczyt. A jeśli go tam nie było, nasz pościg również nie miał sensu. Poszukiwania zaś samego Władcy Duchów są z góry skazane na niepowodzenie. Kontynuowaliśmy jednak pośpieszną wspinaczkę, aż drzewa poczęły rzednąć i w końcu wyłonił się przed nami nagi wierzchołek wzgórza ze stojącą na nim chatą. Była to stara, zniszczona budowla, już na pierwszy rzut oka mająca wiele lat, ale w żaden sposób nie przypominała domostwa, w którym odkryliśmy martwego mutanta. Parkan z równo przyciętych, niedawno pomalowanych na biało sztachet otaczał chatę. Rosło tu kwitnące drzewo obsypane różowymi kwiatami, a wokół ogrodzenia pięły się róże.

Padliśmy na ziemię, ciężko dysząc. Wygraliśmy wyścig i znaleźliśmy chatę. W końcu usiedliśmy i spojrzeliśmy po sobie.

— Przedstawiasz niezły widok — odezwała się Cynthia. — Pozwól, że cię wytrę.

Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i wytarła mi twarz. Potem wstaliśmy i przytuleni do siebie, jak zaproszeni goście ruszyliśmy w stronę domu. Gdy przeszliśmy przez furtkę, zobaczyliśmy mężczyznę czekającego na nas w drzwiach.

— Obawiałem się — powiedział — że możecie zmienić zamiar i że nie przyjdziecie.

— Bardzo przepraszamy — odparła Cynthia. — Trochę się spóźniliśmy.

— • Nie szkodzi. Lunch właśnie postawiono na stole.

Był wysokim, szczupłym mężczyzną ubranym w ciem-

ne spodnie i jaśniejszą kurtkę. Nosił białą koszulę rozpiętą na szyi. Twarz miał mocno opaloną, falujące białe włosy i gęstą, ale równo przyciętą bródkę.

Weszliśmy do środka całą trójką. Pomieszczenie okazało się niewielkie, ale urządzone ze smakiem, którego trudno było oczekiwać. Pod jedną ścianą stał kredens, a na nim dzbanek. Pokryty białym obrusem stół zajmował środek pokoju. Zastawiono go srebrem i mieniącymi się kryształami. Wokół stołu stały trzy krzesła w głębokim po kostki dywanie, a na ścianach wisiało kilka malowideł.

— Proszę usiąść tutaj, pani Lansing — powiedział nasz gospodarz wskazując krzesło. — Pana Carsona proszę naprzeciwko. Możemy zaczynać. Jestem pewien, że zupa jest jeszcze gorąca.

Nie było tu nikogo więcej, tylko nasza trójka. No i oczywiście, pomyślałem, ktoś musiał przygotować naszemu gospodarzowi lunch, ale nie było widać śladu tej osoby. Kuchni także. Zabłysła mi pewna myśl, która zgasła tak samo szybko, jak się pojawiła, bo zupełnie nie pasowała do tego otoczenia.

Zupa smakowała wspaniale. Sałata była soczysta i zielona, a frytki wysmażone do perfekcji. Wino sprawiało rozkosz podniebieniu.

— Być może, zainteresuje was fakt — powiedział wspaniałomyślny gospodarz — że bardzo dokładnie przemyślałem to, co mi powiedzieliście ostatnim razem, gdy się widzieliśmy. Zgromadzenie doświadczeń nie tylko jednego człowieka, ale wielu, uważam za bardzo interesujące i zabawne. Pomyślcie o zapasach, których można by używać w przyszłych latach samotności, kiedy zmaleją szansę przeżycia czegoś nowego i gdy wszyscy dawni przyjaciele nie będą już istnieć. Wystarczy sięgnąć na półkę i zdjąć pojemnik, który zamknęliśmy, czy też

zakorkowaliśmy, nie wiem jakiego właściwego słowa należałoby tu użyć, powiedzmy sto lat temu, i odkorkowując go przeżyć tę samą rzecz jeszcze raz. Na świeżo, wyraziście, tak samo jak wtedy, kiedy coś się stało po raz pierwszy.

Słuchałem tego wszystkiego zdziwiony, ale nie tak bardzo, jak powinienem. Jak człowiek, który wie, że śni fantastyczny sen, ale nawet we śnie wie, że śni, a mimo to nie może nic zrobić, by ten stan przerwać.

— Usiłowałem sobie wyobrazić — kontynuował nasz gospodarz — różne zawartości takich paczek, które chcielibyśmy gromadzić. Oprócz przeżycia samego w sobie, powinniśmy uwzględnić oczywiście dodatkowe czynniki, które służyłyby jako tło danego zdarzenia. To znaczy dźwięki, wiatr i słońce, chmury płynące po niebie, kolory i zapachy. Taka paczka, żeby dać pożądane odczucia, musiałaby być skonstruowana na tyle doskonale, na ile tylko można. Musiałaby zawierać wszystkie te elementy, które sprawiałyby, że wspomnienia sprzed lat stałyby się absolutnie autentyczne. Co pan na to, panie Carson?

— Tak — odparłem. — Myślę, że tak.

— Zastanawiałem się również — ciągnął — według jakich kryteriów trzeba by selekcjonować przeżycia do zapakowania. Czy mądrym byłoby wybieranie tylko przyjemnych, czy też należałoby mieszać je z mniej przyjemnymi? Może dobrze by było zachować kilka takich wprawiających w zmieszanie, żeby nie być za bardzo w sobie zadufanym?

— Myślę — powiedziała Cynthia — że należałoby wybrać szeroką ich gamę, upewniając się oczywiście, iż dostateczną ilość pojemników przeznaczymy na te najbardziej satysfakcjonujące. Gdyby w przyszłości nie

było potrzeby używania tych mniej przyjemnych, to pozostałyby one po prostu nie tknięte na półce.

— A wiecie — rzekł gospodarz — że taka dokładnie była i moja myśl?

Wszystko to brzmiało ładnie. Nawet jeżeli nie było prawdą, chciało się wierzyć, że jest. Zorientowałem się, że wstrzymuję oddech, tak jakbym się bał, że przez westchnienie iluzja może się rozpuścić.

— Jest jeszcze jedna rzecz, którą trzeba wziąć pod uwagę — kontynuował. — Czy mając takie możliwości, pozostaniemy usatysfakcjonowani rejestrowaniem naturalnych zdarzeń zaistniałych w życiu, czy też będziemy próbować stworzyć takie zdarzenia, które przypuszczalnie mogą się nam przydać w przyszłości?

— Uważam — powiedziałem — że najlepiej byłoby zbierać je, jak leci. Wydaje mi się to bardziej uczciwe.

— A na dodatek — dodał — zacząłem rozmyślać nad światem, w którym nikt nie dorósł do swojego wieku. Przyznaję, oczywiście, że jest to swego rodzaju akrobacja myślowa, takie przeskakiwanie z jednego pomysłu na drugi. W świecie, w którym ktoś mógłby gromadzić swoje doświadczenia, byłby po prostu w stanie przeżyć je jeszcze raz w przyszłości. Natomiast w świecie wiecznej młodości nie byłoby potrzeby takiego gromadzenia. Każdy nowy dzień przynosiłby tę samą świeżość i takie samo zainteresowanie, jak w świecie dzieci. Nie byłoby świadomości śmierci ani strachu zrodzonego obawą o przyszłość. Życie byłoby wieczne i nikt nie myślałby o zmianach. Każdy istniałby w jakiejś wiecznej matrycy i chociaż jeden dzień niewiele różniłby się od następnego, nikt nie zdawałby sobie z tego sprawy i nikt by się nie nudził. Sądzę jednak, że już za długo rozwodzę się na ten temat.

Mam tu coś, co chciałbym wam pokazać. Ostatnia zdobycz.

Wstał od stołu i podszedł do kredensu podnosząc dzban. Podał go Cynthii mówiąc:

— To hydria, dzban na wodę. Z szesnastowiecznych Aten. Wspaniały okaz reprezentujący styl czarnej rzeźby. Garncarz wziął czerwoną glinę, którą potem nieco stonował żółtą, a następnie pokrył ozdoby lśniąca czarna glazurą. Jeśli przyjrzyście się denku, zobaczycie znak tego garncarza.

Cynthia przekreśliła dzbanek do góry dnem.

— Co on oznacza? — zapytała pokazując palcem jakiś symbol.

— Można to przetłumaczyć jako: „Nichosthenes mnie stworzył”.

Podała mi dzban ponad stołem. Był cięższy, niż przypuszczałem. Na ściance pokrytej glazurą wyrzeźbiono martwego wojownika z tarczą w jednej ręce, który leżąc trzymał jeszcze włócznię w taki sposób, że opierała się drzewcem o ziemię, wskazując ostrzem w niebo. Obróciłem dzban i moim oczom ukazał się drugi malunek — następny wojownik opierający się o swoją tarczę ze złamaną włócznią o stóp. Wyraźnie było widać, że był zmęczony i pokonany, znużenie i poddanie się losowi uwidoczniło się w każdym jego rysie.

— Ateński, powiedziałeś?

Kiwnął głową.

— To było bardzo szczęśliwe znalezisko. Doskonały przykład najlepszej greckiej ceramiki tego okresu. Zwróćcie uwagę na to, że postacie są stylizowane. W tamtych czasach garncarze nie przykładali wagi do dokładnego oddania realnej postaci. Zajmowali się ornamentacją, a nie jej formą.

Wziął ode mnie dzban i postawił go z powrotem na kredensie.

— Obawiam się — rzekła Cynthia — że musimy już iść. Robi się późno. To był wspaniały lunch.

Dotąd wszystko wydawało mi się dziwne, chociaż całkiem znośne. Teraz jednak uczucie to się pogłębiło, a rzeczywistość stała się tak mglista, że niewiele z tego pamiętam, aż do momentu gdy przekroczyliśmy ogrodzenie. Wtedy realizm otoczenia powrócił i obejrzałem się za siebie. Dom stał na miejscu, chociaż wydawał się jeszcze bardziej zniszczony i zrujnowany niż uprzednio. Drzwi stały na wpół otworem, kołysząc się na wietrze smagającym wierzchołek wzgórza. Okna były powybijane, a po ogrodzeniu i kwitnącym drzewie nie pozostało ani śladu.

— Omamiono nas — stwierdziłem.

Cynthia zachłysnęła się:

— To było takie realne.

Kołatało mi się w głowie pytanie, dlaczego ten człowiek, kimkolwiek był, zrobił to. Po co mu były takie magiczne sztuki? Dlaczego nie pozwolił nam po prostu podejść do opuszczonego, zniszczonego upływem czasu domu, w którym najwyraźniej nikt nie mieszkał od lat? To chyba lepiej posłużyłoby jego celom. W takim wypadku obejrzelibyśmy chałupę i poszli dalej.

Podszedłem do drzwi z Cynthia następującą mi na pięty i wszedłem do środka. Wnętrze właściwie nie zmieniło się w porównaniu z naszą iluzją, tyle że już nie było schludne i przyjemne. Na podłodze nie leżał dywan, a na ścianach nie wisały obrazy. Stół i krzesła stały pośrodku w takim samym położeniu jak wtedy, gdy na nich siedzieliśmy. Błat jednak był goły. Kredens nadal znajdował się na swoim miejscu, tak samo jak dzban.

Przeszedłem przez pokój i uniosłem go. Zbliżyłem się do drzwi, gdzie światło było lepsze. Na tyle, na ile się znałem, stwierdziłem, że to ten sam dzban, który pokazywał nam nasz gospodarz.

— Czy wiesz coś na temat greckiej ceramiki? — zapytałem Cynthii.

— Tylko tyle, że była czarna i czerwona. Czarna jest wcześniejsza.

Potarłem kciukiem o znak na denku.

— A więc nie wiesz, czy jego interpretacja tego napisu była prawdziwa?

Potrząsnęła głową.

— Wiem, że garncarze używali takich znaków, ale nie umiem ich odczytywać. Jest jednak jeszcze coś. Ten dzban wygląda na zbyt nowy, tak jakby ulepiono go bardzo niedawno. Nie ma śladów zużycia ani starzenia się. Takie rzeczy przeważnie znajduje się na wykopaliskach. Leżały w ziemi całymi latami. Ten jednak wygląda, jakby nigdy nie był zakopany.

— Nie sądzę, by kiedykolwiek był w ziemi — powiedziałem. — Anachroniści musieli go przechwycić w tym momencie, kiedy go wyprodukowano, albo krótko po tym, jako egzemplarz okazowy mistrzowskiej roboty. Opiekowano się nim troskliwie, jako częścią całej kolekcji przez stulecia.

— Jak myślisz, kim on był?

— A kim mógł być? Nikim innym, tylko Anachronistą. Kto inny w tym zniszczonym świecie mógłby posiadać coś takiego?

— Ale on jest jednocześnie tak wieloma osobami. Władcą Duchów, dystyngowanym mężczyzną, który zaprosił nas na lunch, a także innym człowiekiem, takim, jakiego widział mój przodek.

— Mam przeczucie, że może być, kimkolwiek zechce.

Albo przynajmniej umie przekonać innych, że jest tym, kim chce być. Przypuszczam, że jako Władca Duchów pokazuje nam swoje prawdziwe oblicze.

— W takim razie pod naszymi stopami znajduje się skalny tunel i jaskinia pełna skarbów. Musimy tylko znaleźć do niej wejście.

— Tak. A kiedy je znajdziemy, to co zrobimy? Usiądziemy i będziemy się przyglądać? A może pokołyszemy te przedmioty w ramionach?

— Ale teraz wiemy, gdzie to jest.

— Zgadza się. Jeśli potrafimy wrócić do naszych czasów, jeśli cienie wiedzą, co robią, jeśli rzeczywiście istnieje pułapka czasowa, to czy powrót zajmie nam dziesięć tysięcy ziemskich lat...?

— Wierzysz w to, co mówisz?

— Powiedzmy, że uważam to za możliwe.

— Och, Fletch, a jeżeli nie ma żadnej pułapki czasowej? Jeśli będziemy zmuszeni zostać tu na wieki?

— Zrobimy, co będziemy mogli. Na pewno znajdziemy jakiś sposób.

Wyszliśmy na zewnątrz i ruszyliśmy w dół zbocza. Pod nami płynęła rzeka, rozpościerało się pole pszenicy, a w środku tej panoramy tkwił otoczony warzywnym ogrodem dom, w którym spoczywał martwy człowiek.

— Nie wydaje mi się — odezwała się Cynthia — żeby istniała jakaś pułapka czasowa. Cienie nie są naukowcami, to amatorzy. Powiedzieli, że to będzie ułamek sekundy, a wysłali nas aż tutaj.

Mruknałem coś niewyraźnie. Nie było teraz czasu na takie rozważania. Ona jednak nalegała. Położyła mi rękę na ramieniu, bym się zatrzymał. Odwróciłem się.

— Fletch — powiedziała. — Musi być jakieś wyjście. Na pewno można po czymś poznać, czy nie ma czasowej pułapki.

- Może jest.
— A jeśli nie?
— W takim wypadku zejdziemy do tej doliny, oczyścimy chatę i będziemy tam mieszkać. Są tam narzędzia. Zbierzemy pszenicę i zasiejemy nową. To samo zrobimy z ziarnem z ogrodu. Będziemy łowić ryby, będziemy polować, będziemy żyć.
— I będziesz mnie kochał, Fletch?
— Tak — odparłem. — Będę cię kochał. Myślę, że już cię Kocham.

19.

Szliśmy przez pole, a ja zastanawiałem się, czy Cynthia mogła mieć rację. Nie dlatego, że O'Gillicuddy i jego towarzysze byli partaczami, ale dlatego, że na przykład należeli do Cmentarza. O'Gillicuddy, kiedy go o to zapytałem, wyraźnie i starannie stwierdził, że Cmentarz nie ma na nich żadnego haka, bo nie było takiej rzeczy, której mogliby potrzebować od korporacji, a ta z kolei w żaden sposób nie mogła im wyrządzić krzywdy. Wyglądało to na prawdę, ale czy było prawdą? A jakiego lepszego narzędzia mógł użyć Cmentarz, by się nas pozbyć? Co mogło być lepsze od O'Gillicuddy'ego i jego towarzyszy potrafiących manipulować czasem? Umieszczenie nas w innej czasoprzestrzeni bez możliwości powrotu zapewniało Cmentarzowi spokój

i gwarancję, że już więcej nie będziemy się wtrącać w jego interesy.

Pomyślałem o swoim różowym świecie, o Aldenie — była to również ojczyzna Cyntbii. Pomyślałem o Thorneyu przemierzającym w tę i z powrotem gabinet, rozprawiającym o dawnej i zapomnianej cywilizacji Anachronu oraz rabusiach grobów, odbierających archeologom ich jedyną szansę studiowania starożytnych kultur. Pomyślałem również z pewną goryczą o swoich własnych planach, o stworzeniu kompozycji o Ziemi. Głównie jednak rozmyślałem o Cynthii i parszywej sytuacji, w jaką się wpakowała. Ona z nas wszystkich miała najmniej do zyskania z tej zwariowanej wyprawy. Posłużyła na początku jako chłopiec na posyłki staremu Thorneyowi, no i do czego ją to doprowadziło?

Jeżeli nie było żadnej pułapki czasowej, to co moglibyśmy zrobić innego niż to, co powiedziałem? Nie umiałem wymyślić nic mądrzejszego, w najlepszym wypadku czekała nas smutna, jałowa przyszłość. Nie będzie to życie, do jakiego byliśmy stworzeni, ani ja, ani Cynthia. Wkrótce nadejdzie zima i jeżeli pułapka nie zadziała, zostanie nam bardzo niewiele czasu, by się do chłódów przygotować. Będziemy jednak musieli w jakiś sposób przetrwać, a kiedy nastanie wiosna, może wymyślimy coś lepszego.

Starałem się nie myśleć o tym wszystkim, bo wolałem zachować nadzieję. Nie mogłem jednak oderwać myśli od ponurych wizji. Sama przerażająca perspektywa naszego losu zdawała się mnie fascynować.

Zeszliśmy do doliny i wędrowaliśmy wzdłuż rzeki, dopóki nie dotarliśmy do zagłębienia w skale, w którym uprzednio schroniliśmy się przed rabusiami. Nie odzywaliśmy się do siebie. Przypuszczam, że żadne z nas nie miało zaufania do własnego głosu.

Skręciliśmy za róg i zamarliśmy w bezruchu. Przed nami stały dwie maszyny wojenne. Nie mogło być mowy o pomyłce. Nawet bez opowiadań Elmera rozpoznałbym, do czego służą.

Były ogromne. Musiały takie być, żeby pomieścić całe arsenały. Około stu stóp długości, mniej więcej połowę tego szerokie i wznoszące się na dwadzieścia stóp, stały jedna obok drugiej i wyglądały wyjątkowo szkaradnie. Szokowały siłą i brzydotą. Przypominały jakieś monstrualne poczwary. Człowiek zaczynał się bać od samego patrzenia.

Staliśmy wpatrując się w nie, a one przyglądały się nam. Jedna z maszyn przemówiła, nie można było stwierdzić która.

— Nie uciekajcie. Nie bójcie się nas. Chcemy z wami porozmawiać

— Nie będziemy uciekać — zapewniłem. Ucieczka na nic by się nie zdała. Gdyby chciały, dopadłyby nas w ciągu minuty, byłem tego pewien.

— Nikt nie chce nas słuchać — powiedziała maszyna ze smutkiem. — Wszyscy od nas uciekają. A moglibyśmy być przyjaciółmi ludzi. Sami przecież jesteśmy także ludźmi.

— Wysłuchamy was — odezwała się Cynthia. — Co macie nam do powiedzenia?

— Pozwólcie, że się przedstawimy. Ja jestem Joe, a on Iwan.

— A ja mam na imię Cynthia, ten mężczyzna to Fletcher.

— Dlaczego nie uciekacie przed nami?

— Bo się nie boimy — ze sposobu, w jaki to powiedziała, wyraźnie wyczułem, jak bardzo się boi.

— Bo ucieczka nie miałaby sensu — dodałem.

— Jesteśmy dwoma starymi weteranami — rzekł

Joe. — Jesteśmy daleko od domu, a wojna skończyła się wiele lat temu. Pragniemy zrobić wszystko, co tylko możliwe, by odbudować spokojny świat. Przewędrowaliśmy ogromne odległości, a kilku ludzi, których spotkaliśmy, nie wyraziło zainteresowania tym, co im oferowaliśmy. Prawdę mówiąc, wydało mi się, że żywią do nas dużą awersję.

— To rozumiałe — stwierdziłem. — Wy, albo tacy jak wy, stworzyli ludziom piekło, zanim skończyła się wojna.

— Nic podobnego — zaprotestował Joe. — Nigdy nie wystrzeliliśmy żadnego pocisku. Żaden z nas. Wojna zakończyła się, zanim weszliśmy do walki.

— Jak dawno się to stało?

— Nicco więcej niż półtora tysiąca lat temu.

— Jesteś tego pewien?

— Naturalnie. Możemy podać wam dokładniejszy czas, jeśli ma to jakieś znaczenie.

— To nieistotne — odparłem. — W przybliżeniu też wystarczy.

A więc, powiedziałem sobie w duchu, ułamek sekundy okazał się osiemdziesięcioma stuleciami.

— Zastanawiam się — zapytała Cynthia — czy któryś z was przypomina sobie może robota o imieniu Elmer?

— Elmer?!

— Tak, Elmer. Mówił, że był czymś w rodzaju nadzorca przy budowie ostatniej z maszyn bojowych.

— Znacie Elmera? Czy to możliwe? Możecie nam powiedzieć, gdzie on jest?

— Spotkaliśmy go w przyszłości — odparłem.

— To nie może być prawdą — rzekł Joe. — Nie spotyka się ludzi w przyszłości.

— To długa historia. Opowiemy wam ją kiedy indziej.

— Musicie powiedzieć mi teraz — obruszył się Joe. —

Elmer to mój stary przyjaciel. Pracował nade mną. Nad Iwanem nie, on jest Rosjaninem.

Stało się dla mnie jasne, że teraz nie będziemy mogli się od nich odczepić. Iwan nie powiedział ani słowa, ale Joe się rozgadał. Nareszcie znalazł kogoś, kto skłonny był go wysłuchać, i nie zamierzał z tego rezygnować.

— Nie ma sensu, abyście tak tu stali przed nami — powiedział. — Dlaczego nie wejdziecie na pokład?

W jego przedniej części otworzyła się pokrywa ukazująca małe pomieszczenie, a w dół na teleskopowych wysięgnikach zjechały schodki.

— To pomieszczenie mechanika — wyjaśnił Joe. — Jego przeznaczeniem była ochrona człowieka w trakcie pracy nad nami. Przypuszczam jednak, że żaden mechanik nigdy nie musiał się tu chronić, by nas naprawiać. Przynajmniej ze mną tak było i wydaje mi się, że z innymi również. Gdy coś się nam przytrafiło, przeważnie chodziło o bardzo poważne uszkodzenia i ponowne uruchomienie wymagało dużego wysiłku. Myślę, że tylko niektórzy z nas powrócili do domów. Taka była wtedy tradycja. Oczywiście do pewnego stopnia potrafiliśmy się sami naprawiać. Gdy jednak uszkodzenie przekraczało nasze możliwości, nie mogliśmy wiele zdziałać. Ale skończmy ze wspomnieniami, proszę na pokład.

— Myślę, że wszystko będzie w porządku — rzekła Cynthia.

Nie za bardzo podzielałem jej optymizm.

— Oczywiście, że tak — zagrmiał Joe. — To niewielkie pomieszczenie, ale całkiem wygodne. Jeśli jesteście głodni, jestem w stanie podać wam jakąś odżywkę. Może niezbyt smaczną, ale na pewno wysokiej wartości energetycznej. Przewidziano ją dla hipotetycznych mechaników, gdyby zmęczeni się przy pracy.

— Nie, dziękujemy bardzo. Właśnie jedliśmy lunch.

Wspięliśmy się po schodkach do wnętrza maszyny. W rogu niewielkiego pokoiku stał stół, obok piętrowe łóżko, a wzdłuż ściany ławka. Siedliśmy na ławce. Tak jak powiedział Joe, pomieszczenie było małe, ale wygodnie urządzone.

— Witajcie na pokładzie — oświadczył dumnie Joe. — Miło mi, że skorzystaliście z zaproszenia.

— Interesuje mnie jedna rzecz, o której mówiłeś — zagała Cynthia. — Powiedziałeś, że Iwan to Rosjanin.

— A tak, rzeczywiście. Sądzę, iż uważacie, że Rosjanie byli naszymi wrogami. Tak było faktycznie. W jaki sposób zaprzyjaźniliśmy się, to historia całego życia. Kiedy ukończono budować mnie i przygotowano do wojny, przetestowany i zaopatrzony w amunicję wyruszyłem przez Kanadę i Alaskę, a potem pod wodą Cieśniny Beringa, by dotrzeć do Syberii. Meldowałem od czasu do czasu do bazy o swoim postępowaniu, ale nie za często, żeby mnie nie wykryto. Zostałem oczywiście wcześniej zaznajomiony z celami ataku, lecz docierając do nich stwierdzałem, że zostały już zneutralizowane. Na krótko po osiągnięciu pierwszego z celów straciłem łączność ze swoimi i potem już nigdy jej nie nawiązałem. Byłem zupełnie odcięty. Na początku myślałem, że to tylko przejściowa usterka w funkcjonowaniu urządzeń komunikacyjnych, ale po jakimś czasie doszedłem do wniosku, że musiało to być coś więcej, coś ważniejszego. Zastanawiałem się, czy moja ojczyzna została wreszcie rzucona na kolana, czy też może ośrodki dowodzenia przeniesiono głębiej pod ziemię. Powiedziałem sobie, że jakkolwiek była przyczyna, wykonam swoją misję. Byłem patriotą, prawdziwym patriotą. Rozumiecie znaczenie tego terminu?

— Jestem studentką historii — odpowiedziała Cynthia. — Znam to słowo.

— A więc kierując się patriotyzmem posuwałem się dalej. Dotarłem do wszystkich przydzielonych mi celów tylko po to, by zobaczyć, że już ich nie ma. Nie skończyłem na tym. Krążyłem w poszukiwaniu tego, co dawniej nazywano przytrafiającymi się okazjnie celami. Prowadziłem nasłuch atmosferycznych sygnałów, które mogłyby zdradzić ukrytą bazę. Nie zarejestrowałem jednak niczego ani z naszej, ani z ich strony. Nie było nadarżających się celów. Czasami natrafiałem na małe zbiorowiska ludności, które rozbiegały się i ukrywały przede mną. Nie zajmowałem się nimi. Jako cele byli za mało istotni. Nie używa się nuklearnych ładunków do unicestwiania setki ludzi. Szczególnie gdy śmierć takiej setki nie przynosi żadnej taktycznej przewagi. W swej wędrówce znalazłem tylko zrujnowane miasta, w których żyły być może jeszcze grupki ludzi. Widziałem spalone lasy, ogromne kratery szerokie na całą milę, a sięgające skalistego podłoża Ziemi, chmury trującego gazu, setki mil bogatego niegdyś kraju zredukowane do nicości. Tylko gdzieniegdzie sterczały kikuty martwych lub umierających drzew na czarnym podłożu. Trawy nie było wcale. Nie jestem w stanie tego opowiedzieć, tak samo jak wy nie potraficie sobie wyobrazić ogromu zniszczeń. Zawróciłem więc do domu. Poruszałem się powoli, nie miałem powodów do pośpiechu, a dużo musiałem przemyśleć. Nie będę was obarczał tymi myślami, żalem, smutkiem i poczuciem winy. Nie byłem już patriotą. Wyleczyłem się z patriotyzmu.

— Jedna rzecz mnie zastanawia — przerwał mu. — Wiem, że jest was więcej, to znaczy istot ludzkich zawartych w maszynie. Mimo to mówisz o sobie w liczbie pojedynczej.

— Kiedyś było nas więcej — odparł Joe. — Pięciu. Pięciu mężczyzn skłonnych poświęcić swoje ciała i swoje

pozycje w społeczeństwie, żeby kierować maszyną bojową. Był profesor matematyki, bardzo szanowany naukowiec, generał armii, znany astronom, dawny makler giełdowy i, co wydaje się najmniej prawdopodobne, jak myślę — poeta.

— I ty jesteś poetą?

— Nie. Nie wiem, kim jestem. Myślę, że jestem całością, całą piątką. Nie jesteśmy już oddzielnymi umysłami. Staliśmy się w jakiś dziwny sposób, którego nie potrafię pojąć, jednym. Czasami sam się dziwię, że jako jeden umysł ciągle potrafię rozpoznać w sobie każdego z nas oddzielnie. Mimo to jednak cały czas czuję się jedną osobowością. Czasami na zmianę czuję się to jednym, to drugim, ale przeważnie jestem wszystkimi na raz. Tak samo rzecz się ma z Iwanem, chociaż on jest tylko czterema umysłami. On też czuje się jednością.

— Wyłączyliśmy Iwana z naszej rozmowy — rzekła Cynthia.

— Wcale nie. Jest aktywnym słuchaczem. Może sam przemówić, albo też przeze mnie, jeśli ma takie życzenie. Chcesz coś powiedzieć, Iwan?

Odezwał się głębszy, grubszy głos:

— Opowiadasz to bardzo dobrze, Joe. Dlaczego miałbym się wtrącać?

— A więc, tak jak już mówiłem — rzekł Joe — wracałem do domu. Po drodze natrafiłem na obszar prerii, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Myślę, że to były stopy. Tam właśnie dostrzegłem starego Iwana. Był daleko, widziałem go jako drobny punkcik na horyzoncie, ale gdy użyłem teleskopu, widziałem, kim jest. Moim wrogiem. Prawdę powiedziawszy, trudno mi było wtedy myśleć o kimś jak o wrogu. Poczuję raczej coś w rodzaju podniecenia na myśl o tym, że na

równinie jest ktoś podobny do mnie. Inna istota, ale jednak istota. Iwan powiedział mi później, że zareagował w taki sam sposób. Wtedy nie mogliśmy wiedzieć, co myśli drugi. Obaj zaczęliśmy więc manewrować i muszę przyznać, że próbowaliśmy różnych sztuczek. Kilkakrotnie miałem go na celowniku i mogłem wystrzelić. Coś mnie jednak wstrzymywało i nie zrobiłem tego. Iwan z jakiejś przyczyny nie chciał przyznać, że tak samo było z nim, ale jestem tego pewien, jak siebie samego. Iwan był zbyt dobrą maszyną, żeby nie udało mu się mnie namierzyć. Tak więc nasz pojedynek ciągnął się przez jeden czy dwa dni, aż wreszcie zaczęło to być śmieszne. W końcu powiedziałem coś w rodzaju tego: „OK, skończmy z tym. Obaj cholernie dobrze wiemy, że żaden z nas nie chce walczyć. Jesteśmy prawdopodobnie jedynymi pozostałymi machinami wojennymi. Wojna się skończyła i walka nie ma sensu, dlatego więc nie mielibyśmy zostać przyjaciółmi?” Iwan wprawdzie nie protestował, ale nim zgodził się na moją propozycję, upłynęło trochę czasu. W końcu jednak przystał na nią. Ruszyliśmy prosto na siebie powoli i ostrożnie, aż zetknęliśmy się nosami. Staliśmy tak nos w nos nie wiem ile czasu. Może dnie, może miesiące, a może lata. Zresztą nie istniała przyczyna, dla której powinniśmy coś rzeczywiście zrobić. Praca, do której nas stworzono, nie istniała. Na całym świecie nie było już zapotrzebowania na nasze usługi. Maszyny wojenne stały się niepotrzebne. A więc sterczeliliśmy na tej zapomnianej przez Boga równinie, jedyne na wiele mil istoty, zetknięci nosami. Rozmawialiśmy ze sobą i po jakimś czasie tak dobrze poznaliśmy się, że przez dłuższe okresy czasu nie odczuwaliśmy potrzeby rozmowy. Bezczynność bynajmniej nam nie przeszkadzała. Wystarczało, że jesteśmy razem, że nie zagraża żadnemu samotność. Być może,

wydaje się to dziwne, że dwie potężne, brzydkie maszyny zaprzyjaźniły się, ale nie można zapominać, iż byliśmy również ludźmi. Wtedy wprawdzie jeszcze nie scalonymi umysłami. We mnie było ich pięć, a w nim cztery. Razem dziewięć osobowości. Wszyscy byliśmy inteligentni, wykształceni, toteż wiele mieliśmy sobie do powiedzenia.

W końcu obaj zaczęliśmy zdawać sobie sprawę z tego, jak beznadziejnym i bezsensownym było nasze pozostawanie w tym samym miejscu. Zaczęliśmy zastanawiać się, gdzie na świecie mogą jeszcze znajdować się ludzie i w jaki sposób moglibyśmy im pomóc, jeśli zamierzali się podźwignąć z wojennych zniszczeń. Cała nasza dziewiątka dysponowała dużą wiedzą, która mogła okazać się przydatna, i byliśmy źródłami energii, którą jeśli znajdzie się sposób, można by wykorzystać.

Iwan powiedział, że podążanie na zachód jest bez sensu. Azji już nie ma, widział to na własne oczy. Stwierdził też, że dostatecznie długo wąchał się po Europie, by zrozumieć, że tam również nic się nie ostało. Owszem, zauważał czasami grupy ludzi, którzy zdążyli już stać się barbarzyńcami, i było ich za mało, by mogli stworzyć bazę ekonomiczną. Ruszyliśmy więc na wschód, do Ameryki. Znaleźliśmy tam w niektórych miejscach małe, porzucane osady, nie za wiele, ale kilka, w których człowiek zaczynał stawać na nogi, i na pewno nasza pomoc bardzo by się tam przydała. Nie pomogliśmy jednak nikomu. Ludzie nie chcieli nas słuchać. Uciekali wrzeszcząc z przerażenia, chowając się między drzewa, gdziekolwiek się pojawiliśmy. Nie odzywali się do nas, mimo iż usiłowaliśmy ich przekonać o naszych dobrych zamiarach i chęci niesienia pomocy. Wy jesteście pierwszymi ludźmi, którzy z nami rozmawiają.

— Cały kłopot w tym — powiedziałem — że rozmowa

z nami niewiele wam da. Nie jesteśmy z tego czasu. Przybyliśmy z przyszłości.

z— Aha, przypominam sobie teraz, że mówiliście, iż znacie Elmera z przyszłości. Gdzie on teraz jest?

— W tej chwili gdzieś między gwiazdami.

— Między gwiazdami? Jak mógł Elmer..

— Słuchajcie, spróbuję wam to wyjaśnić. Kiedyś, kiedy stało się jasne, jak skończą się sprawy na Ziemi, wielu ludzi wyruszyło do gwiazd. Mnóstwo statków kosmicznych kolonizowało setki planet. Po dziesięciu tysiącach lat bardzo dużo ludzi zamieszkuje ogromną ilość planet. Na wyprawy do gwiazd wybierano wykształconych ludzi, znających technikę, takich, którzy mogli się przydać przy zakładaniu kolonii w kosmosie. Na Ziemi pozostali tylko niewykształceni, pozbawieni talentów i niewytrenowani. Właśnie dlatego teraz osady, którym chcieliście pomóc, tak bardzo tej pomocy potrzebują. Również dlatego boją się waszej pomocy. Ci, którzy pozostali, to potomkowie ciemniaków niezdolnych do większego umysłowego wysiłku.

— Ale przecież Elmer nie był prawdziwym człowiekiem.

— Był dobrym mechanikiem. Nowe kolonie potrzebowały takich jak on. Poleciał więc.

— Temat Elmera i ludzi odlatujących w kosmos to bardzo frapująca rzecz — powiedział Joe. — Ale skąd wy się tutaj wzięliście? Powiedziałaś, że nam opowiesz. Dlaczego więc nie oprzesz się wygodnie i nie zaczniesz mówić?

Czułem się tak przyjemnie, jakbym był w domu rodzinnym. Wszystko wydawało się takie dobre i przyjacielskie. Joe był fajnym gościem, a i Iwan nie był zły. Po raz pierwszy od momentu wylądowania na tej planecie czułem się naprawdę znakomicie. Oparliśmy się

więc wygodnie i na zmianę, razem z Cynthią, opowiedzieliśmy im nasze przygody.

— Ten cały interes z Cmentarzem musi należeć jeszcze do przyszłości — rzekł Joe. — Nie ma tu na razie żadnego śladu Cmentarza.

— Nadejdzie odpowiedni czas. Chciałbym sobie przypomnieć datę rozpoczęcia działalności przez korporację, ale chyba nigdy jej nie znałem.

Cynthia potrząsnęła głową.

— Ja również.

— Jest w tym coś, co mnie ucieszyło — oznajmił Joe. — To sprawa olejów i smarów. Byliśmy tym zaniepokojeni. Wiedzieliśmy, że za jakiś czas będziemy ich potrzebowali i mieliśmy nadzieję spotkać ludzi, którzy zechcą nam to dostarczyć. Gdyby dostali się do ropy i przekazali ją nam, byłibyśmy w stanie przerafinować ją na tyle, żeby nadawała się do użytku. Nie musiałyby być tego nawet dużo. Jak dotąd nie mieliśmy zbyt dużego szczęścia do ludzi.

— Dostaniecie gotowe wyroby według waszych potrzeb od tych z Cmentarza, ale nie płacie im ceny, jakiej zażądata.

— W ogóle im nie zapłacimy. Zachowują się jak wszy.

— Tacy już są. A teraz musimy iść.

— Na umówione spotkanie z przyszłością, tak?

— Zgadza się. Jeśli wszystko ułoży się po naszej myśli, przyjemnie nam będzie spotkać was tam czekających na nas. Myślicie, że to możliwe?

— Podajcie nam datę — powiedział Joe, a gdy wymieniał ją, dodał: — Będziemy tam.

Gdy schodziliśmy po schodkach, dorzucił:

— Posłuchajcie, co warto zrobić, jeśli wam się nie powiedzie. Jeśli nie ma żadnej pułapki czasowej. A więc,

gdyby tak się rzecz miała, nie musicie wracać do tej chałupy. Czekałaby was okropna praca, rozumiecie, czyszczenie, ten zmarły i tak dalej. Dlaczego nie mielibyście przyłączyć się do nas? Nie jest to może super rozwiązanie, ale nam byłoby przyjemnie. Zimy moglibyśmy spędzać na południu...

— Dziękuję, z pewnością tak zrobimy — powiedziała Cynthia. — To miło z waszej strony.

Zeszliśmy na ziemię i ruszyliśmy w stronę pęknięcia w skalnej ścianie. Zanim do niego dotarliśmy, odwróciliśmy się na chwilę, żeby jeszcze raz spojrzeć na naszych przyjaciół. Pomachaliśmy im i weszliśmy w rozpadlinę. Wewnątrz jaskini uderzyła nas fala przypływu, która nie była wodą. Kiedy odpłynęła, rozejrzeliśmy się ze zdumieniem. Znajdowaliśmy się w grocie, jaką pamiętaliśmy, ale na Cmentarzu.

Ściana skalna istniała nadal. Tak samo jak powykrzywiane, wyrastające z niej cedry. Podobnie wzgórza i biegnąca między nimi dolina. Nie był to już jednak dziewiczy, dziki teren. Strumień został uregulowany i ujęty bardzo gustownie w nabrzeża z litej skały. Równo przystrzyżona trawa niczym gładki dywan rozciągała się od podnóża skały po kanał. Wokół stały całe rzędy monumentów, a gdzieś tam rosły wieczne zielone krzewy i cisy.

Czułem, jak Cynthia przytula się do mojego boku, ale nie spojrzałem na nią. Nie chciałem w tej chwili na nią patrzeć. Starałem się, żeby głos mi nie zdradzał.

— Cienie znowu spartaczyły robotę — stwierdziłem.

Próbowałem obliczyć, ile czasu mogło zabrać Cmen-

tarzowi rozszerzenie swoich granic od tamtych, jakie pamiętaliśmy, do obecnego miejsca, i otrzymałem jednoznaczny wynik: wiele stuleci. Możliwe, że przesłano nas w przyszłość o taki sam odcinek czasu, jak uprzednio w przeszłość.

— Nie mogą być aż takimi fajtłapami. Po prostu nie mają prawa — zaoponowała Cynthia. — Raz mogło im się przytrafić, ale nie dwa razy z rzędu.

— Sprzedali nas — powiedziałem.

— Owszem, założmy, że tak, gdy wysyłali nas w przeszłość. Dlaczego jednak mieliby sprzedawać nas dwa razy? Jeżeli chcieli się po prostu nas pozbyć, wystarczyło zostawić nas tam, gdzie byliśmy. Fletch, to wszystko nie ma sensu.

Rozejrzałem się po rozciągającym się wokół nas Cmentarzu.

— Byłoby lepiej dla nas — powiedziałem — gdybyśmy zostali z Joe i Iwanem. Mielibyśmy miejsce, w którym da się mieszkać i podróżować. Moglibyśmy jeździć z nimi wszędzie. Byliby dobrymi kompanami. Nie wiem, co nas czeka tutaj.

— Nie będę płakać — oznajmiła Cynthia. — Niech mnie diabli, jeśli będę. Mam jednak ochotę.

Miałem zamiar wziąć ją w ramiona, ale nie uczyniłem tego. Gdybym to zrobił, na pewno wybuchnęłaby płaczem.

— Pójdźmy sprawdzić, czy dom Władcy Duchów stoi na swoim miejscu — powiedziałem. — Przypuszczam, że nie, ale nie zaszkodzi sprawdzić. Jak znam Cmentarz, to wyburzyli go.

Ruszyliśmy w dół doliny. Droga okazała się łatwa. Szliśmy jak po dywanie. Nie było nierównego gruntu ani gładów, które musielibyśmy omijać. Wokół wznosiły się tylko grobowce, cisy i wieczne zielone rośliny.

Przyjrzałem się kilku datom na nagrobkach i choć nie mogłem określić, jak dawno je postawiono, stwierdziłem, że jesteśmy przynajmniej trzydzieści stuleci poza czasem, do którego mieliśmy nadzieję wrócić. Z jakiegoś powodu Cynthia wcale nie zwracała uwagi na daty, nie wspominałem więc o tym ani słowa. Potem pomyślałem, że chyba ona również je odczytała i tak samo jak ja nie chciała o tym mówić.

Dotarliśmy do rzeki, która wyglądałaby tak samo jak dawniej, gdyby nie to, że wycięto rosnące nad jej brzegami drzewa, by na ich miejscu ustawić dalsze monumenty. Przyglądałem się rzece rozmyślając, jak wieczne były niektóre rzeczy. Rzeka płynęła cały czas między wzgórzami i nie istniał nikt, kto umiałby ją zatrzymać lub zmniejszyć jej moc.

Cynthia chwyciła mnie za ramię. Widziałem, że jest podekscytowana.

— Fletch, czy to nie tam odkryliśmy dom Władcy Duchów? — wskazywała.

Przyczyną mego osłupienia była zmiana, jaka zaszła w krajobrazie całej okolicy. Przedtem królowała tu dzicz, potężne drzewa rosnące do samego brzegu rzeki i dach domu mutanta ledwie przeświecający poprzez gęstwinę. Nad tym wszystkim górowały niebieskawe szczyty gór. Teraz miejscem tym zawładnęła gładka, miękka zieleń. Na szczycie, na którym stała uprzednio mała, zniszczona chatynka, w której rozkoszowaliśmy się lunchem z ujmującym dżentelmenem, stał teraz budynek z marzeń. Zbudowano go z białego kamienia, ale czuło się jakąś zwiewną lekkość, która zdawała się wykluczać kamień. Z przodu miał trzy tarasy, podtrzymywane przez bajkowe kolumny, które z tej odległości wydawały się bardzo delikatne i wąskie. Okna mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Długie schody prowadziły nad samą rzekę.

— Myślisz, że to... — urwała w połowie zdania.

— To nie Władca Duchów — zaprzeczyłem. — On nie wybudowałby takiego pałacu.

Nie miałoby to sensu, bo Władca Duchów ukrywał się, przemykał niezauważony, ze wszystkich sił starając się, by nikt go nie widział, zbierał małe dzieła sztuki (nie będące jeszcze wówczas dziełami sztuki), które później miały opowiadać o tych, przed którymi się ukrywał.

— Ale on stoi w tym miejscu, gdzie kiedyś znaleźliśmy jego chatę.

— Stoi — potwierdziłem, zupełnie nie wiedząc co powiedzieć.

Szliśmy wzdłuż rzeki nie śpiesząc się i przyglądaliśmy się budowli na szczycie. W końcu doszliśmy do miejsca, w którym schody zbiegały nad wodę, na plac otoczony wielkimi blokami skalnymi. Gdzieniedzie zostawiono nieco miejsca, przypuszczam, że cisy i wiecznie zielone krzewy zapełnią je w niedługim czasie.

Staliśmy obok siebie, jak para wystraszonych dzieci przy zetknięciu się z jakimś niezwykłym zjawiskiem. Patrzyliśmy w górę schodów w kierunku błyszczącego na szczycie wspaniałego domu.

— Wiesz, co mi to przypomina? — zapytała Cynthia. — Schody do Nieba.

— Tak, wygląda to tak, jak opisywali starożytni. Nie słysząc tylko rajskich fanfar.

— Dasz radę pokonać je bez fanfar?

— Myślę, że tak.

Zastanawiałem się, co czyniło ją tak beztroską. Ja sam byłem zdumiony i zdenerwowany, i nie mogłem opędzić się od czarnych myśli. Owszem, widok był wspaniały, ale nie podobało mi się, że ten pałac stał w miejscu, w którym pozostawił swój dom Władca Duchów. Dość sensownym wnioskiem wydawało się to,

że oba domy musiało coś wiązać, ale trudno mi było sobie wyobrazić co.

Schody były długie i raczej strome. Pokonanie ich zajęło nam trochę czasu. Mieliśmy je dla siebie, nie było na nich nikogo oprócz nas, choć jeszcze przed chwilą widzieliśmy grupkę ludzi stojącą na jednym z tarasów pałacu. Na szczycie schody kończyły się następnym placem, dużo większym od tego na dole. Ruszyliśmy na przełaj ku głównemu wejściu.

Z bliska budynek wydawał się jeszcze piękniejszy niż z daleka. Kamień był śnieżno biały, linie architektoniczne płynne i delikatne, wszystko otoczone aurą godności i czci. Nigdzie nie widziałem żadnego napisu informującego o przeznaczeniu budowli i złapałem się na tym, że zastanawiam się z lekkim otępieniem, czym mógł być ten dom.

Drzwi otwierały się na ogromny przedpokój zamarty w ciszy i półmroku, jaki ludzie kojarzą sobie z muzeami lub galeriami obrazów. W centrum stała oszklona gablota z mieniącym się w środku jakimś przedmiotem. Przy drzwiach wychodzących z hallu stało dwóch strażników. Przynajmniej sądziłem, że to strażnicy, bo nosili uniformy. Echem dochodził nas z wnętrza budynku stłumiony odgłos kroków i rozmów.

Podeszliśmy do gabloty i ujrzałem w środku dzban podobny do tego, który oglądaliśmy w czasie lunchu. To musi być ten sam, powiedziałem sobie. Żaden inny wojownik nie mógłby z takim znużeniem opierać się o swoją tarczę, żadna inna złamana, leżąca na ziemi włócznia nie mogłaby tak sugestywnie wyrażać smutku chwili po przegranej bitwie.

Cynthia pochyliła się przyglądając gablocie, a potem wyprostowała się i orzekła:

— Znak garncarza jest ten sam. Jestem tego pewna.

— Skąd ta pewność? Nie znasz przecież greckiego. Sama powiedziałaś, że nie możesz go rozczytać.

— To prawda, ale imię mogę. Napisano tu Nichosthenes. Musi to znaczyć: „Stworzył mnie Nichosthenes”.

— Może stworzył wiele takich dzbanów — sam nie wiedziałem, dlaczego się upieram. Dlaczego zwalczałem przekonanie, że to ten sam zabytek, który stał na kredensie w domu Władcy Duchów.

— Na pewno tak było — przyznała. — Musiał być sławnym garncarzem. Ten dzban to arcydzieło i dlatego wybrał go Władca Duchów. Żaden inny rzemieślnik nie zrobiłby duplikatu. Na pewno wykonano go dla jakiegoś wielkiego człowieka tamtych czasów.

— Może dla Władcy Duchów?

— Tak, to prawda. Może dla niego.

Tak byłem zainteresowany dzbanem, że nie zauważyłem, iż jeden ze strażników zbliżył się do nas i przemówił:

— Myślę, że pan nazywa się Fletcher Carson. Czy tak jest?

Wyprostowałem się i popatrzyłem mu w oczy:

— Tak jest. Ale skąd pan...?

— A ta młoda dama to panna Lansing?

— Tak, to ona.

— Chciałbym, żebyście byli tak uprzejmi i poszli za mną.

— Nie rozumiem. Dlaczego mielibyśmy iść z panem?

— Czeka na was stary przyjaciel, który chciałby z wami porozmawiać.

— To absurd — odezwała się Cynthia. — Nie mamy przyjaciół. Tutaj na pewno nie.

— Nie chciałbym was zmuszać — powiedział cicho strażnik.

— Może to Władca Duchów? — zasugerowała Cynthia.

— Nie — odparł. — To nie on.

Odczekał, aż obeszlśmy gablotę z eksponatem. Ruszyliśmy za nim. Poprowadził nas długim korytarzem, który usiany był innymi gablotami i stołami z wieloma estetycznie oznaczonymi eksponatami. Szliśmy jednak tak szybko, że nie miałem czasu się im przyjrzeć. W końcu korytarza strażnik zatrzymał się przed drzwiami i zastukał. Jakiś głos odpowiedział, żebyśmy weszli. Strażnik otworzył drzwi i zamknął je potem za nami, pozostając na zewnątrz. Staliśmy tuż przy drzwiach przyglądając się tej rzeczy. Tak, rzeczy, która siedziała za biurkiem, bo to nie był człowiek.

— A więc jesteście — odezwała się rzecz. — Dotarcie do mnie zajęło wam sporo czasu. Już bałem się, że nie przyjdziecie, że plan się nie udał.

Głos dobiegał z czegoś, co było mechanicznym ekwiwalentem ludzkiej głowy przymocowanym do odpowiednika ludzkiego korpusu. Oznaczało to robota, ale niepodobnego do żadnego z tych, jakie znałem. Nie wyglądał jak Elmer. Stanowił mechaniczną konstrukcję nie mającą w zasadzie związku z postacią ludzką.

— Mówisz bzdury — powiedziałem. — Jesteśmy tu, bo przyprowadził nas strażnik. Czy mógłbym cię zapytać...

— Oczywiście — odparła rzecz zza biurka. — Znaliśmy się dawno temu. Myślę, że mogę wybaczyć ci nie — rozpoznanie mnie, bo zmieniłem się dość zasadniczo. Kiedyś znałeś mnie jako Ramsaya O'Gillicuddy'ego.

Wydało mi się to oczywistym nonsensem, ale w jego głosie było coś, co prawie mnie przekonało.

— Panie O'Gillicuddy — zagadnęła Cynthia. — Musi mi pan coś wyjaśnić. Ile naprawdę było wilków?

— O, to bardzo proste pytanie. Były trzy. Dwa zabił Elmer i jeden pozostał.

Wskazał na dwa krzesła stojące przed biurkiem:

— A teraz, kiedy mnie już przetestowaliście, usiądźcie proszę. Mamy sporo do omówienia.

Kiedy usiedliśmy, powiedział:

— Wspaniale, że jesteście. Bardzo mnie to podniosło na duchu. Wszystko wprawdzie dokładnie zaplanowaliśmy, ale jeśli chodzi o podróże w czasie, nie można być niczego pewnym na sto procent. Dreszcz mnie przechodzi na samą myśl o tym, co by się stało, gdybyście nie przybyli. Mam prawo do takiego dreszczu, bo wiem dokładnie, co by się wydarzyło. Wszystko tu wokół by zniknęło. Chociaż tak naprawdę to...

— Czy pod określeniem „wszystko” rozumiesz to muzeum? — przerwałem mu. — Myślę, że jest to muzeum zawierające kolekcję Władcy Duchów, prawda?

— A więc wiecie o niej?

— Powiedzmy, że się domyślamy.

— Oczywiście, to nawet ma sens. Jesteście dość bystrzy.

— Gdzie jest teraz Władca Duchów? Mieliliśmy nadzieję, że go tu znajdziemy? — zapytała Cynthia.

— Kiedy umieścił swoje kolekcje w muzeum, tę oraz drugą, o wiele większą, przywiezioną z kryjówki na terenie starych Bałkanów, odleciał na Alden, by poprowadzić archeologiczną wyprawę na swoją ojczystą planetę. Od bardzo dawna nie otrzymał stamtąd żadnej wiadomości i jest przekonany, że jego rasa wyginęła. Istnieje wiele przyczyn, które mogą spowodować zniknięcie cywilizacji. Jak na razie nie mamy wieści o ekspedycji. Czekamy niecierpliwie.

— Wy?

— Ja i reszta moich braci, cieni.

— Wszyscy jesteście tacy?

— Tak, oczywiście. To przecież była część naszej

umowy. Ach, zapomniałem, że wy nic nie wiecie o umowie. Muszę wam wytłumaczyć.

Przez chwilę namyślał się, od czego zacząć, a my czekaliśmy cierpliwie.

— A więc tak — powiedział przechodząc w końcu do rzeczy. — Stąd wysłamy was z powrotem do właściwego czasu, do tego momentu, do którego byście przybyli, gdyby pułapka czasowa działała w taki sposób, jak powiedziałem...

— Wtedy spartaczyliście — przerwałem mu. — Spartaczyliście i teraz, i wtedy.

Podniósł metalową rękę, żebym się uciszył.

— Niczego nie spartaczyliśmy — zaprzeczył. — Zrobiliśmy to, co zamierzaliśmy zrobić. Przysłaliśmy was tu, ponieważ gdybyśmy tego nie zrobili, plan by się nie udał. Gdyby was tu nie było i nie usłyszelibyście o planie, nie wiedzielibyście, co macie zrobić. Ale teraz wróćcie do swoich czasów zaznajomieni z planem i dzięki temu powstanie to, co widzicie.

— Zaraz, zaczekaj chwilę — zaprotestowałem. — Wszystko coraz bardziej gmatwasz. To nie ma sensu...

— To ma zadziwiająco dużo sensu — nie pozwolił mi dokończyć. — Posłuchaj, o co chodzi. Byliście w odległej przeszłości, a teraz przenieśliśmy was w przyszłość, żeby powiedzieć wam o planie. Potem wysłamy was do waszych czasów, żebyście działając tam zgodnie z planem mogli sprawić, że ta przyszłość, którą tu widzicie, będzie mogła zaistnieć.

Wstałem i uderzyłem ręką w stół.

— Nigdy w życiu nie słyszałem podobnych bzdur! — krzyknąłem. — Coś ci się poplątało w łepetynie. Jak niby ma być możliwe przeniesienie nas do przyszłości, która nie będzie istnieć, jeśli my w naszych czasach nie zrobimy czegoś, co spowoduje zaistnienie tej przyszłości?

O'Gillicuddy, nie wiem dlaczego, wydawał się z siebie zadowolony.

— Przyznaję — powiedział — że może się to wam wydawać troszeczkę dziwne. Ale kiedy zastanowicie się nieco, zrozumiecie, jakie to logiczne. Teraz zamierzamy przesłać was z powrotem w czasie...

— I znowu pomylić się o kilka tysięcy lat — przerwałem mu.

— Ależ skąd. Trafimy co do sekundy. Teraz nie polegamy już wyłącznie na naszych zdolnościach psychicznych. Mamy maszynę, czasoprzestrzenny selektor, który może was wysłać gdziekolwiek chcecie z dokładnością do ułamka sekundy. Wybudowanie go było częścią układu, jaki zawarliśmy.

— Cały czas mówisz o jakichś planach i układach — wtrąciła Cynthia. — Pewnie zrozumielibyśmy coś z tego, gdybyś nam wreszcie powiedział, o co w nich chodzi.

— Nareszcie dajecie mi na to szansę. Zrobię to z przyjemnością. Wysłamy was teraz do właściwej wam czasoprzestrzeni, a wy wróćcie na Cmentarz i zobaczycie się z Maxwellem Peterem Bellem...

— A Maxwell Peter Bell wyrzuci mnie przez okno i...

— Nie. Nic takiego się nie stanie, jeśli pod oknem będą stać dwie naładowane amunicją maszyny wojenne gotowe do ataku na dany znak. To zmienia całą sytuację.

— A skąd masz pewność, że maszyny wojenne...

— Poprosiłeś je przecież, by były w określonym miejscu o określonym czasie.

— Zgadza się.

— A więc widzisz. Zobaczycie się z Maxwellem Peterem Bellem i dacie mu do zrozumienia, że potraficie udowodnić, iż używa Cmentarza jako przechowalni szmuglowanych dzieł sztuki.

— Przecież szmuglowanie dzieł sztuki nie jest niezgodne z prawem.

— Oczywiście, że nie. Ale potraficie sobie wyobrazić, co się stanie z nieskazitelną opinią o „Matce Ziemi”, gdy taka wiadomość się rozniesie? Nie tylko o ich nieuczciwości, ale o rabusiach grobów? Wymazanie takiej plamy zajęłoby im wiele lat, o ile w ogóle by się udało.

— To możliwe — przyznałem nieco niechętnie.

— Wyjaśnicie mu bardzo starannie — kontynuował O'Gillicuddy — żeby nie pojął źle waszych intencji, że bylibyście skłonni zapomnieć o całej sprawie, jeżeli zgodzi się na pewne propozycje.

O'Gillicuddy wyliczył te propozycje na palcach:

— Cmentarz zgodzi się na przekazanie wszystkich ukrywanych zabytkowych przedmiotów na rzecz Uniwersytetu na Aldenie i oczywiście zaprzestanie swojej dotychczasowej działalności z nimi związanej. Po drugie, Cmentarz zapewni transport tych dzieł sztuki na Alden oraz stworzy regularną pasażerską linię na Ziemię. Koszty przelotu mają odpowiadać innym taryfom podróży w całej Galaktyce, a ceny muszą być na tyle rozsądne, żeby turyści i Pielgrzymi mogli bez problemu odwiedzać ojczystą planetę ludzkości. Po trzecie, Cmentarz wybuduje, a potem będzie utrzymywał muzea, w których umieszczone zostaną kolekcje eksponatów zebrane od początku istnienia ludzkości przez zapalonego studenta historii o nazwisku Ronex z planety Abernax. Ponadto Cmentarz...

— Tak nazywa się Władca Duchów? — zapytała Cynthia.

— Tak. A teraz, jeśli można, będę kontynuował.

— Jeszcze jedno — znowu mu przerwałem. — Nie daje mi to spokoju. Co z wilkiem? Dlaczego najpierw na nas polował, a potem...

— Wilk — powiedział O'Gillicuddy — nie był naprawdę metalowym wilkiem. Należał do Władcy Duchów i wkręcił się do sfory utrzymywanej przez Cmentarz. Musicie zrozumieć, że Ronex nie był głupcem i trzymał rękę na pulsie wszystkiego, co się działo na Ziemi. Mogę mówić dalej?

— Proszę, mów — zgodziła się Cynthia.

O'Gillicuddy znowu zaczął odliczać na palcach:

— Cmentarz musi stworzyć fundusz i zapewnić odpowiednie środki dla rozwoju programu badawczego, mającego na celu utworzenie bezpiecznego systemu podróży w czasie. Korporacja ma zapewnić odpowiednie fundusze i środki dla innego programu, umożliwiającego odkrycie i opracowanie metody przenoszenia ludzkiej osobowości do mechanicznego mózgu. Gdy ten cel zostanie osiągnięty, pierwszą grupą osobowości poddanych takiemu zabiegowi mają być istoty znane na Ziemi pod nazwą „cienie” oraz...

— A więc w taki sposób... — zaczęła Cynthia.

— Tak, właśnie w ten sposób stałem się takim, jakiego mnie widzicie. A wracając do tematu, Cmentarz ma się zgodzić na powołanie galaktycznej komisji, która nie tylko będzie czuwała nad wypełnieniem zobowiązań korporacji, ale także przeprowadzi kontrolę jej ksiąg i działalności oraz wyda zalecenia co do przyszłych przedsięwzięć.

— I to wszystko? — zapytałem.

— Tak, to by było na tyle. Mam nadzieję, że pomyśleliśmy o wszystkim.

— Ja również mam taką nadzieję. Pozostaje tylko pytanie, czy Cmentarz kupi nasze propozycje.

— Myślę, że już kupił. Jesteście tu przecież. I ja tu jestem, i muzeum, i selektor czasoprzestrzeni na was czeka.

— Pomyśleliście rzeczywiście o wszystkim — powiedziała Cynthia z lekką złością. — Ale jedną rzecz przeoczyliście. Co będzie z kompozycją Fletchera? Jak mogliście o tym zapomnieć? Gdyby nie jego marzenie o stworzeniu kompozycji, nic na Ziemi by się nie zmieniło. Nie macie pojęcia, ile on nad tym pracował, ile śnił, ile...

— Przewidziałem, że o to zapytacie — oznajmił O'Gillicuddy uroczyście. — Jeśli będziecie tak uprzejmi i przejdziecie przez hali do auditorium...

— A więc mówisz, że macie ją tutaj?!

— Oczywiście, że tak. Pan Carson i Bronco stworzyli wspaniałe dzieło. Przetrwało wszystkie te lata i prawdopodobnie będzie żyć wiecznie.

Potrząsnąłem głową zdumiony.

— Co panu jest, panie Carson? — zapytał O'Gillicuddy. — Powinien być pan zadowolony.

— Czy nie rozumiesz, co zrobiliście?! — krzyknęła Cynthia ze złością i błyszczącymi od łez oczami. — Wysłuchanie jej zepsułoby wszystko. Jak możesz sugerować, żeby poszedł słuchać i przeżywać dzieło, którego jeszcze nie stworzył? Nie powinieneś być mu tego mówić. Teraz zawsze gdzieś w zakamarku jego umysłu będzie kołatać się świadomość, że musi stworzyć coś wspaniałego. A on po prostu zamierzał rzetelnie wykonać pracę. Wy...

Położyłem jej rękę na ramieniu, żeby przestała.

— W porządku — powiedziałem. — Będę o tym myślał, oczywiście, ale Bronco będzie ze mną. On mnie będzie informował o postębach.

— Dobrze — rzekł O'Gillicuddy wstając z miejsca. — W takim razie pozostała nam tylko jedna rzecz, którą musicie zrobić, zanim powrócicie do swoich czasów. Na zewnątrz czeka kilku przyjaciół, którzy chcieli wam powiedzieć „cześć”.

Wyszedł zza biurka, a my podążyliśmy za nim do drzwi, potem korytarzem do wyjścia z budynku i przez podwórzec.

Cała piątka czekała na nas ustawiona w szeregu: maszyny wojenne, Elmer, Bronco i wilk.

Czuliśmy się trochę niezręcznie. Staliśmy i przyglądaliśmy się im, a oni nam.

— Będziemy na was czekać, gdy wrócicie — oświadczył Elmer. — Wszyscy będziemy czekać.

— Potrafię zrozumieć, że będą tam maszyny wojenne — rzekła Cynthia. — Prosiliśmy je o spotkanie, ale wy...

— Wilk nas odszukał i przyprowadził — odparł Bronco.

— W jaki sposób? — zapytałem. — Chcieliście przecież go zniszczyć. Zabiliście już dwóch jego towarzyszy i...

— Rozegrał to sprytnie — wyjaśnił Bronco. — Biegał wokół trzymając się poza zasięgiem naszych rąk. Potem położył się na grzbiecie i zaczął machać łapami. Uśmiechał się do nas, szczerząc zęby. Doszliśmy do wniosku, że chce, abyśmy udali się z nim. Zapraszał tak, jakby od tego wszystko zależało.

Wilk uśmiechnął się do nas pokazując kły.

— Czas ruszać — powiedział O'Gillicuddy. — Chciałem tylko, byście mieli pewność, że będą na was czekać.

Zwróciłem się do Cynthii:

— Dla ciebie wszystko wkrótce się skończy. Możesz wracać na Alden i opowiedzieć Thorneyowi o tym, co się tu wydarzyło.

— Nie wracam — odparła.

— Ale nie rozumiem...

— Ty będziesz pracował nad swoją kompozycją. A nie znalazłbyś trochę miejsca dla asystenta-pomocnika?

— Myślę, że znalazłbym.

— Pamiętasz, Fletch, co mi powiedziałeś, kiedy zda-
wało się nam, że pozostaniemy więźniami odległej
przeszłości? Powiedziałeś, że będziesz mnie kochał.
Zamierzam trzymać cię za słowo.

Wyciągnęła rękę, a ja ująłem jej dłoń. Chciałem, żeby
trzymała mnie za słowo.



CMENTARNA PLANETA

CLIFFORD D. SIMAK

Ludzkość, po tysiącletnim okresie ekspansji w Kosmosie, opuściła Ziemię, która stała się galaktycznym Cmentarzem. Ze wszystkich zakątków skolonizowanego Wszechświata startują i udają się w stronę planety-mauzoleum statki pogrzebowe.

Na jednym z nich przybywa Fletcher Carson, nie jako Pielgrzym, lecz człowiek zainteresowany częścią Ziemi nie zajęta przez Cmentarz. Wkrótce Carson znajdzie się w niebezpieczeństwie, jego dociekliwość budzi obawy przedstawicieli Korporacji – zarządców planety.



Cena det. zł 46 000,-

ISBN-83-7082-354-8